5062

RUDYARD KIPLING

DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI

Dz. I
p. 1674

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO
TEODOR MIANOWSKI

ILUSTROWAŁ
WŁADYSŁAW WITWICKI

A 289/299 281/381

WYDANIE DRUGIE

БИБЛИОТЕКА
PAŃSTW. GIMN. IM. MARSZ. J. PIŁ. SUDSKIEGO W BIAŁYMSTOKU

LWÓW I WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
BERNARDA POŁONIECKIEGO
MCMXXI
1921

BIBLJOTEKA PUBLICZNA MIEJ. BIAŁYMSTOKU

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 44439
KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

Miejska Biblioteka Publiczna
5062
14219
w Białymstoku

820-93 III

Drukarnia Karola Prochaski w Cieszynie.

SKĄD PRZYSZEDŁ LĘK?

EX GMP LUBLIN

PAŃSTWOWY GIMNAZJUM MARSZ. J. PIŁSUDSKIEGO W BIAŁYMSTOKU

Zdrój schnie, spękały jezior dna,
Więc bądźmy braćmi, ty i ja;
Żar w paszczy, kurzu pełen bok —
Ciśniemy się nad rzeki stok.
Strach, że nadchodzi suszy żar,
Łagodzi mordu chuć i swar.
Jelonek młody patrzy rad
Na wilka, brata dzikich stad;
Rogacz nie lęka się tych szpon,
Od których rodzic poniósł zgon.
Zdrój schnie, spękały jezior dna,
Zbratajmy się więc, ty i ja;
Niedługo deszcze padną znów,
Skończy się rozejm, niech święci się łów!

Prawo Dżungli — niewątpliwie najstarsze prawo na świecie — wydało zarządzenia na każdy prawie wypadek, mogący się przydarzyć plemionom Dżungli, tak, iż kodeks jego jest o tyle doskonałym, o ile go nim czas i używanie uczynić mogły. Jeśliście czytali inne opowiadania o Mowgli'm, to snadź przypomnicie sobie, iż Mowgli spędził większą część swego życia wśród stada seeoneejskich wilków, ucząc się prawa u brunatnego niedźwiedzia Baloo. Ten to sam Baloo powiedział pewnego razu, gdy chłopak zżymał się niecierpliwie z powodu udzielanych mu rozkazów, że prawo jest podobne *olbrzymiej lianie,* ponieważ upada na plecy każdego i nikt nie potrafi mu się wymknąć. »Skoro pożyjesz tak długo, mały bracie, jak długo ja żyję, obaczysz, że cała Dżungla słucha przynajmniej jednego prawa. I nie będzie to miły widok dla ciebie,« dodał Baloo.

Takie i tym podobne słowa wchodziły jednem uchem, drugiem zaś wychodziły, gdyż chłopiec, który życie swoje trawi na jedzeniu i spaniu, nie da się zaniepokoić niczem, co mu doraźnie w oczy nie zaglądnie. Ale nie minął rok, a słowa Baloo stały się rzeczywistą prawdą i Mowgli ujrzał, jak cała puszcza słuchała jednego prawa.

Rozpoczęło się to wtedy, gdy zimowe deszcze prawie zupełnie zawiodły i gdy jeżowiec Sahi, spotkawszy się z Mowgli'm w gęstej trzcinie bambusowej, doniósł mu, że dzikie korzonki usychają. Każdy jednak wie, iż Sahi jest śmiesznie wybrednym w wyborze pożywienia

i że będzie jadł tylko to, co najlepsze i najdojrzalsze. Jakoż Mowgli roześmiał się mówiąc: »I cóż mnie to obchodzi?«

»Niewiele *teraz*,« odparł Sahi, wydając chrzęst kolcami w sztywny i nieprzyjemny sposób, »ale później — obaczymy. Czy możesz jeszcze nurkować w tem skalistem jeziorku poniżej Pszczelich Skał, mały bracie?«

»Nie. Tej głupiej wody coraz więcej ubywa, a ja nie życzę sobie rozbić głowy,« rzekł Mowgli, który był zupełnie pewny, że wiedział przynajmniej tyle, co pięciu z ludu Dżungli razem wziętych.

»To twoja szkoda. Przez małą szparkę mogłoby wpłynąć trochę rozumu.« Sahi wciągnął szybko głowę, nie chcąc pozwolić, by go Mowgli wytargał za wąsy, a Mowgli doniósł Baloo'wi, co mu Sahi opowiedział. Baloo przybrał poważną minę i zamruczał nawpół do siebie: »Gdybym był teraz sam, zmieniłbym miejsce łowów, zanim inni rozpoczną o tem myśleć. Jednak — polowania pomiędzy obcymi kończą się bijatyką — a moje szczenię ludzkie mogłoby na tem ucierpieć. Musimy czekać — obaczymy, jak *mohwa* zakwitnie.«

Tej jednak wiosny drzewo *mohwa*, które Baloo tak miłował, nie zakwitło. Jego zielonawe, białe jak śmietanka, miękkie jak wosk kwiecie umarło od gorąca, zanim się zdołało rozwinąć — i tylko kilka niemile pachnących listków opadło, gdy Baloo stanąwszy na tylnych łapach wstrząsał drzewem. Od tego czasu pełzło nieumiarkowane gorąco krok za krokiem w głąb Dżungli, aż przedostało się do jej serca, paląc wszystko na żółto, brunatno, wkońcu na czarno. Zielone rośliny wiszące po brzegach jarów wyschły od gorąca, łamały się jak druty, kurczyły się w obumarłe strąki; ukryte jeziorka sklęsły i powlekły się błotnistym kożuchem, zatrzymującym na swych brzegach najmniejszy ślad stopy, jak gdyby odlany z żelaza; soczysto-rdzenne liany odpadały od drzew, o które się owijały i zamierały u ich stóp,

a mech odstawał w głębi Dżungli od skał, które stały się tak nagie i gorące, jak ów szafirowy odwał skalny, połyskujący w łożysku rzecznem.

Ptaki i plemiona małp wywędrowały z początkiem roku na północ, wiedząc, co ma nadejść; jelenie zaś i dziki zapędzały się głęboko, aż na nędzne ugory wiosek, mrąc czasem w oczach ludzi, zbyt wycieńczonych, aby je zabijać. Sęp Chil wytrwał i utył, gdyż ścierwa było poddostatkiem — i co wieczora przynosił zwierzętom zbyt słabym, by przeforsować drogę ku nowym terenom polowania, wieści, że słońce zabija Dżunglę na przestrzeni, jaką jego lot trzydniowy w każdym kierunku zatoczyć zdoła.

Mowgli, który dotąd nie zaznał, co prawdziwy głód znaczy, musiał poprzestać na wystałym trzyletnim miodzie, który wydrapał z opuszczonych ulów skalnych, a który był czarny jak tarnina i miałki jak cukier. Polował również na głęboko w korę drzew wwiercone czerwie i kradł osom ich młody płód. Wszystkie zwierzęta w Dżungli wychudły straszliwie a Bagheera mogła zabić trzy razy do nocy a jeszcze nie nasycić się wieczerzą. Ale brak wody był najstraszliwszy; gdyż lud Dżungli jakkolwiek nie często pije, musi jednak pić wiele...

A susza postępowała krok za krokiem i wypijała do ostatniej kropli wszelką wodę, aż wkońcu główne ramię *Waingungi* było jedynym strumieniem, który toczył wąski pas wody w swych zaumarłych brzegach; i skoro dziki słoń Hathi, który żyje sto lat i więcej, zobaczył, iż długi, cienki, błękitny pas skalny wystaje sucho w samym środku strumienia, poznał, że ujrzał Skałę Pokoju — i w tejże samej chwili podniósł swą trąbę i ogłosił Pokój Wody, jak go ogłosił jego ojciec pięćdziesiąt lat przed nim. Jelenie, dziki, bawoły powtórzyły tę wieść chrapliwie, a sęp Chil zataczał w powietrzu wielkie koła, daleko i szeroko, wyświstując i wywrzaskując przestrogę.

Według prawa Dżungli podlega karze śmierci, kto zabija na miejscach poju, gdy już raz Pokój Wody został ogłoszony. Uzasadnieniem tego prawa jest to, że picie idzie przed jedzeniem. Każdy mieszkaniec Dżungli może w jakiś sposób przebiedować, gdy tylko zwierzyna jest rzadka, ale woda jest wodą i skoro pozostanie już tylko jedno źródło do czerpania, wstrzymują się łowy i cała Dżungla śpieszy do jego zdrojów dla zaspokojenia pragnienia. W dobrych sezonach, gdy wody było poddostatkiem, ci, którzy schodzili pić do Waingungi lub gdziekolwiek indziej, czynili to z ryzykiem własnego życia i to właśnie ryzyko tworzyło większą część uroku nocy. Skradać się w dół tak chytrze, żeby się i najmniejszy listek nie poruszył; brodzić po kolana w szumiącej mieliźnie, która przygłusza wszelkie hałasy; pić, zwracając oczy poza ramię, mieć każdy muszkuł wyprężony do pierwszego skoku w przerażeniu; wytarzać się po piaszczystym brzegu i, mając nozdrza i żołądek pełne wody, odskoczyć do stada w niemym patrzącego podziwie: — to było rzeczą, w której wszystkie o lśniących rogach młode kozły znajdowały rozkosz, wiedząc zwłaszcza, iż w tej chwili może na nie wyskoczyć Bagheera lub Shere Khan i powalić je o ziemię. Teraz jednak skończyła się ta gra o śmierć lub życie, a plemiona Dżungli przychodziły zgłodniałe i zmęczone do popękanej rzeki — tygrys, niedźwiedź, jeleń, bawół i dzik — piły razem zgniłą wodę i stawały nad nią, zbyt słabe, by odejść dalej.

Jelenie i dziki włóczyły się cały dzień w poszukiwaniu czegoś lepszego, niż zgniła kora i uwiędłe liście. Bawoły nie znajdowały kałuży, by się w niej ochłodzić, ni źdźbła, by się niem pożywić. Węże opuściły Dżunglę i ześliznęły się w dół nad rzekę, w nadziei przychwytania choćby zbłąkanej żaby. Owijały się one o mokre kamienie i nie próbowały nawet kąsać, gdy nozdrza ryjącego dzika precz je odrzuciły. Żółwie rzeczne powybijała dawno już Bagheera,

najzręczniejsza łowczyni Dżungli, a ryby zagrzebały się głęboko w popękanym ile rzecznym.

Tylko Skała Pokoju leżała wszerz mielizny, podobna do długiego węża, a drobne, zmęczone fale wysychały sycząc u jej rozpalonych brzegów.

Tam to przychodził Mowgli co nocy, szukając ochłody i towarzystwa. Najbardziej głodny z jego nieprzyjaciół nie byłby się nawet troszczył wtedy o chłopca. Jego naga skóra czyniła go chudszym i nędzniejszym od wszystkich jego towarzyszów. Włos jego zbielał od słońca na kolor lnu; żebra jego sterczały jak drążki w koszu, a guzy na jego kolanach i łokciach, o które wspierał się, pełzając na czworakach, dawały jego pokurczonym członkom wygląd uschłych badyli. Ale oczy jego, tkwiące pod wyblakłą czupryną, świeciły zimno i spokojnie, gdyż Bagheera, doradczyni jego w tych czasach niedoli, zalecała mu poruszać się powoli, polować spokojnie i nigdy, za żadną cenę nie unosić się gniewem.

»Ciężkie nadeszły czasy,« powiedziała czarna pantera jednego wieczoru gorącego jak piec hutniczy, »ale przeminą, jeśli je tylko zdołamy przetrzymać do końca. Czy żołądek twój pełny, mały bracie?«

»Jest pożywienie w moim żołądku, jednak ja z tego nic dobrego nie mam. Czy sądzisz, Bagheero, że deszcze już całkiem o nas zapomniały i nie powrócą więcej?«

»Tego nie myślę. Zobaczymy jeszcze zakwitającą *mohwę* i małe jelonki tłuste od młodej trawy. Zejdźmy ku Skale Pokoju i posłuchajmy nowych wieści. Na mój grzbiet, mały bracie!«

»Nie czas teraz do dźwigania ciężarów. Zdołam jeszcze dojść o własnej sile — ale zaprawdę! nie wyglądamy na wypasionych wołów — niestety!«

Bagheera spojrzała na swoje wystrzępione, kurzem okryte boki i zaszeptała: »Ostatniej nocy ubiłam wołu w jarzmie. Tak nisko spadłam, iż — jak myślę — nie byłabym miała odwagi do skoku, gdyby był wolny. *Wuau!*«

Mowgli roześmiał się. »Zaprawdę,« rzekł, »jesteśmy teraz odważnymi łowcami. Ja naprzykład jestem bardzo dzielnym w polowaniu na robaki« i zeszli razem przez chrzęszczące chrustowie nad brzeg rzeki, ku misternej sieci wyschniętych łożysk wodnych, rozbiegających się na wszystkie strony od brzegu.

»Woda nie może już żyć dłużej,« rzekł Baloo, przyłączając się do nich. »Spojrzcie jeno w górę! Są tam ścieżki tak szerokie, jak gościńce u ludzi.«

Na płaskiej równinie, na drugim brzegu, obumarła pustynna trawa, stojąc nieruchomo i wyschła jak mumje. Szerokie trakty, wydeptane racicami jeleni i dzików, a prowadzące ku rzece, poprzecinały tę wyblakłą równinę pełnemi kurzu jarami, biegnącemi przez trawę na dziesięć stóp wysoką i, choć to była wczesna godzina poranna, zaroił się każdy gościniec wielką ilością zwierząt, śpieszących ku wodzie. Można było słyszeć kaszel łań i młodych jelonków w powietrzu, przesyconem kurzawą.

Nad górnym biegiem rzeki, w miejscu, gdzie leniwa woda opływa dokoła Skałę Pokoju, tę strażniczkę Pokoju Wody, stał ze swymi synami dziki słoń Hathi, wychudły i szary w blaskach księżyca, kołysząc się tu i tam — kołysząc się bezustanku. Nieco za nim stała przednia straż złożona z jeleni; za niemi — głębiej — dziki i bawoły; a na przeciwległym brzegu, gdzie wysokie drzewa aż ku krawędziom rzeki zbiegały, było osobne miejsce dla Mięsożerców: tygrysów, wilków, panter, niedźwiedzi i innych.

»Jesteśmy pod jednem prawem — zaiste!« rzekła Bagheera, brodząc w mieliźnie i patrząc w górę na szeregi dzwoniących o siebie

rogów i strach wyrażających oczu, gdzie tłumy jeleni i dzików to tu, to tam bezładnie się popychały. »Szczęśliwego polowania wam wszystkim z mojej krwi,« dodała, kładąc się całą długością swego ciała we wodę, podczas gdy drugi bok z wody wystawał. »Gdyby tu Prawo nie rządziło, możnaby mieć bardzo szczęśliwe polowanie.«

Śpiczaste uszy jeleni pochwyciły ostatnie słowa i szmer trwogi przebiegł wzdłuż szeregów. »Pokój! Pamiętaj o Pokoju!«

»Cisza tam, cisza,« zabełkotał dziki słoń Hathi. »Uszanuj pokój, Bagheero! Nie czas teraz rozprawiać o łowach.«

»Któż o tem wie lepiej odemnie?« odpowiedziała Bagheera, tocząc żółtemi źrenicami w górę rzeki. »Mogę przecież jeść żółwie — ryby i żaby. *Ngaayah!* Gdybym mogła jeszcze liście trawić i korę!«

»My chcemy tego, o, i bardzo,« zabeczał żałośnie młody jelonek, który urodził się dopiero tej wiosny, co jednak niebardzo przypadało mu do smaku. Jakkolwiek plemię Dżungli było ponadmiar wycieńczone, nie mógł jednak Hathi powstrzymać się od lekkiego uśmiechu, natomiast Mowgli, który wsparty na łokciach leżał w ciepłej wodzie, parsknął śmiechem i uderzywszy nogą, wyrzucił słup wody do góry.

»Dobrześ powiedział, mały *pączkorogu*,« zamruczała Bagheera. »Skoro Pokój Wody ustanie, przypomnę sobie to — na twoją korzyść« i popatrzyła przenikliwie na jelonka, by go mogła odpoznać w przyszłości.

Tymczasem wzrastały gwary w górze i w dole. Można było słyszeć chrząkanie dzików, kłócących się o miejsce, ciężkie wzdychanie bawołów, dobywających się z trudem z piaszczystych ławic, smętne opowiadania jeleni — o nogach, które omdlewały w poszukiwaniu za paszą. Od czasu do czasu rzucano jakieś pytania za

brzeg — Mięsożercom, ale wszystkie wieści były złe, a szumiące, pełne gorąca wiatry nadpływały od Dżungli, przewiewały tam i napowrót między skałami a trzeszczącemi gałęźmi drzew i ciskały pnie i kurz do wody.

»Ród ludzi także umiera teraz przy swych pługach,« powiedział młody *sambhur*. »Widziałem troje ludzi między zachodem słońca a nocą. Leżeli cicho a ich woły obok nich. I my także poukładamy się niedługo na cichy sen.«

»Rzeka sklęsła jeszcze więcej od czasu ostatniej nocy,« rzekł Baloo.

»O Hathi, czyś kiedy widział podobne do tych skwary?«

»Przeminą, przeminą,« odpowiedział Hathi, zlewając wodą swoje plecy i boki.

»Mamy tutaj pomiędzy nami jednego, który długo wytrzymać nie zdoła,« ozwał się Baloo i spojrzał na chłopca, którego miłował.

»Ja?« rzekł Mowgli z oburzeniem, siadając we wodzie. »Ja nie mam wprawdzie długowłosego futra do zakrycia moich członków, ale — ale gdyby tak z ciebie skórę ściągnięto, Baloo.«

Hathi wzdrygnął się na samą myśl o tem, a Baloo ozwał się surowo:

»Mały człowieku, nie godzi się tak wyrażać o swoim Nauczycielu Praw. *Nigdy* dotąd nie widziano mnie bez skóry.«

»Och, ja nie myślałem tak źle; myślałem tylko, że gdyby cię tak skóry pozbawiono, byłbyś podobny do kokosowego orzecha w łupinie, ja zasię do kokosowego orzecha bez łupiny. Myślałem, że twoja brunatna łupina — —« Mowgli usiadł skrzyżowawszy nogi i tłumaczył się, podniósłszy do góry wskazujący palec, jak to było jego zwyczajem — wtem Bagheera wyciągnęła swą miękką, puszystą łapę i rzuciła go na głowę do wody.

»Coraz to gorzej,« rzekła czarna pantera, gdy chłopak wydobywał się parskając z wody. »Wprzód Baloo musi być obdarty ze

skóry, a potem dopiero stanie się orzechem kokosowym. Miej się na ostrożności, by ci nie uczynił tego, co czyni dojrzały orzech kokosowy.«

»A cóż on czyni?« zapytał Mowgli, zapominając się chwilowo, gdyż był to jeden z najdawniejszych żartów w Dżungli.

»Rozbija głowę,« rzekła Bagheera spokojnie, zanurzając go znowu pod wodę.

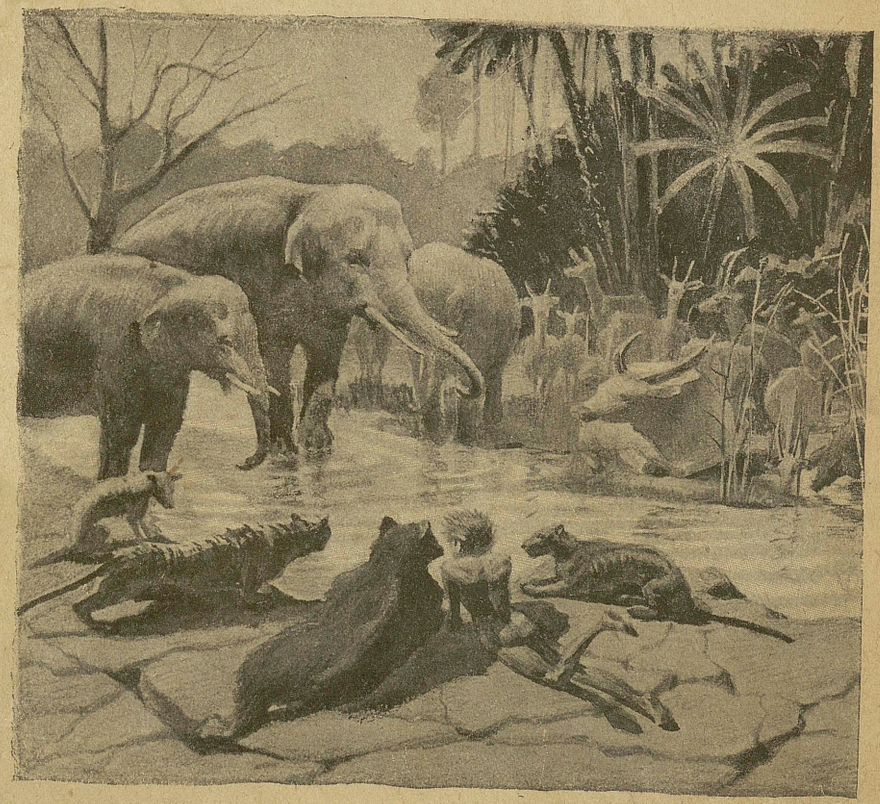

»Nie przystoi ci stroić sobie żartów ze swego nauczyciela,« rzekł niedźwiedź, skoro chłopak po raz trzeci zniknął pod wodą.

»Nie przystoi. I czegoż chcecie? Ten nagi potworek biega tam i napowrót, igrając jak małpa z tymi, którzy byli najlepszymi łowcami i targając sobie za wąsy najlepszych z pomiędzy nas.« Te słowa wyrzekł Shere Khan, kulawy tygrys, który utykając schodził właśnie nad rzekę. Chwilę zatrzymał się, by się nasycić dowoli przerażeniem jeleni, znajdujących się na przeciwległym brzegu, następnie opuścił głowę i począł pić, mrucząc: »Dżungla stała się teraz miejscem, gdzie prym wodzą nagie szczeniaki. Spojrz mi w oczy, szczenię ludzkie!«

Mowgli spojrzał, wbił oczy — tak bezczelnie, jak tylko zdołał, i w tej chwili Shere Khan odwrócił swój wzrok — zaniepokojony. — »Szczenię ludzkie tu, szczenię ludzkie tam,« zamruczał, pijąc dalej; to młode nie jest ani człowiekiem, ani zwierzęciem, gdyż w przeciwnym razie byłoby się zalękło. W następnym sezonie będę jeszcze musiał je prosić o pozwolenie napicia się wody. *Aurgh!*«

»I to możliwe,« rzekła Bagheera, patrząc mu przenikliwie w oczy, »i to możliwe. — Pfe! Shere Khanie! Jaką to hańbą znowu nas okryłeś!«

Kulawy tygrys zanurzył do wody szczękę, z której sączyła się krew i płynęła ciemnemi pasami z prądem rzeki.

»Człowiek,« rzekł Shere Khan z zimną krwią, »zabiłem go przed godziną.« I począł mruczeć i warczeć sam do siebie.

Przelęknione szeregi zwierząt poczęły drżeć i chwiać się tam i napowrót, a tłumione szepty spotężniały w okrzyku: »Człowiek! Człowiek! Zabił człowieka!« I wszystko zwróciło się twarzą ku miejscu, gdzie stał Hathi; ale on zdawał się nie słyszeć. Hathi bowiem nie działa nigdy przed właściwym czasem i to jest właśnie jeden z powodów, dlaczego żyje tak długo.

»W takich terminach, jak ten, zabijać ludzi! Czyżby ci brakło innej zwierzyny?« rzekła Bagheera pogardliwie, wyłażąc ze splugawionej wody i otrząsając zwyczajem kotów każdą łapę zosobna.

»Zabiłem, bo tak mi się podobało — nie zabijałem z potrzeby.«

Po tych słowach rozległ się znowu szmer oburzenia, a małe, białe i czujne oko Hathi'ego błysło złowrogo w stronę Shere Khana. »Bo tak mi się podobało,« wycedził powoli Shere Khan. »Teraz zasię przychodzę, by się napić dosyta i opłukać. Czy się kto temu sprzeciwia?«

Grzbiet Bagheery począł się prężyć i giąć, jak trzcina bambusowa w silnym wietrze, ale Hathi wzniósł trąbę do góry i rzekł spokojnie:

»Zabiłeś, bo ci się tak podobało?« zapytał; a gdy Hathi zadaje pytanie, najlepiej odpowiedzieć.

»Właśnie tak. Moja dziś była noc i moje prawo. Ty wiesz o tem, o Hathi!« Shere Khan odpowiadał prawie uprzejmie.

»Wiem o tem,« odparł Hathi, a po chwili milczenia: »czyś się już napił dosyta?«

»Na tę noc, tak!«

»Odejdź więc! Rzeka jest na to, by z niej czerpać, nie, by ją plugawić. Tylko kulawy tygrys będzie się chełpił ze swego prawa wtedy, gdy — gdy cierpimy razem — plemiona ludzi i plemiona Dżungli. Czyś czysty, czyś nieczysty, wracaj do swojej nory, Shere Khanie!«

Ostatnie słowa zagrzmiały tak donośnie, jakby srebrną trąbą wyrzucone, a trzej synowie Hathi'ego potoczyli się pół kroku naprzód — jednak bez potrzeby. Shere Khan wyśliznął się bowiem, nie odważywszy się i zawarczeć, gdyż wiedział — co i każdy zresztą wiedział — że jak przyjdzie do ostateczności, Hathi jest bądź co bądź wszechwładnym panem Dżungli.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

БИБЛИОТЕКА

BIBLIOTEKA PUBLICZNA MIEJSKA w BIAŁYMSTOKU

»Nie przy
niedźwiedź, sk
»Nie przy
i napowrót, ig
i targając sol
wyrzekł Sher
nad rzekę. C
jeleni, znajdu
głowę i pocz
prym wodzą
Mowgli
i w tej chw
»Szczenię lu
młode nie j
razie byłoby
je prosić o
»I to
»i to moż
okryłeś!«
Kulaw
krew i pł
»Czło
godziną.«
Przel
i napowr
Człowiek
miejscu,
nie dział
z powod

»O jakiem to prawie mówił Shere Khan,« zaszeptał Mowgli do ucha Bagheerze. »Wszak zabicie człowieka jest *zawsze* czynem pełnym hańby. Tak mówi Prawo. A jednak Hathi powiada, że . . .«

»Zapytaj go. Nie znam się na tem, mały bracie! Czy miał prawo zabijać, czy go nie miał — gdyby był Hathi nie przemówił, byłabym dała dobrą nauczkę temu kulawemu rzeźnikowi. Przychodzić do Skały Pokoju, zabiwszy przed chwilą człowieka — to szelmostwo godne szakala. Dodajmy, iż nadto splugawił nam czystą wodę.«

Mowgli zaczekał chwilę, by nabrać odwagi, gdyż nie jest to byle jaką rzeczą przemawiać wprost do Hathi'ego — wkońcu jednak spytał: »Jakież to prawo przysługiwało Shere Khanowi, o Hathi?« Oba brzegi powtórzyły to pytanie, gdyż cały lud Dżungli odznacza się niepowściągliwą ciekawością, a nadto usłyszał przed chwilą coś, czego żaden nie mógł zrozumieć prócz Baloo'a, który myśląco spoglądał przed siebie i zdawał się wszystko pojmować.

»To dawne dzieje,« rzekł Hathi, »dawniejsze niż Dżungla. Zmilknijcie wy tam na brzegach, a opowiem wam te dzieje . . .«

Upłynęło parę chwil, podczas których dziki i bawoły trącały się i popychały, szukając dogodnego miejsca do słuchania, wreszcie przodownicy trzód zawołali jeden po drugim: »Czekamy«, a Hathi postąpił naprzód, aż wszedłszy prawie po kolana w bagno, stanął obok Skały Pokoju. A choć był wychudły, zmarszczkami okryty, choć kły mu zżółkniały od starości, zawsze jednak wyglądał na to, za co go cała Dżungla uważała — na jej Pana.

»Wiecie snadź o tem, moje dzieci,« rozpoczął, »że ze wszystkich stworzeń największą trwogę w was budzi człowiek.« Słowom tym towarzyszył szmer potwierdzeń.

»Ta mowa dotyczy ciebie, mały bracie,« ozwała się Bagheera do Mowgli'ego.

»Mnie? Przynależę do gromady — jestem myśliwym Wolnego Ludu,« odpowiedział Mowgli. »Cóż ja mam z ludźmi wspólnego?«

»A wiecież wy, dlaczego lękacie się człowieka?« ciągnął dalej Hathi. »Oto przyczyna. — W początkach istnienia Dżungli, a nikt nie pamięta, kiedy to było, chadzaliśmy razem — wszystkie plemiona — nie wzbudzając jedni w drugich wzajemnej trwogi. W owych czasach nie wiedziano, co to susza; liście, owoce i kwiaty rosły razem na jednem drzewie, a myśmy żywili się wyłącznie liśćmi, kwiatami, owocem i korą.«

»Cieszę się niewymownie, żem nie żyła w owych czasach,« rzekła Bagheera. »Kora dobra chyba do ostrzenia pazurów.«

»A władcą Dżungli był Tha, praojciec słoni. On to zapomocą swej trąby wywiódł Dżunglę z głębiny wód, a gdzie wyrył brózdę w ziemi swojemi kłami, tamtędy mknęły wartkie strumienie, a gdzie nadeptał stopą, tam rodziły się jeziora o dobrej, chłodzącej wodzie — a kędy zadął trąbą, waliły się z łoskotem drzewa. Tak więc Tha powołał do życia Dżunglę — i tak przekazano mi to w podaniu.«

»Które zapewne nie schudło od częstego powtarzania,« zaszeptała Bagheera, a Mowgli śmiał się, zakrywszy dłonią usta.

»W owych czasach nie było ani ryżu, ani melonów, ani pieprzu, ani trzciny cukrowej; nie było tych drobnych chat, któreśmy wszyscy widzieli; plemię Dżungli nic nie wiedziało o człowieku, lecz żyło w puszczy razem, tworząc jeden lud. Lecz wkrótce zaczęto się waśnić o pożywienie, jakkolwiek trawy było poddostatkiem dla wszystkich. Do puszczy wkradła się ospałość. Każdy chciał jeść tam, gdzie leżał, jak to teraz niekiedy czynić możemy, gdy obfite deszcze wiosenne padają. Prarodzic słoni Tha stwarzał coraz to nowe Dżungle i kierował rzeki w łożyska. Nie mogąc przeto być obecnym wszędzie, uczynił praojca tygrysów mistrzem i sędzią Dżungli, a w jego obli-

czności wszystkie plemiona miały wytaczać swoje spory. W owych czasach praojciec tygrysów karmił się trawą i owocami, jak inni. Był on tak wielki jak ja, a barwa jego była podobna kwieciu żółtej liany. Żadnej plamy, żadnej pręgi nie było na jego bokach w owych dobrych czasach, kiedy to Dżungla kwitła świeżą młodością. Lud Dżungli przystępował do niego bez obawy, a słowo jego było prawem dla całej Dżungli. Tworzyliśmy bowiem wtedy — pamiętajcie o tem — jeden lud. Ale razu pewnego, a było to w nocy, powstał spór między dwoma kozłami — spór o paszę, jaki obecnie kończy się u was walką na głowy i przednie nogi. A było to tak: gdy oba kozły wytoczyły sprawę przed praojcem tygrysów, który rozciągnięty na kwiatach używał właśnie wczasu, jeden z kozłów uderzył go nogami, a praojciec tygrysów, zapominając o tem, iż jest mistrzem i sędzią Dżungli, skoczył na kozła i skręcił mu kark.

Aż do tej nocy żaden z nas nie zaznał śmierci — przeto praojciec tygrysów, zobaczywszy co uczynił, zapachem krwi przyprowadzony do szaleństwa, umknął ku bagniskom Północy, a my, mieszkańcy Dżungli, zostawszy bez sędziego, poczęliśmy walczyć ze sobą. Tha usłyszał zgiełk i powrócił; a jedni z nas mówili mu to, a drudzy z nas mówili mu owo, ale on zobaczył zabitego kozła pomiędzy kwiatami i zapytał, ktoby to uczynił; my zaś nie śmieliśmy mu tego wyjawić, gdyż zapach krwi zarażał nas szałem, jak to i teraz jeszcze bywa. Biegaliśmy tam i napowrót, zataczając błędne koła, czyniąc podskoki, wydając przeraźliwe głosy ze siebie, wstrząsając głową. Przeto Tha rozkazał drzewom o zwieszających się gałęziach i wijącym się pnączom w Dżungli napiętnować zabójcę kozła, by go mógł poznać w przyszłości; i nadto spytał Tha: »Kto chce teraz być mistrzem Dżungli?« Wówczas zeskoczyła szara małpa, żyjąca na konarach drzew i rzekła: »Ja będę mistrzynią Dżungli.« A Tha

roześmiawszy się rzekł: »Niech tak będzie« — i pełen gniewu odszedł precz.

Znacie dzieci, szarą małpę. Była taką, jaką jest dzisiaj. Najpierw więc zrobiła mądrą minę, ale wkrótce zaczęła się drapać pazurami i skakać z góry na dół i z dołu do góry — a skoro Tha powrócił, zastał szarą małpę bujającą na gałęzi głową ku dołowi. Przedrzeźniała tych, którzy stali niżej; ci zaś szydzili z niej. I tak nie było Prawa w Dżungli — były tylko mowy szaleńców i paplaniny głupców.

Wtedy Tha zwołał nas wszystkich razem i rzekł: »Pierwszy wasz mistrz wprowadził do Dżungli Śmierć — drugi Hańbę. Teraz nadszedł czas, by wam dać Prawo, któregobyście nie śmieli złamać. Teraz poznacie Lęk — a gdy go znajdziecie, obaczycie, że on jest waszym Panem; reszta nastąpi potem.« I myśmy spytali: »Co jest Lęk?« I odparł Tha: »Szukajcie, aż go znajdziecie.« Tedy rozpoczęliśmy biegać po całej Dżungli z dołu do góry, z góry w dół, szukając Lęku; aż bawoły — —«

»*Uuh!*« zaryczał z piaszczystej ławicy *Mysa*, przodownik bawołów.

»Tak, Myso, to były bawoły! Przybyły z wieścią, że w pewnej jaskini w Dżungli kryje się *Lęk*, że nie ma na sobie włosów, że stąpa na tylnych nogach. Wówczas to my, mieszkańcy Dżungli, pobiegliśmy tropem trzody, aż przybyliśmy do jaskini, a Lęk stał u jej wejścia i był rzeczywiście, jak opowiadały bawoły, bezwłosym i chodził na tylnych nogach. Zobaczywszy nas — wydał okrzyk — i ten głos napełnił nas dobrze nam dziś znanem przerażeniem; więc uciekliśmy, rozpychając się wzajemnie, następując na siebie, gdyż ogarnęła nas trwoga. Tej nocy, jak mi opowiadano, nie poukładaliśmy się obok siebie na spoczynek, jak to było dotąd naszym zwyczajem, lecz każdy ród leżał zosobna; dzik przy dziku, jeleń przy jeleniu; róg przy rogu,

kopyto obok kopyta — i tak wszyscy leżeli w Dżungli, pełni strachu, drżenia i trwogi.

Brakło tylko między nami praojca tygrysów, który siedział jeszcze ukryty w bagniskach Północy — a skoro się tylko dowiedział o istocie, którą widzieliśmy w jaskini, rzekł: »Pójdę tam i skręcę jej kark!« I pędził przez całą noc i przybył do tej jaskini, ale drzewa i liany na jego drodze, pamiętając, co im rozkazał Tha, opuściły gałęzie i piętnowały go w biegu, przeciągając palcami po jego grzbiecie, bokach, głowie i brodzie. A gdzie go tylko tknęły, tam rodziły się znaki i pręgi na jego żółtej skórze. *I pręgi owe noszą jego dzieci aż po dzisiejsze dnie!* Skoro przybiegł do jaskini, wówczas Lęk, istota bezwłosa, podniósł rękę i nazwał go »pręgowatym potworem, co przychodzi w noc«; i zląkł się praojciec tygrysów Istoty Bezwłosej i pomknął z powrotem na bagna, wyjąc przeraźliwie.« —

Mowgli zaśmiał się cicho, zanurzywszy brodę do wody. —

»A wył tak głośno, że aż Tha usłyszał go i spytał: »Cóż ci dolega?« A praojciec tygrysów wznosząc paszczę do świeżo stworzonego nieba, które jest już dziś tak stare, rzekł: »Wróć mi moją dawną władzę, o Tha. Okryłem się hańbą wobec całej Dżungli, gdyż uciekłem strwożony przed Istotą Bezwłosą, a ona rzuciła mi w oczy hańbiące przezwisko.«

»Czemuż tak uczyniła?« spytał Tha. »Gdyż jestem okryty mułem bagien,« odparł praojciec tygrysów. »Wykąp się więc i wytarzaj po trawie, a jeśli to jest namuł, tedy się opłucze,« rzekł Tha; i praojciec tygrysów kąpał się i tarzał się, tarzał, aż Dżungla wirem kół zakręciła mu się w oczach, ale ani jedna pręga nie znikła mu ze skóry, a Tha patrząc na niego uśmiechnął się. Tedy praojciec tygrysów rzekł: »Czemże na to zasłużyłem?« I odparł Tha: »Zabiłeś kozła i wpuściłeś Śmierć do Dżungli, a wraz z Śmiercią przybył i Lęk, tak, iż

plemiona Dżungli czują trwogę jedne przed drugiemi, jako i ty uczułeś trwogę przed Istotą Bezwłosą.« A praojciec tygrysów rzekł: »Mnie nie będą się lękały, gdyż znam je od początku.« Na to Tha: »Pójdź i zobacz.« I pognał praojciec tygrysów w tę i ową stronę, wołając głosem wielkim na jelenia, dzika, sambhura, jeżatkę i cały lud Dżungli; lecz wszystkie zwierzęta umykały w popłochu przed tym, który był niegdyś nad niemi sędzią, gdyż ogarniała je trwoga...

Wtedy powrócił praojciec tygrysów; — duma jego była złamana — więc uderzając głową o ziemię, darł ją nogami i rzekł: »Pomnij, że byłem niegdyś mistrzem Dżungli! Nie zapominaj o mnie, o Tha! Pozwól, by moje dzieci wspominały, iż niedgyś nie znałem ni hańby, ni trwogi.« I odpowiedział Tha: »Na to jedno zezwolę, gdyż ty i ja widzieliśmy razem powstawanie Dżungli. Przez jedną noc każdego roku będzie tak, jak było przed zabiciem kozła — dla ciebie i dla twoich dzieci. Tej jednej nocy, skoro ujrzysz Istotę Bezwłosą — a imię jej jest Człowiek — nie będziesz się jej lękał, lecz ona lękać się będzie ciebie, jak gdybyś był jeszcze sędzią pustyń i mistrzem Dżungli. Miej nad nią miłosierdzie w tej nocy jej lęku, skoroś poznał, czem jest Lęk.«

Wtedy praojciec tygrysów odpowiedział: »To mi wystarczy«; — ale kiedy w najbliższym czasie pił wodę, ujrzał czarne pręgi na swych bokach i skórze, wspomniał przezwisko, jakie mu nadała Istota Bezwłosa i zapłonął gniewem. Przez cały rok ukrywał się w bagnach, czekając, kiedy Tha wypełni mu obietnicę. Ale jednej nocy, gdy Szakal Księżyca (gwiazda wieczorna) świecił jasno nad Dżunglą, uczuł, że noc jego nadchodzi, i pomknął ku owej jaskini, by w niej znaleźć Istotę Bezwłosą. I stało się tak, jak Tha przepowiadał, gdyż Istota Bezwłosa uderzyła przed nim czołem i leżała rozciągnięta na ziemi, a praojciec tygrysów rzucił się na nią i skręcił jej kark — gdyż

myślał, że tylko jeden twór taki żyje i że zabił Lęk. Kiedy zaś upajał się wonią krwi, wytoczonej ze swej ofiary, ujrzał Tha, wychodzącego z lasów Północy, a po chwili usłyszał głos praojca słoni, ten głos, który teraz słyszymy — —«

Głuchy grzmot przetoczył się hucząc po stropie nieba tam i napowrót, ale nie sprowadził deszczu — jeno ciche jaśnienia błyskawic rozpalały się za wierzchołkami skał i gasły, a Hathi ciągnął dalej:

»Taki to głos on usłyszał — a głos ów zagrzmiał: »Takie jest twoje miłosierdzie?« A praojciec tygrysów oblizał wargi i rzekł: »Cóż złego? Zabiłem Lęk.« A Tha zagrzmiał: »O ślepy, o głupi! Przeciąłeś więzy Śmierci, która iść będzie odtąd twoim śladem, póki nie zginiesz. Nauczyłeś człowieka zabijać!«

Lecz praojciec tygrysów, stojąc nieporuszenie nad swoją ofiarą, rzekł: »On wygląda tak, jak kozioł przezemnie zabity. Niema już Lęku. Teraz pragnę znowu być sędzią Dżungli.«

A Tha rzekł: »Nigdy już nie przyjdą plemiona Dżungli do ciebie, nie będą śladów swoich wyciskały obok śladów twoich, nie ułożą się obok ciebie do spoczynku, nie pójdą za tobą, nie będą się pasły obok twego legowiska. Tylko jeden Lęk pójdzie twemi ślady i ciosami, których nie zdołasz przewidzieć, zakuje ciebie w jarzmo swej woli. Na jego rozkaz ziemia się rozstąpi pod twemi stopami i pnącze ścisną twój kark i pnie drzew wyrosną gromadnie nad tobą, wyżej, niż skokiem dosięgniesz; on zedrze z ciebie skórę i otuli nią swe młode, gdy pomarzną. Nie miałeś ty nad nim miłosierdzia, i on nad tobą mieć go nie będzie.«

Praojciec tygrysów był pełen zuchwałości i buty, gdyż noc jego była z nim, więc rzekł: »Obietnica, którą dał Tha, pozostanie zawsze jego obietnicą. On mi nie odbierze mojej nocy?« Na to Tha: »Noc twoja będzie zawsze twoją nocą, jak powiedziałem, lecz musisz

za to zapłacić. Nauczyłeś człowieka zabijać — a on uczy się prędko!«

Praojciec tygrysów rzekł: »Oto leży tutaj pod memi stopami z przełamanym grzbietem. Pozwól, niech Dżungla się dowie, że zabiłem Lęk.«

Wtedy Tha uśmiechnął się i rzekł: »Zabiłeś jednego pośród wielu — lecz sam pośpiesz oznajmić o tem Dżungli — noc twoja minęła.«

I nadszedł dzień; a z czeluści jaskini wyszła druga Istota Bezwłosa i zobaczyła trupa na drodze i praojca tygrysów stojącego nad nim — i ujęła zaostrzony kij...«

»Oni i teraz jeszcze rzucają coś takiego, co tnie,« rzekła jeżatka Sahi, schodząc z brzegu i chrzęszcząc kolcami; Sahi uchodzi za najlepszy przysmak u Gondów — nazywają go oni *Ho-Igoo* — i mogłaby wiele opowiedzieć o złośliwych a drobnych siekierkach Gondów, które wirują ze świstem w powietrzu, podobne do brzęczących owadów...

»Był to zaostrzony kij — podobny do tych, jakie teraz zatykają na dnie pułapek,« ciągnął dalej Hathi; »taki to kij cisnął ów twór bezwłosy w bok praojca tygrysów. I stało się tak, jak powiedział Tha i praojciec tygrysów uganiał wyjąc po Dżungli, tak długo, aż zdołał kij wyrwać z boku, a plemiona Dżungli dowiedziawszy się, że Istota Bezwłosa umie zadawać razy z oddalenia, lękały się jej odtąd bardziej niż poprzednio. W ten sposób nauczył praojciec tygrysów człowieka zabijać — i wiecie snadź, jaką to niedolę sprowadziło na lud Dżungli: sidła, pułapki, zdradliwe doły, latające pociski, kolące muchy, które nadlatują białym owiane dymem (Hathi miał tu na myśli strzelby) i Czerwony Kwiat, który nas wygania daleko na pola... I tylko przez jedną noc w roku — wedle prawdziwych słów Tha — czuje Istota Bezwłosa trwogę przed tygrysem, a tygrys jeszcze nigdy nie dał jej powodu do pozbycia się tej trwogi... Gdziekolwiek ją

BIBLIOTEKA MIEJSKA M. ST. WARSZAWY



bowiem znajdzie, tam ją zabija, gdyż wie, iż w niej leżało źródło hańby, którą się okrył praojciec tygrysów. Zresztą — krąży Lęk po Dżungli bez przeszkody — nocą i dniem.«

»*Ahi! Ahu!*« zajęczały jelenie, myśląc o tem, czem to zagraża.

»I tylko wtedy, gdy nami zawładnie wielki Lęk (jak to się dzieje teraz), możemy my mieszkańcy Dżungli wyzbyć się małych lęków i zebrać się razem w jednem miejscu, jak to dzisiaj czynimy.«

»Tylko przez jedną noc boi się człowiek tygrysa?« spytał Mowgli.

»Tylko przez jedną noc,« odparł Hathi.

»Ależ ja — ależ my — ależ cała Dżungla wie o tem dobrze, że Shere Khan zabija człowieka dwa lub trzy razy w miesiącu.«

»Tak. Wtedy jednak napada nań od tyłu i odwraca wzrok, gdyż jest pełen trwogi. Gdyby człowiek spojrzał mu w oczy — stchórzyłby tygrys pewnie. Lecz gdy noc jego nadejdzie, schodzi otwarcie do wioski, okrąża swobodnie chaty, zagląda do ich wnętrza, ludzie padają na twarz przed nim, a on — zabija. Zabija raz jeden — tej właśnie nocy.«

»Oh,« zaszeptał Mowgli, obracając się we wodzie. »Teraz rozumiem, dlaczego Shere Khan kazał mi sobie spojrzeć w oczy. Ale niewiele mu to pomogło, gdyż nie mógł znieść mego wzroku i — z pewnością nie padłbym mu do nóg. Ale też ja nie jestem człowiekiem; jestem członkiem Wolnego Ludu.«

»Umm,« zamruczała Bagheera w głębi swej gęsto owłoszonej gardzieli. »Czy tygrys umie rozeznać, *która* noc jest jego?«

»Nie umie — aż Szakal Księżyca zajaśnieje nad mgłami wieczoru. Czasami na skwarne lato, czasami na słotną jesień przypada owa jedyna noc tygrysa. Lecz — gdyby był ojciec tygrysów nie zawinił, nie byłoby przyszło do tego wszystkiego, a my bylibyśmy nie poznali Lęku.«

Jelenie westchnęły ciężko, a wargi Bagheery okrążał uśmiech zjadliwy. »Czy i ludzie znają to . . . podanie?« spytała.

»Nikt go nie zna — prócz tygrysów i nas słoni — potomków Tha. Teraz wy, plemiona z nad brzegów i bagien, usłyszeliście je — a ja — skończyłem opowiadanie.«

Hathi zanurzył trąbę we wodzie na znak, że dłużej nie życzy sobie mówić.

»Ale — ale — ale,« przerwał Mowgli, zwracając się do brunatnego niedźwiedzia, »dlaczegoż praojciec tygrysów nie jadł dalej trawy, liści i kory. Skręcił on wprawdzie kark kozłowi — ale go *nie jadł*. Cóż zmusiło go do karmienia się gorącem mięsem?«

»Drzewa i pnącze napiętnowały go, mały bracie, i uczyniły go pręgowatym potworem, jakich teraz wiele oglądamy. Nie chciał przeto słyszeć o owocach i liściach drzew, ale zato wywierał odtąd zemstę na jeleniach i innych karmiących się roślinami,« odpowiedział Baloo.

»Więc ty znasz tę opowieść? Ha, dlaczego ja jej nigdy nie słyszałem?«

»Gdyż Dżungla pełna jest takich opowieści. Gdybym ci je zaczął opowiadać, tobym i końca nie doszedł. Puść mi ucho, mały bracie.«

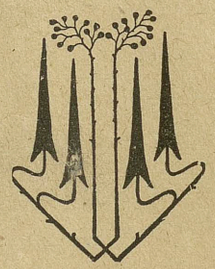

PRAWO DŻUNGLI

Aby wam dać pojęcie o ogromnej różnorodności prawa w Dżungli, przełożyłem wierszem kilka ustaw, tyczących się wilków. (Baloo zwykł był je wygłaszać półśpiewem.) Jest tych ustaw naturalnie o wiele więcej, ale jako przykład i te wystarczą.

Oto puszcz Prawo — święte i jasne, jak nieb praodwieczne błękity —
Wilk, gdy go słucha, długo żyć będzie, gdy je złamie, będzie zabity!

Prawo — to liana, co wijąc się wznosi, lub plącząc ku ziemi opada —
Bowiem wilk każdy Gromady jest siłą, siłą zaś wilka — Gromada.

Kąp się codziennie od głowy po ogon; pij, ale nie pij nad siłę,
W nocy — pamiętaj — czekają cię łowy, w dzień zasię wywczasy miłe.

Szakal tygrysa niech bieży śladem; ty, skoro wiek ci dojrzeje,
Pomnij, że wilk łowcą być musi; więc sam na łowy śpiesz w knieje.

Z tygrysem, panterą, niedźwiedziem żyj w zgodzie: ci Dżungli władcami są ninie,
Nie mąć nigdy milczenia Hathi'ego, nie szydź też z dzika w gęstwinie.

Gdy Gromada spotkawszy Gromadę nie chce z drogi jej pierwsza ustąpić,
Leż cicho, aż wodze przemówią — mądre słowo czyn może zastąpić.

Gdy dwóch was walczy z jednej Gromady, w bezdroże usuńcie się chwaty!
By się inni w wasz spór nie wmieszali i Gromada nie miała stąd straty.

Leże wilka jest jego schronieniem — gdy raz się ukrył w swej norze,
Nawet Rada, nawet przodownik wejść do jej wnętrza nie może.

Leże wilka jest jego schronieniem — jeśli jednak zbyt widne jest oku,
Musi je zmienić, stosownie do Rady mądrego wyroku.

Hatl
sobie m
»Ale
tnego ni
liści i k
Cóż zmu
»Dr
pręgowa
słyszeć
na jeleni
»Wi
słyszałem
»Gd
opowiad

Gdy przed północą polujesz w boru, niech szczek twój po gąszczach nie bieży,
Abyś nie spłoszył jeleni i braciom nie wyrwał sutej wieczerzy.

Wolno-ć dla siebie, samicy i szczeniąt zabijać w lesie i grabić,
Lecz nie zabijaj bez celu *i nigdy nie wolno człowieka ci zabić.*

Jeśli zrabujesz zdobycz słabszemu, nigdy nie pożrej wszystkiego,
Prawo Gromady jest prawem najsłabszych, skóra i głowa są jego. —

Zdobycz Gromady jest żerem Gromady; masz ją spożywać, gdzie stoisz —
Nie bierz ni kęsa ze sobą do nory, jeżeli śmierci się boisz.

Zdobycz wilka jest wilka żerem. On bez zastrzeżeń nią włada —
Gdy nie zezwoli — udziału w biesiadzie nie może wziąć — nawet Gromada.

Prawo szczenięcia jest wilcząt prawem. Te mogą zawsze i wszędzie
Żądać zdobyczy od tego, co syty, a nikt się sprzeciwiać nie będzie.

Prawo barłogu jest prawem matek. Te mogą zawsze i wszędzie
Żądać żywności od swego pomiotu, a nikt się sprzeciwiać nie będzie.

Prawo nory jest ojca prawem. On łupem jak chce, tak rządzi —
On nie podlega Gromadzie, lecz sama Rada we wszystkiem go sądzi.

Tam, gdzie brak prawa, trzeba, by wodza słowo tem prawem się stało,
On bowiem wszystkich przewyższa mądrością i siłą iście zuchwałą.

Oto są prawa Dżungli prześwięte — prócz tych, są jeszcze i inne —
Jednak praw biodrem i udem i głową jest — posłuszeństwo powinne!

CUD PURUN'A BHAGAT'A

Gdyśmy poczuli, że wnętrza ziem drżą,
Dłoń jego w dłonie ujęliśmy swe —
Gdyż kochaliśmy go miłością tą,
Co dużo czuje, choć mało wie.

A gdy świat zginął w zatopie wód,
I z łoskotem skał jędrnych spękał mur,
Ocaliliśmy go — my, Mały Lud; —
Lecz, ach! on już odszedł od naszych gór.

O, płaczmy! Miłość naszą miał on —
Tę biedną, którą kołysał las;
O, płaczcie! Brata nam zabrał zgon,
A ród jego precz stąd wygania nas.

Śpiew pogrzebowy Langurów.



Żył ongiś w Indjach pewien człowiek, który był pierwszym ministrem jednego z napół niezawisłych tubylczych państw w północno-zachodniej części kraju. Był braminem tak wysokiej kasty, że kasta mogła mieć u niego jedynie bardzo nieznaczną wartość; a ojciec jego był wysokim urzędnikiem wśród pstrej, postrojonej w świecidła i warkocze gawiedzi pewnego staroświeckiego indyjskiego dworu. Ale skoro Purun Dass dorósł, poznał, iż odmieniły się stosunki, że kto chce iść naprzód, musi stanąć po stronie Anglików i naśladować wszystko, co Anglicy uważają za dobre. Atoli równocześnie musi się tubylczy urzędnik starać o łaskę i względy

swego władcy. Była to więc bardzo trudna gra, ale spokojny, milczący, młody bramin, wsparty doskonałą angielską edukacją na uniwersytecie w Bombaju, brał rzeczy na zimno, aż doszedł, idąc krok za krokiem, do godności pierwszego ministra w państwie. Jednem słowem — miał więcej rzeczywistej władzy, niż pan jego Maharajah.

Gdy stary król — który zazdrościł Anglikom ich kolei żelaznych i telegrafów — umarł, stał Purun Dass w wielkiem poważaniu u jego młodego spadkobiercy, który również odebrał wychowanie angielskie i obaj — Purun Dass jednak czynił tak, by cała zasługa przypadała królowi w udziale — zakładali szkoły dla dziewcząt, bili gościńce, otwierali apteki państwowe, wydawali corocznie błękitną księgę o »moralnym i materjalnym postępie Państwa«, a Foreign Office i rząd indyjski były w siódmem niebie. Bardzo mało tubylczych państw przyjmuje postęp angielski bez zastrzeżeń, gdyż nie chcą być tego zdania, jakie miał Purun Dass, że co dobre dla Anglika, musi być podwójnie dobrem dla Azjaty. Pierwszy minister został zaszczycony przyjaźnią wicekrólów i gubernatorów i podgubernatorów i misjonarzy-medyków i zwykłych misjonarzy i dzielnych na koniu angielskich oficerów, którzy się zjeżdżali na polowania do rządowych zwierzyńców, jako też całej rzeszy turystów, wałęsającej się podczas chłodnej pory roku po całych Indjach tam i napowrót i dającej mądre wskazówki, jakby właściwie wszystkiem należało zarządzić. W wolnym czasie ustanawiał stypendja dla studjujących medycynę, zakładał fabryki na sposób czysto angielski, nadto pisał artykuły do »*Pioniera*«, największej gazety indyjskiej, tłumacząc swego władcy zamysły i plany.

A wkońcu odwiedził Anglję i powróciwszy, musiał się opłacić kapłanom bajeczną sumą: gdyż nawet bramin tak wysokiej kasty, jak Purun Dass, traci kastę, skoro przekroczy ciemnobłękitne morze.

W Londynie spotykał się ze wszystkiem, co miało wartość — schodził się i rozmawiał z ludźmi, których imiona na cały świat głośne — a widział o wiele, wiele więcej, niż mówił. Otrzymywał honorowe dyplomy od uczonych uniwersytetów, miewał przemowy, rozprawiał o socjalnej reformie w Indjach z angielskiemi damami w balowych strojach, aż cały Londyn zawołał: »Jest to najbardziej czarujący mężczyzna z pomiędzy wszystkich, jakich się spotyka na obiadach, od czasu, jak pierwszy stół do obiadu nakryto.«

Gdy powrócił do Indyj, sława jego stanęła u szczytu, gdyż sam wicekról przyjechał ze specjalną wizytą do kraju, by wręczyć królowi Maharajah Wielki Krzyż Gwiazdy Indyjskiej, oślepiający blaskiem diamentów, wstęg i emalij; a podczas tej uroczystości, wśród rzęsistych salw armatnich został Purun Dass zamianowany Wielkim Komandorem orderu Państwa Indyjskiego; brzmiało więc odtąd jego imię: Sir Purun Dass, W. K. P. I.

I tegoż wieczora, przy biesiadzie w potężnym namiocie wicekróla powstał, mając na piersi przypięte odznaki i wstęgi orderu i, odpowiadając na toast wzniesiony na pomyślność swego władcy, wypowiedział mowę, w której niewielu Anglików zdołałoby go prześcignąć.

W następnym miesiącu, gdy miasto leżało pogrążone w spiece i ciszy, uczynił coś, coby żadnemu Anglikowi nie przyszło do głowy nawet i we śnie, mianowicie — o ile to się przynajmniej do jego rzeczy doczesnych odnosiło — umarł. Brylantami wysadzana wstęga jego orderu powróciła do rządu indyjskiego, nowy minister został zapoznany ze sprawami państwa, a w urzędach rozpoczęły się wielkie zabiegi o awanse.

Kapłani wiedzieli, co zaszło, naród się domyślał; ale Indje są jedynem miejscem na świecie, gdzie każdy może czynić, co mu się podoba, a nikt nie spyta o powód; faktu więc, iż Sir Purun Dass

zrezygnował z posady, pałacu i władzy dla żebraczej miski i żółtej szaty Sunnyasi'ego, czyli świętego męża, nie uważano za niezwykły. Był on stosownie do nakazu prawa dwadzieścia lat młodzieńcem, dwadzieścia lat wojownikiem — jakkolwiek nigdy w życiu i nie tknął broni — dwadzieścia lat głową rodziny. Używał majątku i władzy stosownie do wartości, jaką im przypisywał; przyjmował zaszczyty, gdy mu weszły w drogę; oglądał ludzi i miastą zbliska i zdaleka, a ludzie i miasta pochylały się przed nim i zaszczycały go. Teraz pragnął wszystko z siebie zrzucić, jak się zrzuca płaszcz, nie nadający się do dalszego używania.

Poza nim, gdy szedł przez bramy miasta niosąc pod pachami skórę antylopy, kij z mosiężną rączką, a w ręce miskę żebraczą z wygładzonego, brunatnego *coco-de-mer*, bosy, samotny, z oczyma spuszczonemi ku ziemi — poza nim rozlegały się z bastjonów salwy armatnie na cześć jego szczęśliwego następcy. Purun Dass pokiwał głową. Całe jego życie było skończone i nieciło w nim tyle tylko pragnień lub nienawiści, ile bezbarwny sen nocy. Był on Sunnyasi'm — bezdomnym, wędrownym żebrakiem, otrzymywał od sąsiadów kawał codziennego chleba; a dopóki kawałek chleba, choćby najmniejszy, pozostanie do rozdzielenia w Indjach, nie zamrze tam z głodu żaden kapłan, ni żebrak. Nigdy on w życiu swojem nie tknął mięsa, a nawet rzadko brał do ust rybę. Banknot pięciofuntowy byłby wystarczył na opędzenie osobistych potrzeb jego życia nawet w tych latach, gdy był absolutnym panem miljonowych sum. Lecz nawet wtedy, gdy był najznakomitszą osobą w Londynie, rozkwitał przed jego oczyma sen o spoczynku i pokoju: — długi, biały, kurzem okryty gościniec w Indjach, obsiany odciskami bosych nóg, nieustanny a wolny ruch na drogach i ostry dym płonących drewn, plączący się pod drzewami figowemi w mroku, gdy wędrowcy siedzą przy wieczerzy.

Skoro nadszedł czas, by sen ów w rzeczywistość przemienić, poczynił pierwszy minister odpowiednie ku temu kroki i w trzy dni potem łatwiej by przyszło odnaleźć kroplę w bezdennej otchłani Atlantyku, niż Purun'a Dass'a wśród błędnych, spływających i rozpływających się miljonów Indyj.

W nocy, gdy go ciemność zaskoczyła, rozścielał skórę antylopy — czasem przy drodze, w klasztorze Sunnyasi'ch; czasem pod glinianemi filarami ołtarza bóstwa »Kala Pir«, gdzie »Jogis«, tworzący drugą mistyczną sektę świętych mężów, podejmowali go, jako człowieka, znającego wartość sekty i kasty; czasem na granicy małej indyjskiej wioski, gdzie przekradały się do niego dzieci, znosząc mu pożywienie, przyrządzone przez rodziców; czasami znowu przy źródle śród skąpych pastwisk, gdzie żar jego ogniska budził senne wielbłądy. Wszystko było jednem dla Purun'a Dass'a, lub, jak się sam teraz nazwał, Purun'a Bhagat'a. Ziemia, lud, pożywienie było jednem. I poniewoli niosły go kroki w stronę północną i wschodnią; od południa ku Rohtak'owi; od Rohtak'u do Kornool'u; od Kornool'u do ruin Samanah, następnie górą rzeki Gugger, wzdłuż jej wyschłego łożyska, aż pewnego dnia ujrzał dalekie pasmo wielkich Himalajów.

Tedy roześmiał się Purun Bhagat, wspomniawszy, iż matka jego pochodziła z rodu braminów z Rajput, z wąwozu »Kulu«, że była dzieckiem gór, wiecznie tęskniącem za śnieżystemi wierzchołkami i że wkońcu ten, który ma choćby najdrobniejszą kroplę krwi górskiej w żyłach, powraca z nieubłaganą koniecznością tam, dokąd przynależy...

»Tam,« mówił Purun Bhagat, wdzierając się na dolne stoki Sewaliku, gdzie zakwitały kaktusy, podobne siedmioramiennym świecznikom, »tam usiądę i nabędę mądrości«; a zimny wiatr, idący od Himalajów, świstał mu koło uszu, gdy wstąpił na drogę, prowadzącą do Simli.

Ostatni raz przejeżdżał tym wąwozem z wielką okazałością w otoczeniu szumnej konnicy, składając wizytę najszlachetniejszemu i najlepszemu z wicekrólów; rozmawiali obaj przez godzinę o swych wspólnych przyjaciołach w Londynie i o tem, co zwykły gmin indyjski przez to lub owo rozumie. Dziś Purun Bhagat nie czynił żadnych odwiedzin, lecz wsparł się o poręcz placu gry, pojąc wzrok majestatem wspaniałego widoku na dolinę, rozciągającą się w dole na obszarze czterdziestu mil, aż tubylczy policjant, Mahometanin, zwrócił mu uwagę, że tamuje ruch przy drodze; i Purun Bhagat ukorzył się ze czcią przed prawem, gdyż znał jego wartość i sam dla siebie go szukał. Potem ruszył dalej i przepędził noc w opuszczonej chacie w miejscowości »Chota Simla«, która, zdawałoby się, leży na końcu świata, lecz był to ledwie początek jego wędrówek. Wstąpił na drogę himalajsko-tybetańską, która jest wąskim na dziesięć stóp gościńcem, w twardej opoce wykutym, lub na palach wiszącym; nad przepaściami tysiące stóp głębokiemi, która spływa w ciepłe wilgotne słoneczne doliny lub wspina się na nagie porosłe trawą wirchy górskie, gdzie słońce pali jak przez soczewkę; lub też przewija się przez ciemne, dżdżące wilgocią lasy, gdzie paprocie owijają pnie drzew od stóp do głów, a bażant nawołuje samiczkę. I spotykał tybetańskich pasterzy z psami i trzodami owiec, z których każda dźwigała na grzbiecie mały worek boraksu, i wędrownych drwali i otulonych w płaszcze i koce »Lamów« z Tybetu, odbywających pielgrzymkę w głąb Indyj i wysłanników małych, osamotnionych państewek górskich, pędzących cwałem na srokatych, cętkowanych »ponies«, albo kawalkadę jakiegoś »Rajah«, jadącego z odwiedzinami: albo też nie spotykał podczas długiego, jasnego dnia nikogo, jak tylko czarnego niedźwiedzia, który pomrukiwał i rył ziemię w głębi doliny. W początkach wędrówki gwar płynący od świata brzmiał mu jeszcze

w uszach jak szum w tunelu po odejściu pociągu; ale skoro przekroczył szlak mutteeaneejski, ustało poza nim wszystko i Purun Bhagat pozostał sam ze sobą i szedł i podziwiał i rozmyślał, oczy wbiwszy w ziemię, a myśli skierowawszy na chmury.

Pewnego wieczoru stanął na najwyższej przełęczy, do jakiej zdołał dotychczas dotrzeć — wspinał się na nią dwa dni z okładem — i oto ujrzał szereg śniegiem odzianych szczytów, zamykających jak pas horyzont: — góry od piętnastu do dwudziestu tysięcy stóp wysokości wydawały się bliskie na rzut kamienia, choć były o pięćdziesiąt i sześćdziesiąt mil odległe. Przełęcz była uwieńczona gęstym, ciemnym lasem — deodar, orzech, dzika trześnia, oliwa i grusza, przedewszystkiem jednak deodar, ów (prawdziwy) cedr Himalajów; a pod cieniem deodaru stała opuszczona kaplica Kali, czyli Durgi, czyli Sitali, której pomocy wzywa się niekiedy przeciwko ospie.

Purun Dass wymiótł na czysto podłogę, uśmiechnął się łagodnie do wyszczerzonej twarzy bóstwa, zbudował w głębi kaplicy małe ognisko, rozścielił skórę antylopy na posłaniu ze świeżych igieł sosnowych, wziął pod pachy swoją *bairagi* czyli laskę o rączce mosiężnej — i siadł, by odpocząć.

Tuż pod nim opadała stromo ściana skalna na tysiąc pięćset stóp ku głębi, gdzie leżała mała wioska o domach z kamiennemi ścianami, i dachach z udeptanej gliny, wdzierająca się dołem na pochyłe stoki gór. Dokoła niej ciągnęły się ułożone w terasy skąpe pola, podobne do fartucha z pstrych łachmanów, leżącego na kolanach gór; a krowy nie większe od chrabąszczy pasły się między gładkiemi skałami, otaczającemi klepiska zbożowe. Przypatrując się tej dolinie, oko nie doceniało wielkości przedmiotów i nie mogło zrazu stwierdzić, że niski ów kosodrzew, wyrastający ze skał przeciwnych stoków górskich, był w rzeczywistości lasem potężnych sosen, na sto stóp

wysokich. Purun Bhagat ujrzał orła szybującego w otchłań tej straszliwej przepaści, ale wielki ptak zmalał do rozmiarów drobnego punktu, nim do połowy w niej się zanurzył. Drobne pasma pierzchających obłoków snuły się górą i dołem doliny, czepiały się krzesanic górskich, szybując ku górze, lub rozpływały się, gdy dotarły do wyżyn przełęczy. Więc Purun Bhagat rzekł: »Tutaj znajdę pokój.«

Jednak góralom nie czyni to wielkiej różnicy, przebyć sto stóp po pochyłości w górę lub w dół; skoro więc mieszkańcy wioski ujrzeli dym wznoszący się z pustej kapliczki, natychmiast pośpieszył kapłan wioski zboczem wznoszącem się terasami, by powitać przybysza.

A skoro spojrzał w oczy Purun'a Bhagat'a — oczy człowieka, który przywykł rozkazywać tysiącom — spuścił wzrok ku ziemi, podjął miskę żebraczą, nie przemówiwszy słowa, i pośpieszył z powrotem do wioski, głosząc: »Znaleźliśmy wreszcie świętego męża. Nie widziałem nigdy podobnego mu człowieka. Pochodzi z dolin — ale barwa skóry jasna — bramin braminów.« Wtedy wszystkie gospodynie w wiosce spytały: »Czy pozostanie wśród nas?« i każda czyniła, co mogła, by przyrządzić dla Purun'a Bhagat'a najsmaczniejszą strawę.

Pożywienie w górach jest nader proste, ale z tatarki, kukurydzy, ryżu, czerwonego pieprzu, małych rybek z potoku w dolinie, miodu z rurkowatych ulów, ukrytych w skalnych ścianach, nadto suszonych brzoskwiń, turmeryku, dzikiego imbiru i owsianych placków, potrafi zbożna gospodyni przyrządzić dobrą strawę; dlatego też miska była wypełniona po brzegi, gdy ją kapłan napowrót odniósł Bhagat'owi. Czy zamyśla pozostać? pytał go kapłan. Czy nie pragnie *chela* — ucznia — któryby żebrał dla niego? Czy ma kołdrę do przykrycia się przed zimnem? Czy pożywienie jest smaczne?

Purun Bhagat jadł i dziękował. Tak, zamyśla tu pozostać. To wystarczy, rzekł kapłan. Niechaj tylko stawia swą miskę żebraczą

w wydrążeniu tych dwóch wypukłych korzeni poza kapliczką, a będzie w niej codzień odnajdywał pokarm dla siebie; gdyż wiosce czyni to wielki zaszczyt, że taki człowiek (mówiąc to kapłan, spojrzał trwożnie w oblicze Purun'a Bhagat'a) pragnie obok niej zamieszkać.

W tym dniu skończyła się wędrówka Purun'a Bhagat'a. Znalazł wreszcie miejsce, będące jego przeznaczeniem — miejsce milczenia i ciszy. Odtąd czas przestał dla niego istnieć, a on, siedząc u wejścia kapliczki, nie wiedział, czy żyje jeszcze, czy umarł; czy jest człowiekiem, władającym swemi członkami, czy też cząstką gór, obłoków, deszczu i słońca. I wymawiał jedno imię po sto i po tysiąc razy, aż uczuł, że po każdem wymówieniu odrywa się od ciała i wznosi się zawrotnie ku podwojom, kryjącym jakąś straszliwą tajemnicę; lecz gdy owe podwoje już się rozewrzeć miały, ciało jego ściągało go napowrót na ziemię i widział się z boleścią znowu zamkniętym w ciało i członki Purun'a Bhagat'a.

Każdego wieczoru kładziono wypełnioną miskę w milczeniu do zagłębienia między dwoma korzeniami poza kapliczką. Czasami przynosił ją kapłan; czasami kupiec z Ladakh, który przenocował we wsi i chciał się jej przysłużyć; częściej jednak niewiasta, która strawę przyrządziła w nocy i błagała szeptem, stłumiwszy oddech: »Wstaw się za mną do bogów, Bhagacie. Wstaw się za małżonką tego a tego!« Od czasu do czasu przypadał ten zaszczyt w udziale jakiemu odważnemu dziecku i Purun Bhagat słyszał je, jak stawiało pośpiesznie miskę i biegło nazad tak prędko, jak prędko je tylko nóżki unieść zdołały. Purun Bhagat jednak nie zstępował nigdy do wsi. Leżała ona rozciągnięta u stóp jego, jak obraz. Widywał on codzienne zbiory na okrągłych klepiskach, które były we wsi jedynym równym gruntem; widywał przedziwną, niewysłowionego czaru zieleń młodego ryżu, indygowe kwiecie kukurydzy; widywał ciemne plamy tatarki

i purpurowy w swoim czasie kwiat amarantu, którego skąpe nasiona ni to zboże, ni owoc roślin strączkowych, mógł prawnie spożywać prawowierny Hindus podczas postu.

Przy końcu roku dachy domów były podobne do płaszczyzn z najszczerszego złota, gdyż rozkładano na nich stosy kukurydzy do wysuszenia. Żniwa i składanie w stogi, zasiewy i zbiory ryżu — wszystko to przeciągało przed jego oczyma, jakby było wyhaftowane na różnych płaszczyznach pól, on zaś dziwił się wszystkiemu i myślał, dokąd to ostatecznie prowadzi....

Nawet w bardzo zaludnionych Indjach trudno człowiekowi usiedzieć przez pewien czas spokojnie, by dzikie zwierzęta nie poczęły przebiegać przezeń jak przez nieczułą skałę; tem bardziej więc w tej dzikiej okolicy schodziły się zwierzęta, znające dobrze kapliczkę Kali, by się przypatrzyć intruzowi. *Langury,* wielkie szarobrode małpy Himalajów, przyszły naturalnie najpierwej, gdyż są to zwierzęta o niepowściągliwej ciekawości; skoro jednak przewróciwszy miskę świętego męża, poigrały nią do woli na kamiennej posadzce, skoro wypróbowały ostrza swych zębów na spiżowej rączce jego laski i nastroiły bez liku pociesznych min nad skórą antylopy, wówczas zadecydowały, że człowiek siedzący tam u wejścia jest istotą zupełnie niewinną. Przeto co wieczór zsuwały się lekko po pniach sosen i wyciągając ku niemu żebrzące ręce, błagały o pożywienie i otrzymawszy je, zawisały wdzięcznemi ruchy na gałęziach. *Langury* polubiły nader ciepło ogniska i cisnęły się doń gromadnie, tak, iż Purun Bhagat musiał je odsuwać ręką, gdy chciał dorzucić chróstu do ognia; a co rana prawie odnajdował pod kołdrą kudłatą małpę, dzielącą z nim łoże. Całemi dniami przesiadywało przy nim dwóch lub trzech osobników z gromady, wlepiwszy nieruchome oczy w śnieżyste wierzchołki z niezmiernie mądrą i nader stroskaną miną.

Po małpach przyszedł wielki jeleń *barasingh,* podobny do naszego czerwonego jelenia, jeno o wiele roślejszy. Przyszedł, by zetrzeć sierść z młodych rogów na zimnych kamieniach posągu Kali i zobaczywszy człowieka w świątyni stanął jak wryty. Purun Bhagat nie ruszył się, przeto królewskie zwierzę wspięło się krawędzią na szczyt przełęczy i poczęło obwąchiwać jego plecy. Purun Bhagat przeciągnął zimną dłonią po rozpalonych rogach a dotknięcie to uspokoiło rozdrażnione zwierzę na tyle, iż spuściło głowę a Purun Bhagat starł łagodnie włos z rogów. Następnie przywiódł *barasingh* swoją łanię i jelonka — łagodne stworzenie, które przeżuwało na kołdrze świętego męża — albo powracał wśród nocy sam z oczyma połyskującemi zielono w świetle ogniska, by otrzymać garść orzechów. Wkońcu przyszedł piżmowiec, najpierzchliwsze i najmniejsze zwierzę leśne, ze sztywnie sterczącemi uszyma królika; a nawet i milczący *mushicknabha* zjawił się; chcąc wiedzieć, co znaczy światło w kaplicy i dotykając miękkiemi jak puch nozdrzami piersi Purun'a Bhagat'a, uganiał tam i napowrót za cieniem, jaki rzucało ognisko. Purun Bhagat nazywał te wszystkie zwierzęta »swymi braćmi«, a jego ciche wołanie »*Bhai! Bhai!*« wywabiało je w południe z lasu, jeśli tylko nie były za daleko.

Czarny niedźwiedź himalajski, mrukliwy i podejrzliwy — Sona, który ma pod brodą biały znak w kształcie V — przechodził nieraz obok pustelni; ale i Bhagat nie okazywał trwogi, przeto i Sona nie okazywał gniewu, jeno spoglądał nań, zbliżał się doń — i żebrał o kęs chleba, dzikie jagody lub pieszczoty. Często w głębokim zmierzchu, gdy Bhagat wspinał się na szczyt wijącej się kręto drożyny, by ujrzeć poranek żeglujący w purpurze nad śnieżystemi wierchami gór, spostrzegał Sonę, jak wlókł się tuż za nim pomrukując zcicha, jak wciskał przednie łapy pod zalegające drogę pnie i od-

rzucał je z drogi z niecierpliwem »*Wuuf*«; czasem i wczesnym rankiem budziły kroki Bhagat'a zwiniętego we śnie Sonę i wnet zrywał się ów potężny zwierz do walki, lecz usłyszawszy głos Bhagat'a, poznawał najlepszego przyjaciela.

Prawie o wszystkich eremitach i świętych mężach, żyjących zdala od wielkich miast, krążą wieści, że cudownie umieją oddziaływać na dzikie zwierzęta, ale cały cud polega na tem, by zachowywać się spokojnie, nie czynić żadnych nagłych poruszeń i, przynajmniej przez dłuższy czas, nie patrzyć gościowi takiemu wprost w oczy. Mieszkańcy wioski widzieli mgliste, niewyraźne zarysy *barasingh'a*, jak podobny do cienia kroczył przez las do kaplicy, widzieli *minaul'a*, bażanta Himalajów, jak przed posągiem Kali świecące rozwijał pióra, widziel i *langury*, siedzące na tylnych łapach i igrające łupinami z orzechów. Niektóre dzieci słyszały głos Sony, śpiewającego językiem niedźwiedzi poza skałami, i sława Bhagat'a jako cudotwórcy została ustalona.

Nic jednak nie było jego duchowi bardziej obcem, jak czynienie cudów. On wierzył, że świat jest jednym wielkim cudem i że człowiek wierzący w to ma wraz podstawę, na której dalej może budować. On wiedział, że nic nie jest małem, nic wielkiem na tym świecie; i dniem i nocą starał się wgłębić i wmyśleć w duszę wszechstworzenia i tej istoty, która wyźródliła ze siebie jego własną duszę.

Wśród takich zgłębiań i myśli opadł mu zaniedbany włos głęboko na ramiona, w płycie kamiennej, leżącej obok skóry antylopy, okazało się wyżłobienie od ostrego końca pątniczej laski z mosiężną rączką, miejsce między korzeniami drzewa, w którem żebracza miska dniem i nocą stała, przemieniło się w zagłębienie tak wygładzone i duże jak sama miska; a każde zwierzę znało już swoje stałe miejsce przy ognisku. Pola zmieniały barwę wraz z porami roku; klepiska wypełniały się, wypróżniały i znowu wypełniały; i znowu, gdy na-

deszła zima, pląsały *langury* po gałęziach oprószonych płatkami śniegu, a gdy nadeszła wiosna, przynosiły ich samice z gorących dolin swe młode, patrzące na świat bojaźliwie i smutno. We wsi niewiele zmian zaszło. Kapłan się zestarzał, a niektóre z tych małych dzieci, które niegdyś z pełną miską wspinały się na wysoką przełęcz, posyłały z nią teraz własne dzieci; i jeśli się pytano którego z wieśniaków, jak długo już mąż święty mieszka w świątyni Kali na szczycie przełęczy, odpowiadał: »Od wieków.«

I zdarzyło się, że nadeszły tak obfite deszcze letnie, jakich od wielu lat nie pamiętano w górach. Trzy długie miesiące była dolina pogrążona w chmurach i dżdżących wilgocią mgłach — bezustanku nieodparcie zalewały ją potopy deszczu i burza szła po burzy, za gromami gromy! Wieś utonęła pod kłębami białej mgły, która kołysała się w tę to ową stronę, to wkłębiała się, to wzbierała ku górze, nigdy jednak nie przelewała się poza swą naturalną tamę, za deszczem zlane ściany skał.

W tym czasie słyszał on jeno szmer tysięcy strug i strumyków, spływających nad jego głową z drzew i tryskających u jego stóp ze ziemi; sączyły się z igieł sosnowych, dżdżyły kroplami z potarganych paproci i trzaskały w nowoutworzonych, brudnych łożyskach, pędząc w dół stokami. A potem wyszło słońce z za błękitów i wywabiło upajające wonie z deodarów i rododendronów i zrodziła się ta daleko tchnąca, cudna, świeża woń, którą lud górski zwie »wonią wierchów«. Słońce grzało, pieściło ziemię przez tydzień; następnie zlały się deszcze w jedną powódź i runęły na ziemię; woda szumiała strugami, siekła skorupę ziemi i napowrót odbryzgiwała błotem. Tej nocy rozniecił Bhagat potężne ognisko, mniemając, że bracia jego przyjdą doń się ogrzać; ale żadne zwierzę nie pojawiło się w kapliczce. A starzec nawoływał bezustanku, aż zapadł wreszcie w sen, dziwiąc się, co takiego mogło zajść w lesie.

Zapadła już głęboka, ciemna noc, deszcz bębnił monotonnie i huczał rozgłośnie, gdy rozbudziło Bhagat'a targanie za kołdrę; skoro wyciągnął rękę, napotkał drobną dłoń *langura*. »Lepiej tu, niż między drzewami,« rzekł sennie, odchylając róg kołdry; »pójdź i ogrzej się.« Małpa chwyciła go silnie za rękę i poczęła nią trząść. »Chcesz pożywienia?« spytał Purun Bhagat. »Czekaj trochę, a przyrządzę ci nieco.« A skoro ukląkł, by dorzucić chróstu do ogniska, pobiegł *langur* ku drzwiom kapliczki, mrucząc i przybiegł napowrót, szarpiąc starca za kolano.

»Cóż to, czemu się niepokoisz, bracie?« rzekł Purun Bhagat, gdyż oko langura było pełne wieści, których nie zdołał wypowiedzieć. »Jeśli żaden z twojej gromady nie wpadł do pułapki — a pułapek tutaj niema — nie wyjdę w taką wichurę. Patrz, bracie, nawet *barasingh* przychodzi tu szukać schronienia.«

Rogi jelenia zadźwięczały, gdy wchodził do kapliczki — zadźwięczały o szczerzący zęby posąg Kali. Pełne niepokoju zwierzę pochyliło głowę w kierunku Bhagat'a i uparcie biło nogami o ziemię, parskając przez pół otwarte nozdrza.

»Hai! Hai! Hai!« zawołał Bhagat, klaskając w palce. »Więc to jest podzięka za nocleg?« Ale jeleń popychał go ku drzwiom i Purun Bhagat usłyszał głos, jak gdyby się coś z głębokiem rozwierało westchnieniem i ujrzał rozstępujące się dwie płyty w posadzce, a za niemi okazała się rozmokła ziemia, wydając dźwięki podobne do mlaskania ustami.

»Teraz już wiem,« zawołał Purun Bhagat. »Teraz rozumiem, dlaczego moi bracia nie odwiedzili mnie tej nocy. Góra się osuwa. Ale dlaczego *ja* mam odejść?« Wzrok jego padł na próżną ruinę i twarz jego przybrała odmienny wyraz. »Oni mi dostarczali dobrej żywności — odkąd tu przybyłem, a jeśli teraz im na ratunek nie

pośpieszę, nie będzie jutro jednej żywej duszy w dolinie. Tak, muszę iść, muszę ich przestrzec! Odsuń się, bracie! Niech się zbliżę do ogniska.«

Barasingh cofnął się niechętnie, gdy Purun Bhagat zanurzył pochodnię głęboko w ognisku, kręcąc nią, aż jasno rozgorzała. »Ach! wyście przybyli mnie ostrzec,« rzekł drżącym głosem starzec, prostując się. »W drogę więc! — a użycz mi twego grzbietu, bracie, gdyż mam tylko dwie nogi.«

Mówiąc to, ujął prawą ręką kosmaty grzbiet *barasingh'a*, lewą wzniósł do góry pochodnię i wyszedł z kapliczki w bezdeń straszliwej nocy. Na dworze nie było wichru, jeno rzęsisty deszcz zalewał prawie pochodnię, gdy wielki jeleń śpieszył w dół po zboczu, ślizgając się na tylnych nogach. Skoro przebrnęli przez las, przyłączyło się do nich wiele braci Bhagat'a. Starzec słyszał poza sobą — (nie mógł bowiem widzieć) — głosy cisnących się gromadnie *langurów* i głębokie *uhh! uhh!* Sony. Deszcz pozlepiał jego białe, długie włosy w ociekające wodą motki; woda bluzgała pod jego nagiemi stopami, a żółty łachman zwieszał się niedbale na starczem, wyschłem ciele, ale on, objąwszy silnie *barasingh'a*, śpieszył wytrwale, niezmordowanie ku wiosce. I wówczas nie był to już święty pustelnik, lecz Sir Purun Dass, W. K. P. I., pierwszy minister wcale pokaźnego państwa, mąż, który przywykł do wydawania rozkazów, który śpieszył na ratunek życia ludzkiego. I tak pędzili po stromej i śliskiej ścieżce, Bhagat i jego bracia, zbliżając się szybko ku dolinie, aż wreszcie stopy jelenia poczęły dźwięczeć na kamieniach klepiska i przelękłe, zziajane zwierzę poczęło sapać, czując ludzi w pobliżu. Aż stanęli u wylotu krętej, jedynej we wiosce uliczki i Purun Bhagat wzniósł laskę i zapukał nią w zakratowane okna kowala, a pochodnia jego rozgorzała jaśniej, gdyż dachy chroniły ją od deszczu. »Wstawajcie

i wychodźcie!« wołał Purun Bhagat i ledwie z trudnością odpoznał dźwięk własnego głosu, gdyż już od wielu, wielu lat nie przemawiał do ludzi. »Góra się osuwa! Skały się zapadają! Och, mieszkańcy tej wioski! — wstawajcie i ratujcie się!«

»To nasz Bhagat,« rzekła małżonka kowala. »Stoi wśród swoich zwierząt. Weź dzieci z sobą i podaj dalej wezwanie!«

I poszło wezwanie od domu do domu, a tymczasem zwierzęta cisnęły się trwożliwie dokoła Bhagat'a na wąskiej ścieżynie, a Sona sapał niecierpliwie.

Lud wysypał się na ulicę — a było wszystkich około siedmdziesięciu — i ujrzeli przy lśnieniu pochodni Bhagat'a, jak powstrzymywał jelenia rwącego się do ucieczki, ujrzeli małpy cisnące się dokoła świętego męża i szarpiące go za szatę; a Sona usiadł na tylnych łapach i mruczał.

»Przez dolinę na najbliższą górę!« wołał wielkim głosem Purun Bhagat. »Nie ostawiajcie nikogo! My idziemy za wami!«

I popędzili wszyscy tak śpiesznie, jak tylko lud gór biec potrafi, wiedząc, że przy zapadaniu się ziemi należy się wspiąć czem prędzej na najwyższy szczyt góry, leżącej po drugiej stronie doliny. Mknęli szybkiemi kroki, brnąc w bród przez rzekę, wdzierali się na pola, co terasami na przeciwległym brzegu rosły, a Bhagat i jego bracia szli ich śladem. Krok za krokiem wstępowali coraz wyżej na stoki przeciwległej góry, nawołując się wzajemnie imieniem i hasłem wioski, a tuż za nimi biegł wielki jeleń, obciążony Bhagat'em, którego zwolna wszystkie siły odbiegały. Wreszcie pięćset stóp nad poziomem w mrocznej sosnowej dziczy przystanął *barasingh*. Instynkt zwierzęcia, który go przestrzegł przed niebezpieczeństwem, upewnił go teraz, że tu już bezpiecznie.

Purun Bhagat padł wyczerpany przy zwierzęciu, gdyż zimno deszczu i szalone wspinanie się po stokach były dla niego śmiercią;

mimo to jednak zawołał donośnie w stronę, gdzie rozproszone światła pochodni jaskrawo błyskały wśród mroczy: »Stójcie i policzcie się!« Skoro jednak ujrzał, że pochodnie zbijają się w jedną gromadę, zaszeptał do jelenia: »Stój przy mnie, bracie. Stój — aż — odejdę!« I wnet przeszło głębią powietrza głębokie westchnienie i zmieniło się w głuchy pomruk, a pomruk spotężniał w huk ogłuszający wszystkie zmysły; i góra, na której stali wieśniacy, zachwiała się od podziemnego wstrząśnienia. I dał się słyszeć ton pełny i głęboki, jak C u organów i zapanował nad wszelkiemi odgłosami, szumami i szmerami w przyrodzie, a wzdłuż wysmukłych pni sosen przebiegł dreszcz trwogi. Gdy ten zgasł — zmieniła się ulewa, która z hukiem i trzaskiem siekła na parę mil dokoła twardą ziemię i kamienie, w stłumiony, pienisty, miękki szum opadającej na rozmokłą grudę wody. Mówiło to już samo za siebie.

Lecz żaden z wieśniaków — nawet sam kapłan — nie odważył się przemówić do Bhagat'a, który im życie uratował. Wszyscy pochowali się pod sosnami i wyglądali dnia. A skoro wstał dzień, skierowali wzrok w głąb doliny i ujrzeli, że co było lasem, polem, porzniętem w ścieżyny pastwiskiem, to zmieniło się w sosnową, ceglastą, wachlarzowato rozlaną masę błota, w której tonęły rozsiane licznie po pochyłości pnie obalonych drzew. Topiel błotna zalewała wysoko stoki wzgórza, na którem wieśniacy znaleźli ocalenie, i tamowała bystry prąd małej rzeczułki górskiej, która rozlała się mętnem, ceglastem bagniskiem. Z wioski, z drożyny, która wiodła do kapliczki, z kapliczki samej i z lasu, który był poza nią, nie pozostało i śladu.

Milę wszerz i dwa tysiące stóp w głąb zapadła się ściana skały, gładko odcięta od szczytu do podstawy.

A mieszkańcy wioski pośpieszyli chyłkiem przez sosnowy las, by się pomodlić przed Bhagat'em. Ujrzeli *barasingh'a*, stojącego nad

świętym mężem, ale jeleń pierzchł, ujrzawszy ludzi; usłyszeli żałobne lamenty *langurów,* zaszytych w gąszcze drzew, i ciężkie wzdychania Sony na pagórku; ale Bhagat był już martwy. Siedział na ziemi, skrzyżowawszy nogi, oparłszy się o pień drzewa, wsunąwszy laskę pod ramiona i zwróciwszy oblicze na północny wschód.

I przemówił do ludu kapłan: »Patrzcie, oto cud za cudem! Tak bowiem powinien być pogrzebany każdy Sunnyasi. Wybudujmyż tu w tem miejscu świątynię dla naszego świętego męża!«

I wybudowali świątynię, nim minął rok: małą kapliczkę ze złomu i gliny; owo wzgórze nazwali wzgórzem Bhagat'a; i modlą się w tej kapliczce i znoszą do niej kwiaty i świece i zbożne dary aż po dzisiejszy dzień. Jednak nie wiedzą, że ów czczony przez nich święty, to Sir Purun Dass, W. K. P. I.; Dr. Pr.; Dr. Phil. etc.; niegdyś pierwszy minister postępowego i świetnego państwa Mohiniwali, członek honorowy i członek-korespondent większej liczby towarzystw naukowych, niż ich potrzeba na tym i na tamtym świecie.

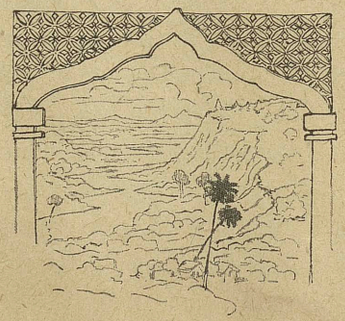

PIEŚŃ KABIRA

Och, jak łatwo świat zważył dłonią pełną wszechwładztwa!
Och, jak trudno wysłowić jego dziedzin bogactwa!
Rzucił berła i trony, przywdział szaty pątnika,
I, jak prawy *bairagi,* w świat daleki pomyka!

Gdy gościniec ku Delhom się wijący wymija,
Sal i *kikar* chłód leją, co skwar słońca wypija;
Dworem jego jest ciżba, gmachem puszcza dzika —
A on, prawy *bairagi,* w świat daleki pomyka!

Skoro ujrzał człowieka, w oczach błysły mu słońca
(Jeden jest Bóg — rzekł Kabir — był i będzie bez końca),
Krwawa czynu mgławica w lekki obłok zanika —
A on, prawy *bairagi,* w świat swą drogą pomyka!

Aby w stworzeń ogromie poznać, kędy jest droga
Do serc braci — prostaczków, do zwierzęcia i Boga,
Zrzekł się Rady i, odzież wziąwszy na się pątnika,
(»Czy słyszycie,« rzekł Kabir), w świat daleki pomyka!



LUD DŻUNGLI NACIERA!

Niech zgniecie ich, stoczy, zaciągnie ich w grób
Chwast każdy i zielsko i krzak;
Niech zgaśnie wieść o nich i ślady ich stóp,
Głos po nich niech zginie i znak!

Na ołtarzach popiół się ściele,
Niech huragan nóg białych nie zwleka!
Niechaj łania w bezludnem zagnieździ się siele
I przed nikim niech nie ucieka;
Niech się ściany rozkruszą, rozpadną w popiele
I niech nigdy nie goszczą człowieka!

Przypominacie sobie zapewne, jeśliście czytali opowiadania, zawarte w pierwszej księdze Dżungli, że Mowgli, rozpostarłszy skórę, zdartą z Shere Khana na Skale Rady, powiedział głośno wobec pozostałych członków seeoneejskiej Gromady, że życzy sobie odtąd sam polować w Dżungli; a czterej synowie matki-wilczycy i ojca-wilka wyrazili chęć polowania z nim razem. Ale nie tak to łatwo zmienić odrazu cały tryb życia — zwłaszcza w Dżungli. Pierwszem, co Mowgli zrobił, skoro tylko burzliwy tłum się rozbiegł, było to, że się udał do rodzimej nory i przespał twardo całą noc i cały dzień. Następnie począł rozpowiadać matce-wilczycy i ojcu-wilkowi (o ile go tylko zrozumieć zdołali), czego zaznał wśród ludzi; a gdy, opowiadając, począł chwytać na ostrze noża — tego noża, którym oprawiał Shere Khana — jaśniejące odblaski wschodzącego słońca, zawyrokowali wszyscy jednogłośnie, że Mowgli nauczył się czegoś wśród obcych i czasu darmo nie stracił. Po nim opowiadali Akela i Szary Brat o wielkiem gonieniu bawołów między wąwozy, a Baloo chcąc lepiej słyszeć, wlazł aż na wzgórek, Bagheera zaś drapała się ukontentowana po całem ciele, podziwiając

do zachwytu działania Mowgli'ego, tak podstępnie, tak chytrze pomyślane.

Już dawno słońce weszło, lecz nikt nie myślał o śnie; a matka-wilczyca wznosiła od czasu do czasu głowę do góry i wciągała z rozkoszą wiew, który jej przynosił drażniącą woń skóry tygrysiej, rozpiętej na Skale Rady.

»Bez Akeli i bez Szarego Brata,« rzekł wkońcu Mowgli, »byłbym niczego nie dokonał. Oh, matko, matko, gdybyś była widziała, jak stado bawołów ciskało się w wąwozy, jak napierało na rogatkę, podczas gdy ludzie obrzucali mnie kamieniami!«

»Cieszę się, żem na to nie patrzyła«, odparła sucho matka-wilczyca. Nie przywykłam obojętnie patrzyć na to, jak ktoś memi dziećmi pomiata, jak szakalami! Byłabym się pięknie policzyła z tymi ludźmi; jednak nie byłabym nic złego uczyniła niewieście, która cię nakarmiła mlekiem. Tej jednej nie byłabym nic złego uczyniła.«

»Cicho, cicho, Raksha!« rzekł ojciec-wilk z godnością. »Nasza Żabka powróciła taka mądra, taka mądra — że własny ojciec musi jej stopy polizać; zresztą cóż znaczy jedna szrama więcej, jedna szrama mniej na czole? Ludzi ostaw w spokoju!« A Baloo i Bagheera powtórzyli, jak echo: »Ludzi ostaw w spokoju!«

Mowgli wsparłszy głowę na łonie matki-wilczycy, uśmiechał się pełen zadowolenia i rzekł, że, o ile to jego dotyczy, nie chce odtąd ani widzieć, ani słyszeć, ani czuć ludzi.

»Jednak,« rzekł Akela, nastawiając śpiczasto uszy, »jednak, gdy ludzie sami ci pokój zakłócą, mały bracie?«

»Jest nas *pięciu*,« odezwał się Szary Brat i powiódł wzrokiem po zgromadzonych i zadzwonił szczękami.

»I my możemy się przyłączyć do łowów,« rzekła Bagheera, przyczem spojrzała na Baloo i zrobiła ogonem małe *swicz, swicz*. »Ale dlaczegoż mamy teraz myśleć o ludziach, Akelo?«

»Dlatego!« odparł wilk-samotnik. »Skoro już żółta skóra zbója wisiała na skale, pośpieszyłem naszym szlakiem napowrót do wsi, zbaczając jednakże od czasu do czasu; wyciągałem się już to naprzód, już to w lewo lub prawo, czasami wyciągałem się całem ciałem na ziemi, by zniweczyć wszelkie ślady i odjąć im wszelką możliwość pościgu. A skoro ślady na tyle już były zatarte, żem ich sam odpoznać nie zdołał, zjawił się nade mną nietoperz Mang i załopotał wplątany skrzydłami w gęstej koronie drzewa. I rzekł do mnie Mang: »W gromadzie ludzkiej, która wypędziła od siebie naszą Żabkę, szum teraz okrutny i wir straszliwy, jakby w gnieździe szerszeni.«

»Ale bo też i kamień wrzuciłem do tego gniazda,« zaśmiał się Mowgli, który się nieraz ćwiczył w ciskaniu dojrzałych owoców do gniazd osich i szybkiem zanurzaniu się w najbliższem bagnie, zanim jeszcze rozgniewane owady zdołały go dosięgnąć.

»Spytałem Manga, co widział. Mang odpowiedział, że Czerwony Kwiat kwitnie u wejścia do wioski, a mężowie ze strzelbami siedzą przy nim. Otóż wiem dobrze i mogę za to zaręczyć — Akela spojrzał na swoje plecy i boki licznemi bliznami pokryte — że ludzie nie dla zabawy lub żartów noszą ze sobą strzelby. A teraz, mały bracie, wiedz o tem, że człowiek ze strzelbą tropi nasze ślady, jeśli ich już dotąd nie wytropił.

»I pocóż to,« spytał Mowgli rozgniewany. »Wszakże ludzie wypędzili mnie od siebie! Czegoż więcej chcą ode mnie?«

»Jesteś człowiekiem, mały bracie,« odparł Akela, »a my wolni myśliwi, nie zdołamy ci wytłumaczyć, co twoi bracia czynią i dlaczego tak czynią, a nie inaczej.«

Akela miał ledwie czas cofnąć łapę, gdy już myśliwski nóż Mowgli'ego błysnął i utkwił przy nim w ziemi. Rzut Mowgli'ego był zbyt szybki, by go zwykłe ludzkie oko mogło przewidzieć, ale Akela

był wilkiem, a wszakże nawet i pies, który dzikiemu wilkowi, swemu przodkowi, w tylu względach ustępuje, zdoła na czas się zbudzić i odskoczyć, nim jeszcze najeżdżający na niego szybkiem kołem wóz zdoła go przejechać.

»Na drugi raz«, rzekł Mowgli zimno, chowając spokojnie nóż do pochwy, »nie mów *jednym* tchem o ludziach i o Mowglim.«

»Phff! to jest wcale ostry ząb,« rzekł Akela, obwąchując szparę wyżłobioną nożem w ziemi. »Jednak życie wśród ludzi stępiło haniebnie bystrość twego wzroku, mały bracie. Przez czas, kiedyś nożem mierzył, byłbym mógł wołu ubić.«

Wtem Bagheera skoczyła na równe nogi, wyprężyła głowę o ile było można i stanąwszy nieruchomo poczęła węszyć. Szary Brat poszedł za jej przykładem i stanął po lewej stronie, by wietrzyć, gdyż wiatr szedł od strony prawej; tymczasem Akela poskoczył jakie pięćdziesiąt kroków naprzeciw wiatrowi i przykucnął do ziemi, wyprężywszy nieruchomo członki. Mowgli patrzał na to z zazdrością. Zmysł węchu był u niego wprawdzie rozwinięty tak dobrze, jak rzadko u których ludzi, nie miał jednak tej czułości, tego wydelikacenia, jakie miały nozdrza rodowitych mieszkańców Dżungli; prócz tego trzymiesięczny pobyt w zadymionej wiosce przytępił powonienie chłopca. Tymczasem jednak podniósł Mowgli zwilżony palec do nosa i wyprężył się nieruchomo, by schwycić węchem wiatr, który w górze jest wprawdzie najsłabszy, ale zato najpewniejszy.

»Człowiek!« szepnął Akela, przysiadając na tylnych nogach.

»Buldeo!« rzekł Mowgli, siadając również. »Śledzi nasze ślady, a słońce mieni się blaskiem na jego strzelbie. Spojrzcie jeno!«

Był to blask słoneczny, który zalśnił się przez mgnienie oka na stalowych więzadłach starego muszkietu; ale w Dżungli nic nie mieni się takiemi blaskami, wyjąwszy, gdy chmury gromadnie przewalają się

przez tarczę słoneczną. Wtedy błyszczy się odłamek miki lub kałuża, lub gładki kamień, ni to telegraf słoneczny. Ten jednak dzień był spokojny i bez chmur.

»Wiedziałem o tem, że ludzie nas ścigają,« rzekł Akela triumfująco, »nie daremnie to byłem przewódcą gromady.«

Cztery wilki Mowgli'ego nie odezwały się, jeno poczęły się ześlizgiwać na brzuchach z pagórka pod osłoną darni i niskich krzaków.

»Dokąd to idziecie, nie mówicie nic?« zawołał za nimi Mowgli.

»Hucz! Przed południem przyniesiemy ci tutaj jego gnaty!« odparł Szary Brat.

»Wróćcie się! Czekać!« zakrzyknął Mowgli. »Wszak ludzie nie jedzą ludzi!«

»A któż to był przed chwilą jeszcze wilkiem? Kto rzucił we mnie nożem, gdym go nazwał człowiekiem?« zawołał Akela, gdy tamci czterej wracali niechętnie i usiedli na tylnych łapach.

»Czyż muszę wam sprawę zdawać ze wszystkiego, co mi się czynić podoba?« zakrzyknął Mowgli, nie posiadając się z gniewu.

»To jest człowiek, tak mówi człowiek!« zamruczała Bagheera sama do siebie. »Prawie tak samo przemawiali ludzie przed klatkami królewskiemi w Oodeypore. My mieszkańcy Dżungli dobrze wiemy, że człowiek jest mędrszy niż wszyscy inni, gdybyśmy jednakże mogli zaufać naszym uszom, tobyśmy uwierzyli, że człowiek jest ze wszystkich istot najgłupszym.« Głośno zaś powiedziała: »Szczenię ludzkie ma słuszność; ludzie polują gromadnie. Zabijać jednego, nie wiedząc, co drudzy uczynią — jest to niedobre polowanie. Chociaż obaczymy, czego chce od nas ten człowiek.«

»Nie pójdziemy! Nie chcemy iść!« zamruczał Szary Brat.

»Poluj sobie sam, mały bracie, *My* wiemy, czego chcemy. Teraz bylibyśmy już pewnie wrócili z jego czaszką.«

Mowgli spojrzał na swoich przyjaciół, przenosił wzrok z jednego na drugiego — pierś mu wezbrała, w oczach wybłysły mu łzy. Postąpił parę kroków naprzód, przykląkł i rzekł:

»A czyż ja nie wiem, czego *ja* chcę? Spojrzcie mi w oczy!«

Spojrzały na niego lękliwie, lecz wnet odwróciły oczy i chciały odejść — ale on je przywołał kilkakrotnie i powtarzał: »Popatrzcie mi w oczy!« aż sierść najeżyła się na grzbietach i zadrżały na całem ciele pod wpływem uporczywego wzroku Mowgli'ego.

»Więc,« spytał wkońcu, »któż z nas pięciu jest tu wodzem?«

»Ty jesteś wodzem, mały bracie,« rzekł Szary Brat i polizał stopy Mowgli'emu.

»Więc słuchajcie mnie!« rzekł Mowgli, a wilki poszły za nim skulone, z pospuszczanemi ogonami.

»Oto do czego prowadzi pobyt pomiędzy ludźmi,« rzekła Bagheera, idąc za nimi. »Jest teraz w Dżungli coś więcej, niż Prawo — czy nie tak, Baloo?«

Stary niedźwiedź nic wprawdzie nie odpowiedział, ale zato myślał o niejednem.

Mowgli bez szelestu przemykał się wnętrzem puszczy w kierunku prostopadłym do drogi Bulde'a, aż wreszcie rozchylając gąszcza zarośli ujrzał starego człowieka, który biegł z muszkietem na ramieniu traktem, od dwóch dni wydeptanym.

Przypominacie sobie zapewne, że Mowgli, opuszczając wieś, wyniósł z niej na ramionach skórę, zdartą z Shere Khana i, że Akela i Szary Brat biegli za nim tak, że ślady ich stóp na drodze łatwo było można rozróżnić. Teraz doszedł Buldeo do miejsca, do którego — jak wiecie — powrócił Akela, by pozacierać ślady. Przybywszy tu, usiadł wygodnie na ziemi, pokaszlał, pomruczał trochę pod nosem,

wglądnął tu i tam w zarośla, aby zagubiony ślad odszukać, a mógłby był przecież kamieniem dorzucić do tych, którzy go podpatrywali. Żadne stworzenie nie zdoła się sprawiać tak cicho jak wilk, kiedy nie chce być słyszanym; a i Mowgli, chociaż zdaniem wilków miał niezgrabne ruchy, mógł się przecież skradać jak cień. Tak to oni opasali ciasnem kołem starca, jak tłumy delfinów okręt pełnemi pędzący żaglami; rozmawiali jednak przy tem wszystkiem swobodnie, gdyż mowa ich rozpoczyna się jeszcze pod najniższym tonem skali, przystosowanej do niewprawnego ucha ludzkiego.

Przeciwną granicę tej skali tworzy wysoki świst nietoperza Manga, którego już ludzie nie zdolni są usłyszeć. A od tej to dopiero nuty rozpoczyna się gama dźwięków wydawanych przez ptactwo, nietoperze i owady.

»To lepsza zabawa niż polowanie,« odezwał się Szary Brat, gdy Buldeo schylał się ku ziemi, szukał i sapał. »Wygląda mi on na dziką świnię, co się zbłąkała na brzegach puszczy. Co on tam mówi?« Buldeo mruczał coś pełen gniewu.

Mowgli tłumaczył. »On mówi, że całe gromady wilków musiały tańczyć koło mnie. Mówi, że takiego tropu jeszcze nigdy w życiu nie widział. Mówi, że się umęczył.«

»Wypocznie on jeszcze, zanim na ślady natrafi,« rzekła zimno Bagheera, przewijając się śmigłem ciałem dokoła drzewa, gdyż ten cały pościg przypominał rzeczywiście zabawę w ślepą babkę. »Co teraz robi ten chudy stwór?«

»Je, albo wypuszcza dym ustami. Ludzie lubią się bawić ustami,« odparł Mowgli; »i nasi spokojni czatownicy ujrzeli, jak starzec nabijał tytoniem fajeczkę, zapalał ją i pykał z niej sobie, zapamiętali przeto dokładnie zapach tytoniu, by później poznać Bulde'a nawet wśród najciemniejszej nocy, gdyby zaszła potrzeba tego.

Mała gromada węglarzy przechodziła właśnie drogą i zatrzymała się oczywiście, by pogawędzić z Bulde'ą, który słynął jako najzręczniejszy myśliwy przynajmniej na dwadzieścia mil wokoło. Posiadali więc sobie na ziemi, zapalili fajki, a Bagheera i wilki zbliżyły się i czatowały pilnie; Buldeo zaś opowiadał od początku do końca całą historję o djabelskiem dziecku Mowgli'm, upiększając opowiadanie różnemi dodatkami i wszelkiego rodzaju wymysłami. On to sam oczywiście zabił Shere Khana, a Mowgli przerzucił się w skórę wilka i zmagał się z nim całe pół dnia, następnie przedzierzgnął się w chłopca i zaczarował tak jego flintę, że skoro strzelił do Mowgli'ego, kula poleciała w bok i ugodziła bawołu z jego własnego stada. Ponieważ jednak wieś dobrze wiedziała o tem, że on, Buldeo, jest najdzielniejszym myśliwym w Seeonee, przeto go wyprawiono, by zabił owo dziecię djabła. Tymczasem zaś przychwycili wieśniacy Messuę i jej męża, zabarykadowali ich w ich własnej chacie, teraz zaś ich chcą rozciągnąć na katowni i wziąć na pytki, by się przyznali, że są czarownikami, następnie mają ich w ogniu spalić.«

»Kiedy to będzie?« spytali węglarze, gdyż mieli chętkę być przy obrzędzie palenia czarowników.

Buldeo odpowiedział, że przed jego powrotem nic się nie stanie, gdyż wieś sobie życzy, by wprzód dziecię puszczy zginęło od jego kuli. Dopiero, jak się to stanie, załatwią się z Messuą i jej mężem i rozdzielą ich ziemię i bawoły między siebie. A mąż Messu'y ma bardzo piękne bawoły! Niszczyć czarowników to rzecz godna pochwały, utrzymywał Buldeo, a ludzie, którzy dziecię wilka do chaty przyjęli, są najzłośliwszymi czarownikami.

»Jednak,« pytali węglarze, »cóż to będzie, gdy Anglicy o tem usłyszą?« Anglicy to naród, jak im opowiadano, mający całkiem prze-

wróconą głowę; nie chcą zezwolić, by czcigodni ludzie spokojnie palili sobie czarowników i czarownice.

»Ej, co tam!« prawił Buldeo, »wójt wioski oznajmi im, poprostu, że Messua i jej mąż umarli od ukąszenia jadowitego węża. To im wystarczy: — teraz zaś chodzi przedewszystkiem o zabicie tego przeklętego szczeniaka. Może też *oni* widzieli przypadkiem takiego potworka.«

Węglarze rozglądali się ostrożnie dokoła siebie, dziękując swoim opiekuńczym gwiazdom, że nikogo nie widzieli, ufali jednak mocno, że taki dzielny człowiek jak Buldeo odnajdzie tego djablika w wilczem ciele, jeżeli go wogóle odnaleźć można. Słońce się chyliło głęboko na zachód a oni powstali i oświadczyli, że idą do wioski Bulde'a bo chcą zobaczyć ową złą czarownicę. Na to Buldeo odpowiedział, że ma wprawdzie obowiązek zabicia małego djabła, nie może jednak pozwolić, by ludzie pozbawieni wszelkiej broni zapuszczali się bez niego w głąb Dżungli, gdzie lada chwila może się im pokazać demon w wilczej skórze. On ich przeto kawałek odprowadzi, a jeśliby się dziecko czarownicy czy tu czy tam ośmieliło pojawić — ej! wtedy to dopiero zobaczą, jak sobie radzi w takich wypadkach najprzedniejszy myśliwy w Seeonee! Nadto muszą wiedzieć, że on ma od braminów amulet przeciw djabłowi — nic więc nikomu nie grozi.

»Co on mówi? Co on mówi? Co on mówi?« pytały wilki przez przeciąg całych pięciu minut; a Mowgli tłumaczył im wszystko, aż doszedł do opowieści o czarownikach, przekraczającej o wiele zakres jego pojęcia i oznajmił, że mężczyzna i kobieta, którzy niegdyś tyle dobrego mu wyświadczyli, siedzą teraz w pułapce.

»Więc ludzie polują na ludzi?« spytał Szary Brat.

»Tak on powiada. Zresztą nie mogę zrozumieć tej gadaniny. Oszaleli widać wszyscy razem. Cóż ma ze mną wspólnego Messua

lub jej mąż, że ich schwytano w pułapkę; a cóż znaczy nadto ta wzmianka o Czerwonym Kwiecie? Muszę ja to sprawdzić. Cokolwiek by jednak chcieli zrobić z Messuą, nie zrobią nic, aż Buldeo powróci. I tak — —« Mowgli zamyślił się głęboko, bawiąc się rękojeścią noża, a Buldeo i węglarze wracali gęsiego i byli pełni otuchy.

»Wracam co tchu do gromady ludzkiej,« zawołał wkońcu Mowgli.

»A oni?« spytał Szary Brat i spojrzał pożądliwie na brunatne grzbiety oddalających się węglarzy.

»Zaśpiewajcie im w drodze,« odparł Mowgli złośliwie. »Nie chcę, by przed zmrokiem zdążyli do domu. Czy zdołacie ich opóźnić?«

Szary Brat błysnął białemi zębami i odpowiedział wzgardliwie:

»W kółko ich wodzić będziemy manowcami, że się kręcić będą jak przytroczone do słupa kozy; — mówię to, bo znam dobrze ludzi.«

»Tego nie trzeba. Zaśpiewajcie im tylko parę naszych piosenek, by się nie nudzili w drodze; — zbyt słodkich lub nader tkliwych pieśni nie wybierajcie — tego nie trzeba. Idźże i ty z nimi, Bagheero, i pomóż im śpiewać. Skoro zaś noc zapadnie, spotkacie mnie obok wioski — Szary Brat miejsce wam wskaże.«

»Nie łatwo to tropić zwierzynę dla szczenięcia ludzkiego. Kiedyż wreszcie położę się spać?« odezwała się Bagheera, ziewając głęboko; ale oczy jej mówiły wyraźnie, że jej taka zabawa przypada do smaku. »Ja mam śpiewać tym obdartusom? Ha! spróbuję!«

Spuściła głowę w dół, wyprężyła szyję, by głos wyszedł z gardzieli tem pełniej i donośniej i wyśpiewała długie, przeciągłe »Szczęśliwych łowów«, hasło północy wśród południa, dość przeraźliwe jak na początek. Mowgli słyszał, jak głos jej to roztaczał się szeroko, to wzbierał skupiony, to marł w przerywających się i pusto tętniących brzmieniach, więc śmiał się zadowolony, mknąc jak strzała przez Dżunglę. I widział, jak się węglarze zbijali ze strachu w gromadę

i jak się flinta Bulde'a chwiała niby liść bananu na wszystkie strony świata. Następnie wydał Szary Brat okrzyk, znany w polowaniu na kozły: *Ya-la-hi! Jalaha!*, którym gromada pędzi przed sobą siwą krowę Nilghai — i hasło to zdało się przychodzić od końców ziemi, bliżej, bliżej, aż urwało się przeraźliwym wrzaskiem. Trzy inne wilki oddały hasło tak, iż sam Mowgli byłby mógł przysiąc, że to cała gromada zawrzasła jednym głosem; a potem zlały się te wszystkie głosy i dźwięki w jedną wspaniałą pieśń poranną Dżungli, pełną polotu, subtelnych odcieni, dzikiej brawury, jak to tylko rodowity syn puszczy zaśpiewać potrafi. Oto macie tylko liche i słabe odtworzenie tej pieśni, ale wyobraźcie sobie, jak ona też dźwięczy, gdy ją śpiewają gardła zwierząt wśród popołudniowej ciszy, ogarniającej Dżunglę olbrzymiem, nieruchomem milczeniem.

Wśród nocnej mgły krążyliśmy
I cień nie ścigał nas —
Lecz już ich tłok nam mroczy krok,
A my dążymy w las.
Wśród rannych zórz widnieją już
Zarysy drzew i traw
I hasło gra: »*Niech pokój ma,*
Kto słucha Dżungli praw!«

Bez sił i tchu, szukając snu,
W kryjówkę pełzniem swą,
Wśród lęku drżeń w ustronia cień
Już władcy Dżungli mkną.
Już lśniący pług w tysiące smug
Ugorny porze step,
Świt staje w skrach i szerzy strach,
A w ogniu niebios sklep.

Do nor! Do leż! Dzień wzdłuż i wszerz
Buszuje w gąszczu łąk,
A poprzez wrzos szepcący głos
Z przestrogą leci wkrąg.
Jak dziwnie w mgle wyjaśnia się
Drzew ciemnych zbity wał —
I z górnych stref mknie ptactwa zew:
»*To dzień dla ludzi wstał!*«

Ot — rosy schną, co wody łzą
Zmywały szlaku step,
I błotny brzeg pojących rzek
Już w twardą glinę skrzepł.
Podstępny Mrok nasz każdy krok
Na światła niesie jaw,
I hasło gra: »*Niech pokój ma,*
Kto słucha Dżungli praw!«

Ale gdzie tam! żaden przekład nie zdoła oddać wrażenia, raczej ostrego szyderstwa, jakie ci czterej śpiewacy wlewali w każdą nutę tej pieśni, widząc, jak drzewa się gięły pod ciężarem mężów wdzierających się na nie w półżywej trwodze i słysząc, jak Buldeo mruczał formułki zaklęć pod nosem. Następnie ułożyli się i posnęli, gdyż, jak wszyscy zdani na własną zręczność i obrotność, wiedli oni życie nieuregulowane, a nikt przecież nie zdoła skutecznie pracować, jeśli się wprzód należycie nie wyśpi.

Tymczasem Mowgli biegł z szybkością dziewięciu mil na godzinę, parł przed siebie, leciał jak szalony, radując się w głębi swej bujnej, młodzieńczej duszy, że przecież mimo tylomiesięcznego pobytu wśród ludzi, nie postradał dawnej rzeźkości i sprężystości w członkach. Jedna tylko myśl ogarniała całą jego istotę: wybawić z pułapki Messuę i jej męża, jakąkolwiek bądź by ta pułapka była! A miał on

już jakąś wrodzoną nieufność do wszystkich pułapek! Później, jak sobie obiecywał, zapłaci z lichwą całej wsi za jej zbrodnię!

Już zmierzch zapadał, gdy ujrzał dobrze mu znane pastwiska i drzewo *Akah*, gdzie Szary Brat go czekał owego pamiętnego poranku, w którym zginął Shere Khan. A teraz, chociaż płonął gniewem przeciwko całemu rodowi ludzkiemu i społeczności ludzkiej, uczuł, jak niegdyś, że mu coś gardło zapiera i dech wstrzymuje, gdy spojrzy na domy obok leżącej opodal wioski. I ujrzał, że wieśniacy zbyt wcześnie uporali się z robotą w polu i, że zamiast krzątać się koło wieczerzy, usiedli pod drzewem i rozprawiali i naradzali się głośno.

»Ludzie bo zawsze dołki kopią pod innymi ludźmi, albo też są niezadowoleni,« szepnął do siebie Mowgli. »Przed dwiema nocami nastawiali pułapkę na Mowgli'ego — ale to już dawno, wydaje mi się, że od tego czasu wiele pór deszczowych upłynęło. Tej nocy uwzięli się na Messuę i jej męża. Jutro lub za parę dni przyjdzie zapewne kolej na mnie.«

Przypadł do ziemi i począł się skradać wzdłuż zewnętrznego muru wioski, aż dopełznął do chaty Messuy, zerwał się bez szelestu na nogi i zajrzał przez okno do wnętrza komnaty. Tam leżała Messua z ustami zakneblowanemi, z pętlicami na rękach i nogach, ciężko dysząc i jęcząc; a jej mąż był przywiązany do pstro pomalowanych desek łoża. Drzwi domu, wychodzące na ulicę, wieśniacy silnie zaryglowali, a nadto trzech czy czterech ludzi podpierało je plecami od zewnątrz.

Mowgli znał zwyczaje i obyczaje wioski bardzo dobrze. Otóż wnosił, że jak długo mogą tylko jeść, rozprawiać i palić fajki, tak długo nie wezmą się do niczego, ale, jak tylko się nasycą, staną się groźnymi. »Niedługo«, myślał Mowgli, »nadejdzie Buldeo i, jeśli moja eskorta sprawiła się, jak należy, opowie im niejedną ciekawą rzecz.« Tak myśląc w głębi duszy, wskoczył przez okno do chaty i, pochy-

liwszy się nad mężem i niewiastą, porozcinał im pęta, powyjmował im z ust kneble i rozglądnął się po izbie za odrobiną mleka.

Messua prawie oszalała napoły od bolu, napoły od trwogi (cały ranek cięto ją biczami i kamieniami obrzucano), ale Mowgli zdołał jej na czas zamknąć dłonią usta, by stłumić okrzyk przerażenia, rwący się z gardła tej nieszczęśliwej niewieście. Jej mąż był tylko zagłuszony i gniewny i wyskubywał sobie z brody źdźbła i śmiecie.

»Wiedziałam — wiedziałam, że wróci,« zawołała Messua, łkając serdecznie. »Teraz już *wiem*, że jest moim synem;« i porwała Mowgli'ego w objęcia i przygarnęła go do żalem wezbranej piersi. Aż dotąd był Mowgli zupełnie zimnym i obojętnym, ale teraz począł drżeć raz po raz na całem ciele, co go niezmiernie zdziwiło.

»Co znaczą te więzy? Za co oni was spętali?« zapytał Mowgli po krótkiem milczeniu.

»Aby nas zabić, bośmy cię jak syna w dom przyjęli — zacóżby innego?« odburknął wieśniak ponuro. »Spojrz! Krew ze mnie ciecze.«

Messua milczała, ale Mowgli spojrzał na *jej* rany i oboje małżonkowie usłyszeli, jak chłopiec zębami zazgrzytał, zoczywszy krew.

»Kto to zrobił,« zawołał. »Gorzko mu za to zapłacę.«

»Cała wieś to uczyniła. Zbyt byłem bogaty. Zbyt wiele miałem trzód. *Dlatego to* staliśmy się oboje czarownikami za to, żeśmy cię do domu przyjęli.«

»Nie rozumiem! Niech Messua opowie.«

»Dałam ci mleka, Nathoo; czy nie przypominasz sobie?« ozwała się Messua bojaźliwie. »Boś ty syn mój, którego mi porwał tygrys, bo cię miłuję z całego serca mego, z całej mej duszy. A i oni powiedzieli, że jestem twoją matką, matką djabła i przeto zasługuję na śmierć.«

»A co to jest djabeł?« spytał Mowgli. »Bo Śmierć już widziałem.«

Chłop spojrzał ponuro z podełba na mówiącego, ale Messua się uśmiechnęła. »Przypatrz się,« rzekła do męża, »a mówiłam, a wiedziałam dobrze, że on nie jest czarownikiem. On mój syn — mój syn!«

»Syn czy czarownik — co nam po tem?« odpowiedział wieśniak. »Myśmy tak dobrze jak umarli.«

»Oto jest droga wiodąca przez Dżunglę« — tu Mowgli wskazał palcem przez okno. »Wasze nogi i ręce już wolne. Idźcie tedy!«

»My nie znamy Dżungli tak dokładnie, mój synu, jak — jak ty ją znasz,« zaczęła Messua. »I, o ile czuję, nie zdołam zajść zbyt daleko.«

»A i cała wieś wnet wypadnie za nami i przywlecze nas nazad,« dodał jej mąż.

»Hm!« wycedził Mowgli, drażniąc naskórek swej dłoni koniuszkiem myśliwskiego noża. »Nie chciałbym ja nikogo ze wsi skrzywdzić — przynajmniej *teraz*. Ale nie myślę, żeby was wstrzymywali. Niedługo bowiem będą mieli dużo do myślenia. Ach!« — tu podniósł głowę do góry i wsłuchiwał się uważnie w gwary i stąpania dobiegające z zewnątrz. »No, nareszcie pozwolili Buldeo'wi powrócić do domu.«

»Wysłali go dzisiaj rano, by ciebie zabił,« zawołała Messua. »Czyś go napotkał?«

»Tak — spotkaliśmy — raczej ja go spotkałem; ma on teraz wiele do opowiadania, a gdy będzie mówił, zyskamy aż nadto czasu, by coś zdziałać. Najpierw jednak dowiem się, co zamyślają. Namyślcie się tymczasem, gdzie chcecie pójść, a jak wrócę, to mi powiecie.«

To powiedziawszy, lekko oknem wyskoczył i pobiegł znowu wzdłuż zewnętrznego muru wioski i zatrzymał się w niewielkiej odległości od zgromadzenia, obradującego pod rozłożystą figą. Leżał tam na ziemi jęczący i pokaszlujący Buldeo, a zebrani zasypywali go mnóstwem pytań. Włosy opadały mu w nieładzie na ramiona; ręce

ociekały krwią od częstego wdzierania się na drzewa, głos mu zamierał od strachu i zmęczenia, ale mimo to odczuwał on dobrze ważność sytuacji. Od czasu do czasu napomykał coś o złych duchach, o śpiewających djabłach, o czarach i czarownikach, by dać tłumowi niejako przedsmak tego, co nastąpi. Potem zawołał o wodę.

»Ba!« rzekł do siebie Mowgli. »Gadanie i gadanie! Mielenie i mielenie! Ludzie, to rodzeni bracia *Bander-log'u*. Najpierw musi usta przemyć wodą; potem musi dymem dmuchać; a kiedy się opłócze i nadmucha, zaczyna jeszcze bajać — i tak bez końca. Mądre to plemię, ci ludzie! Z pewnością nie wyślą nikogo na pilnowanie chaty Messuy, dopóki sobie uszu opowieściami Bulde'a nie nabiją. Ale i ja coś robię się leniwym jak oni!«

Wstrząsnął się na całem ciele i popełzał napowrót do chaty. Już był koło okna, gdy wtem uczuł mokry język na stopie.

»Matko,« zaszeptał, poznając dotknięcie języka matki-wilczycy, »co ty tu robisz?«

»Słyszałam dzieci moje śpiewające po lasach i pobiegłach wnet za tem, które najbardziej, najserdeczniej pokochałam. Moja Żabko, chciałabym zobaczyć tę niewiastę, która ci dała mleka,« odparła matka-wilczyca, której sierść błyszczała od rosy.

»Związali ją sznurami i chcą ją zabić. Ale ja poprzecinałem jej pęta, a ona podąży wnet wraz z mężem przez Dżunglę.«

»Pójdę jej tropem! Jestem już stara, ale mam jeszcze zęby.« Matka-wilczyca wspięła się na tylne łapy i zajrzała do ciemnego wnętrza chaty.

Po upływie minuty odskoczyła bez szelestu od okna i wyszeptała tylko te słowa: »*Ja* pierwsza napoiłam cię mlekiem; ale prawdę mówi Bagheera: człowiek pójdzie wkońcu za ludźmi.«

»Być może,« odpowiedział Mowgli i jego oblicze stało się ponurem; »ale dzisiejszej nocy daleki jeszcze jestem od *tego* szlaku. Zaczekaj tutaj, ale nie daj się widzieć.«

»A przecież tyś się mnie nigdy nie bał, mała Żabko,« rzekła matka-wilczyca, wskakując w wysoką trawę z szybkością, na jaką się jeszcze zdobyć mogła.

»A więc,« zawołał Mowgli wesoło, wskakując do chaty, »porozsiadali się tam wszyscy dokoła Bulde'a, a ten im opowiada niestworzone rzeczy. Skoro się tylko skończy to gadanie, przyjdą tu tłumnie z Czerwonym — z ogniem, aby was spalić. Więc cóż?«

»Mówiłam już z mężem,« rzekła Messua. »Kanhiwara jest stąd o mil trzydzieści, ale w Kanhiwarze spotkamy Anglików — —«

»A oni z jakiej gromady?« spytał Mowgli.

»Tego nie wiem. Ludzie mówią o nich, że mają białą skórę, że panują nad całym krajem i nie pozwalają biednego człeka zabijać lub palić, chyba, że sami zezwolą. Jeśli dzisiaj w nocy tam dojdziemy, możemy pożyć jeszcze, jeśli zaś nie, trzeba nam umierać.«

»Żyjcie tedy! Nikt nie wyjdzie dzisiaj za wrota wioski. Ale co on tam znowu robi?« Mąż Messuy przykląkł w kącie chaty i grzebał zawzięcie w ziemi.

»Ma tam trochę pieniędzy,« odpowiedziała Messua. »Nic innego wziąć ze sobą nie zdołamy.«

»Ach, tak. Ten grat, co to się z ręki do ręki przesuwa, a nigdy się w rękach zagrzać nie może. Czy i tego wam także trzeba?« spytał Mowgli.

Chłop spojrzał na niego ze złością. »To nie djabeł, to głupiec,« zamruczał. »Za pieniądze mogę kupić konia. Myśmy za słabi na długą podróż, a i tak w godzinę cała wieś za nami wyleci.«

»Powiadam, że ścigać was nie będą, dopóki ja zechcę, ale myśl o koniu nie jest zła, bo Messua już z sił opada.« Wieśniak powstał i umieścił ostatnie rupje w węźle chusty, opasującej mu biodra. Messua wsparta silnem ramieniem Mowgli'ego wydostała się przez okno, a chłodne powietrze nocy orzeźwiło ją; ale przed nią roztaczały się już bezmiary Dżungli straszliwej i groźnej w upiornem gwiazd oświetleniu.

»Czy znacie drogę do Kanhiwary?« zaszeptał Mowgli. Oboje skinęli głową.

»Więc dobrze. A pamiętajcie, że niema się czego bać. I śpieszyć się nie macie czego. Tylko — tylko chyba trochę śpiewu mogłoby się dać słyszeć w Dżungli — przed lub za wami.«

»Czy myślisz, że chcielibyśmy zapędzać się nocą w głąb Dżungli, gdyby nam spalenie nie groziło? Milej ginąć od kłów dzikich zwierząt niż od ręki ludzi,» powiedział mąż Messuy; ale Messua patrzała na Mowgli'ego i uśmiechała się.

»Ależ mówię wam,« rzekł Mowgli dobitnie, ni to Baloo powtarzający aż do znudzenia nieuważnemu wychowankowi jakieś odwieczne prawo Puszczy, »ależ mówię wam, że ani jeden ząb w Dżungli przeciw wam się nie wyszczerzy, ani jedna łapa w Dżungli przeciw wam się nie podniesie. Żaden człowiek, żaden zwierz w drodze was nie powstrzyma aż do chwili, w której ujrzycie mury miasta Kanhiwary. Albowiem dam wam straż, a ona czuwać nad wami będzie.« Tu pochylił szybko głowę do Messuy i spytał: »On mi nie wierzy, ale *ty* mi wierzysz?«

»Tak, z pewnością, mój synu. Czyś człowiekiem, czyś duchem, czyś wilkiem z Dżungli — wierzę ci.«

»*On* się przelęknie, gdy usłyszy śpiew mego ludu. Ale *ty* go pojmiesz i zrozumiesz. Idź teraz, ale powoli, bo niema powodu się śpieszyć. Wrota pozamykane.«

Messua szlochając rzuciła się do nóg Mowgli'ego, ale on podniósł ją czem prędzej pełen niewytłumaczonego drżenia.

Wtedy ona zawisła na jego szyi, poczęła go pieścić, całować, przemawiać doń najsłodszemi i najtkliwszemi wyrazami, na jakie się zdobyć umiała, a jej mąż rozglądał się przez pewien czas chciwie po polach i rzekł: »Jeśli dojdziemy do Kanhiwary i zyskamy przychylność Anglików, wtedy to dopiero wytoczę proces Braminowi, staremu Bulde'owi i innym i zniszczę wioskę do szczętu. Podwójnie mi zapłacicie za moje zboże niezżęte, za moje wychudłe bawoły! Muszę znaleźć sprawiedliwość!«

Mowgli się zaśmiał. »Nie wiem, co to jest sprawiedliwość, ale — przyjdź po najbliższych deszczach, a obaczysz, co z tego pozostanie.«

Szli prosto przed siebie w głąb Dżungli, a matka-wilczyca wyskoczyła z kryjówki.

»Idź za nimi!« rzekł Mowgli; »i bacz, by cała Dżungla wiedziała o tem, że *muszą* przejść bezpiecznie. Dobądź trochę głosu. Chcę zawołać Bagheerę.«

Głębokie, przeciągłe wycie rozległo się i zgasło i Mowgli ujrzał, jak mąż Messuy drżał i rozglądał się dokoła, mając chętkę zawrócić do chaty.

»Idźcie dalej,« zawołał Mowgli wesoło. »Mówiłem przecież, że może być trochę śpiewania. Te hasła odprowadzą was aż do Kanhiwary. To jest Łaska Dżungli!«

Massua popchnęła naprzód męża i wnet zawarły się nad nimi i nad matką-wilczycą wieka ciemności, gdy wtem wyskoczyła tuż prawie z pod nóg Mowgli'ego Bagheera, drżąca rozkosznie od upojenia się nocą, która zaraża szaleństwem plemiona Dżungli.

»Wstydziłam się za twoich braci,« rzekła mrucząc.

»Jakto? Czyż nie pięknie zaśpiewali Buldeo'wi?« spytał Mowgli.

»Za pięknie! Za pięknie! Ba, nawet i ja, usłyszawszy ich, zapomniałam o własnej dumie i biegłam śpiewając przez Dżunglę, jakby to już nastała pora wiosenna. Czyś śpiewu naszego nie słyszał?«

»Ja inną zwierzynę na tropie miałem. Spytaj Bulde'a, czy mu się ten śpiew podobał. Ale gdzież się podzieli moi czterej bracia. Nie chcę, by ktokolwiek z ludzi dzisiejszej nocy wydalał się za wrota.«

»Pocóż aż czterech do tego?« rzekła Bagheera, przestępując z nogi na nogę; a jej oczy żarzyły się coraz to bardziej, a z gardzieli dobywało się głośniejsze mruczenie. »Ja ich zatrzymam, mały Bracie. A będzie tam można kogo zabić? Ten śpiew, a nadto widok ludzi, wdzierających się na drzewa, uczyniły mnie chciwą krwi. Czem bo jest człowiek, byśmy go oszczędzali — ten nagi brunatny grzebak, twór bez włosów i zębów, co żre ziemię? Biegłam za nim dzień cały — w południe, w biały skwar słońca. Szczułam go przed sobą, jak wilki szczują kozła. Jestem Bagheera! Bagheera! Bagheera! Jak teraz tańczę z własnym cieniem, tak tańczyłam z tymi ludźmi. Patrz!« Wielka pantera wykonała skok w powietrze, jak skacze kot za listkiem, który wiatr ponosi, dała susa w lewo i w prawo, aż powietrze zaświszczało od pędu, padła bez szelestu na trawę i zrywała się znowu i znowu do skoku, a świsty i mruczenia w jej gardle rosły i wzbierały, aż wreszcie zasyczały jak para w kotle. »Jestem Bagheera — w Dżungli — wśród nocy, a moc moja jest ze mną. Kto się obroni od moich razów? Szczenię ludzkie, jednem uderzeniem łapy mogłabym spłaszczyć twą głowę, jak zdechłą żabę wśród lata.«

»Uderzaj więc!« zawołał Mowgli dialektem wioski a *nie* językiem Dżungli; ale dźwięk mowy ludzkiej wprawił Bagheerę w nieme osłupienie; trzęsąc się od trwogi opadła na tylne łapy, tak, iż jej głowa zrównała się z głową Mowgli'ego. I wtedy Mowgli spojrzał na nią tak, jak zwykle spozierał na młode buntujące się wilczki —

zajrzał jej w samą głąb jej zielonawych źrenic, aż zgasł w nich ów czerwony żar, podobny do ognia latarni morskiej, świecącej wśród zielonych otchłani morza na dwadzieścia mil od brzegu; wreszcie opadły zgasłe źrenice ku ziemi, a coraz niżej zwieszał się potworny łeb zwierza — niżej, coraz niżej, a czerwony język polizał nogi Mowgli'ego.

»Siostro — siostro — siostro!« zaszeptał chłopiec, głaszcząc łagodnie zjeżony i drżący grzbiet pantery: »Uspokój się, uspokój się! to wina nocy, nie twoja wina.«

»To wina wyziewów nocy,« odparła Bagheera ze skruchą. »Krzyczy do mnie, to powietrze. Lecz skądże ty o tem wiesz?«

Oczywistą jest rzeczą, że powietrze dokoła indyjskiej wioski przesycone jest ostremi wyziewami i drażniącą zmysły wonią i że te zapachy muszą upajać stworzenia prawie myślące swym węchem, jak ludzi upaja muzyka lub trunek. Mowgli pieścił i uspokajał panterę przez dość długi czas, a ona leżała spokojnie jak kot przy ogniu, z łapami podwiniętemi pod siebie z oczyma wpół przymkniętemi.

»Ty jesteś nasz i *nie* jesteś nasz,« odezwała się wreszcie.

»A ja jestem tylko czarną panterą. Ale ja cię kocham, mały bracie!«

»Coś oni tam za długo rozmawiają pod tem drzewem,« rzekł Mowgli, puszczając mimo uszu ostatnie słowa Bagheery. »Buldeo musi im dużo opowiadać. A powinniby już nadejść, aby wyciągnąć z klatki mężczyznę i niewiastę i w Czerwony Kwiat ich wrzucić. A tu klatka rozbita. Ha! Ha!«

»Nie — słuchaj,« rzekła Bagheera. »Szaleństwo wyparowało już z mej krwi. Pozwól, niech *mnie* tam znajdą. Niewielu z nich wyjdzie potem z chaty, gdy mnie zobaczą. Nadto nie znajdę się w klatce po raz pierwszy; sznurami mnie także, jak myślę, nie związą.«

»Bądź jednak rozsądną,« odparł Mowgli, śmiejąc się, gdyż już i u niego zaczęła się budzić chęć zuchwalej swawoli jak u pantery, która tymczasem wpełzła cicho do chaty.



»Pah!« Bagheera parsknęła nozdrzami. »Śmierdzi tu wszędzie człowiekiem, ale patrzno — jest i łóżko podobne do tego, jakie mi dali w królewskim zwierzyńcu w Oodeypore. A teraz już leżę.« Mowgli usłyszał, jak deski łoża zatrzeszczały sucho pod ciężarem

potężnego cielska. »Na wyłamaną kratę, która mi wolność dała — będą myśleli, że złowili grubą zwierzynę! Zbliż się i usiądź przy mnie, mały bracie; zaśpiewamy im razem: Szczęśliwych łowów!«

»Nie, inna myśl gości w moim żołądku. Gromada ludzka nie powinna wiedzieć, jaki biorę udział w tej zabawie. Poluj sobie sama. Ja nie chcę ich widzieć.«

»Niech i tak będzie,« odpowiedziała Bagheera. »Lecz ot — już idą!«

Narady, odbywające się pod drzewem figowem na drugim końcu wioski, stawały się coraz bardziej głośne i wrzaskliwe.

Wreszcie rozległy się dzikie okrzyki i tłum mężów i niewiast runął ławą w ulicę, wywijając maczugami, bambusowemi kijami, sierpami i nożami. Buldeo i Bramin biegli na czele, a w ich tropy tłoczyła się zgraja, krzycząc: »Czarownik i czarownica! Obaczymy czy rozpalone żelazo nie zmusi ich do wyznania . . . Zapalcie im dach nad głową! Nauczymy my ich przyjmować w dom djabłów w wilczej skórze. Nie, najpierw ich osmagać! Z żagwią tu! Więcej żagwi! Buldeo, niech zagrzeje się lufa twojej strzelby!«

Przy drzwiach chaty napotkano trochę trudności. Były bowiem mocno zatrzaśnięte, ale wnet rozwścieklony tłum je wyważył i jasne światło pochodni oblało ciemne wnętrze komnaty, gdzie wyciągnięta w swej całej długości na łożu, z łapami skrzyżowanemi i zwieszonemi niedbale ku dołowi, czarna jak piekło a straszliwa jak demon leżała Bagheera. Na ten widok nastało w tłumie groźne milczenie i wnet pierwsze szeregi zachwiały się i z rozpaczliwą siłą drapiąc się i popychając poczęły pierzchać ku wyjściu, a w tejże samej chwili Bagheera podniosła łeb i ziewnęła — kunsztownie, powoli, wyzywająco — jak zwykle ziewała, gdy chciała okazać pogardę równemu sobie. Obwisłe wargi rozciągnęły się w tył i do góry; czerwony język zwinął się w trąbkę; dolna szczęka zniżała się i zniżała, aż prawie można było

zajrzeć w głąb dyszącej ogniem gardzieli; a olbrzymie trzony zębów obnażyły się lśniąco aż do dziąseł, następnie zwarły się razem z trzaskiem żelaznych rygli przy kasie bezpieczeństwa.

Za chwilę ulica była już pusta; Bagheera wyskoczyła napowrót oknem i stanęła obok Mowgli'ego, podczas gdy obłąkany przerażeniem tłum wył, rozpychał się, tłoczył, rozbiegał w gorączkowej żądzy dostania się jak najśpieszniej do domu.

»No, a teraz nikt się z domu nie ruszy aż do rana,« rzekła Bagheera spokojnie. »Cóż dalej?«

Milczenie ciszy popołudniowej zdało się spoczywać nad wioską, ale gdyś się wgrążył uchem w tę ciszę, mogłeś pochwycić szmer, jak gdyby ktoś podnosił skrzynie pełne zboża i przystawiał je do drzwi chat. Bagheera miała słuszność; wieśniacy nie zamierzali ruszać się przed ranem. Mowgli siedział cicho pogrążony w myślach, a jego oblicze pochmurniało i zasępiało się coraz bardziej.

»No i cóż zrobiłam?« spytała wreszcie Bagheera z przymileniem.

»Tylko wiele dobrego. Pilnujże ich teraz aż do wschodu słońca. A ja się wyśpię.« Mowgli pobiegł jak strzała w głąb Dżungli, rzucił się na mchy pod skałami i spał i spał długi dzień i całą następną noc.

Skoro się przebudził, Bagheera już stała przy nim, a u jej nóg leżał świeżo zabity kozioł. Bagheera patrzała z ciekawością, jak Mowgli zabierał się do dzieła z nożem w ręku, jadł i pił, a potem oparł brodę w zamyśleniu na dłoni.

»Mężczyzna i twoja niewiasta zaszli pewnie do Kanhiwary,« rzekła Bagheera. »Matka twoja przysłała nam tę wieść przez Chil'a. Znaleźli sobie konia o północy i posuwali się odtąd bardzo szybko. Czy to nie dobrze?«

»Tak, to dobrze,« odpowiedział Mowgli.

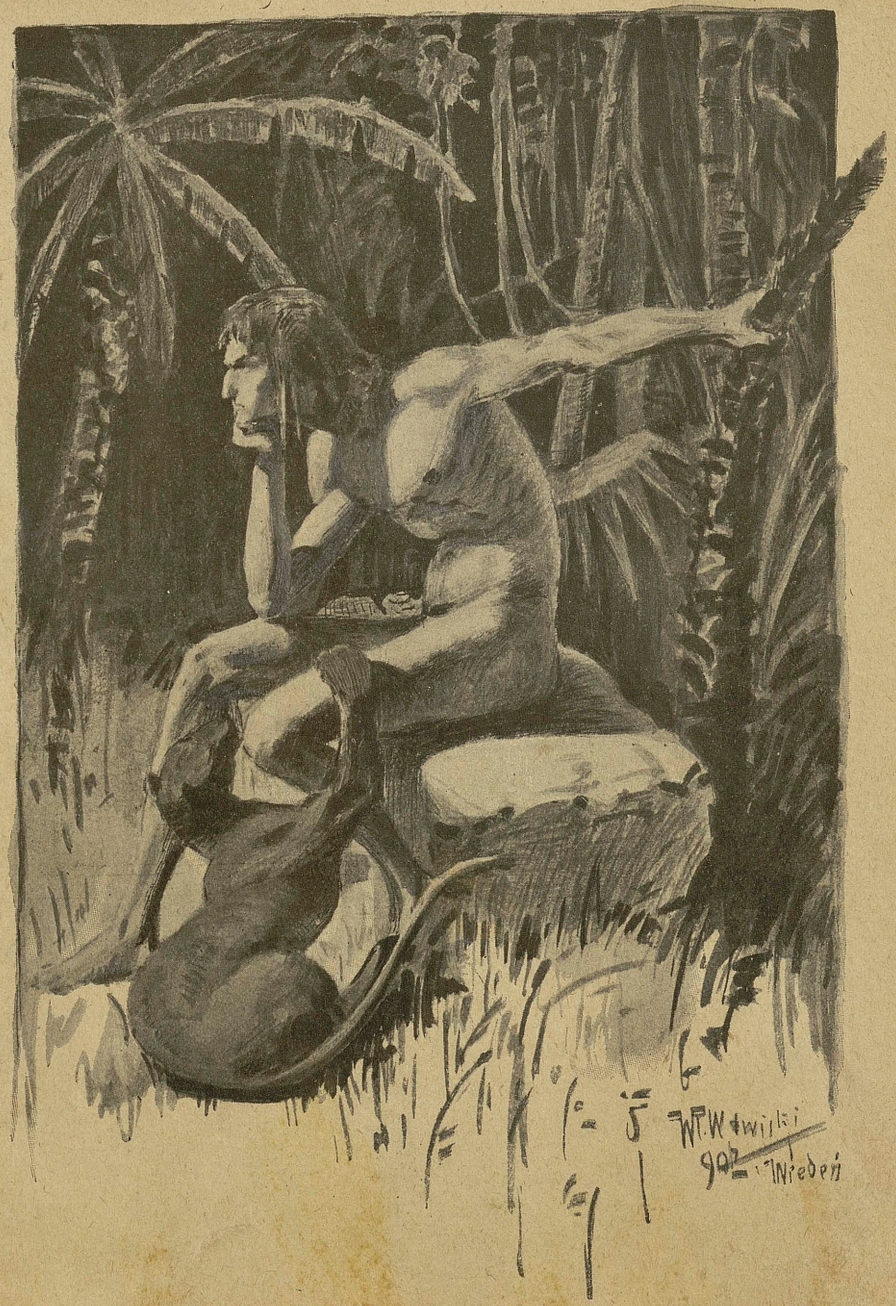

»A twoi wieśniacy nie ruszyli się z domów, aż słońce stanęło wysoko na niebie. Wtedy spożyli strawę i znowu pozamykali się z pośpiechem.«

»A ciebie przypadkiem nie widzieli?«

»Być może. Gdy zmierzch poranny się budził, tarzałam się w kurzu ulicznym pod bramą; a może nawet i śpiewałam sobie coś niecoś. Ale teraz, mały bracie, nie mamy już nic do roboty. Pójdź polować, będziemy razem — ja, ty i Baloo. Baloo wywąchał gdzieś nowe ule, które ci chce pokazać, a i my chcemy, byś z nami żył, jak niegdyś. Nie strójże takich min, które *mnie* nawet strachu napędzają. Wszakże tym dwojgu ludziom nie grozi już spalenie, a w Dżungli idzie wszystko zwykłym trybem. Czyż nie tak? Zapomnijmy już raz o ludzkiej gromadzie.«

»Wszyscy o nich zapomną — niedługo. Gdzie pasie się Hathi tej nocy?«

»Gdzie mu się podoba. Któż zdoła przeniknąć myśli Milczącego? Lecz pocóż? Czy Hathi zdoła zrobić coś takiego, czegobym ja nie zrobiła?«

»Każ jemu i trzem synom, aby stanęli przedemną.«

»Ależ — zaiste i zaprawdę, braciszku — to jakoś . . . to jakoś nie wypada przemawiać do Hathi'ego tak wprost: ‚chodź' i ‚idź sobie'. Nie zapominaj, że *on* jest Mistrzem Dżungli, że *on* uczył cię jej tajemnych haseł, nim jeszcze gromada ludzka zmieniła wyraz twej twarzy.«

»Wszystko mi jedno. Teraz *ja* mam tajemne hasło na niego. Powiedz mu, że ma stanąć przed obliczem Mowgli'ego, którego nazywają Żabą, a jeśliby się wzbraniał słuchać cię z początku, powiedz mu, aby się stawił w imię spustoszonych pól w Bhurtpore.«

»W imię spustoszonych pól w Bhurtpore,« powtórzyła sobie Bagheera dwa czy trzy razy, aby dobrze zapamiętać. »Już idę. Hathi rozgniewa się tylko w najgorszym razie, a ja oddałabym chętnie łupy z całego miesiąca, byle tylko usłyszeć *takie* hasło, któreby zdołało *przymusić* Milczącego.«

Odbiegła rączo, zostawiając Mowgli'ego, który wściekły i zły raz po raz uderzał nożem w ziemię. Mowgli nigdy w życiu nie widział krwi ludzkiej, dopiero po raz pierwszy ujrzał krew Messuy i — co ważniejsza — wchłaniał tę krew w nozdrza, wąchając pęta, któremi Messuę skrępowano. A Messua była dla niego tak dobra; dlatego też on ją kochał, o ile sam wiedział, co to znaczy kochać; — a kochał ją tak mocno, jak mocno nienawidził innych ludzi. A przecież, choć czuł odrazę i do ich mowy i do ich okrucieństwa i do ich tchórzostwa, nie byłby się za żadne skarby świata targnął na życie człowieka i nie byłby ścierpiał ponownie wstrętnego zapachu krwi ludzkiej w nozdrzach. Plan jego był prosty i dlatego tem skuteczniejszy; więc sam się do siebie uśmiechał na myśl, że to słowa samego Buldea, wypowiedziane owego wieczoru pod drzewem figowem, natchnęły go tym planem.

»Tak, to *było* tajemne hasło,« zaszeptała mu Bagheera do ucha. »Paśli się nad rzeką i skorom im przyjść kazała, poszli posłusznie jak bawoły. Patrz, jak nadchodzą.«

Hathi i jego trzej synowie pojawili się jak zwykle w milczeniu. Świeży namuł rzeczny okrywał ich boki, a Hathi żuł w zamyśleniu korę z pnia bananu, który kłami z ziemi wygrzebał. Ale każda linja jego potężnego cielska mówiła Bagheerze, która się znała na sprawach bliżej ją obchodzących, że to już nie Mistrz Dżungli przemawia do szczenięcia ludzkiego, ale ktoś, co się lęka, staje przed kimś, co się nie lęka. Trzej synowie Hathi'ego szli tuż za ojcem po obu stronach.

Mowgli ledwie podniósł trochę głowę, gdy mu Hathi rzucił powitanie: »Szczęśliwych łowów!« Pozwolił mu się przez długi czas kołysać, ważyć z jednej strony na drugą, przestępować z nogi na nogę a kiedy wreszcie przemówił, zwrócił się do Bagheery a nie do słoni.

»Chcę ci opowiedzieć jedno zdarzenie; słyszałem je z ust myśliwego, którego ścigałaś dzisiaj,« rzekł Mowgli. »Tyczy się ono starego i mądrego słonia, który wpadł do pułapki i któremu zaostrzony pal, na jej dnie umieszczony, zadał ciężką ranę; śladem jej jest ta oto biała blizna, sięgająca mu od stóp aż do grzbietu.« Tu Mowgli wyciągnął rękę, a gdy się Hathi odwrócił, ukazała się w świetle księżyca długa biała blizna, jak gdyby biczem do czerwoności rozpalonym na szarem cielsku słonia wyryta. »Ludzie przyszli wyciągnąć go z pułapki,« mówił Mowgli dalej, »ale on zerwał ich pęta, gdyż siła w nim była — i odszedł, by ranę bolesną wyleczyć. Ale zato nocą powrócił groźny i straszny na pola tych ludzi. I miał za sobą — dobrze pamiętam — trzech synów. Te rzeczy działy się już dawno, dawno temu, przed wieloma porami deszczowemi i daleko, daleko stąd... aż na polach w Bhurtpore. Jaki plon przyniosły te pola przy najbliższem żniwie, Hathi?«

»Żniwa urządziłem ja i moi trzej synowie,« odparł Hathi.

»A co się stało z orką, co po żniwach następuje?« spytał Mowgli.

»Nikt tam więcej nie orał,« odpowiedział Hathi.

»A co słychać z ludźmi, którzy mieszkali na tych zielonych polach, w tej dolinie?« spytał dalej Mowgli.

»Odeszli.«

»A z chatami, w których ludzie mieszkali?« pytał Mowgli.

»Strzechy chat porozrywaliśmy w kawały, a resztę pochłonęła Dżungla,« rzekł Hathi.

»I co jeszcze się stało?« pytał Mowgli.

»Tyle dobrej ziemi, ile przebiec zdołam od wschodu na zachód i od północy na południe, ogarnęła Dżungla. Uderzyliśmy z ludem Dżungli na pięć wsi; i dziś ani jeden człowiek nie pożywiłby się w tych wioskach, na ich miękkich łanach zbożowych, ich pastwiskach i ugorach. Takie było spustoszenie pól w Bhurtpore, którego dokonałem ja i moje dzieci; a teraz powiedz mi, mały człowieku, skąd doszły do ciebie te wieści?« rzekł Hathi.

»Dowiedziałem się o tem od człowieka; a teraz widzę, że i taki Buldeo może czasem powiedzieć prawdę. Mądrześ sobie postąpił, o Hathi, białą blizną naznaczony; ale drugi raz dokonasz tego lepiej, gdyż człowiek stanie na czele wyprawy. Wszak znasz wioskę gromady ludzkiej, która mnie wypędziła? Ci ludzie nie mają ani rozumu, ani serca; bawią się wargami i mordują słabszych nie z głodu, ale dla zabawy. Skoro mają pełny żołądek, zdolni są wrzucić własne dzieci do Czerwonego Kwiatu. Widziałem to już. Nie godzi się, by tutaj dłużej żyli. Nienawidzę ich!«

»Więc ich zabij,« zawołał najmłodszy z trzech synów Hathi'ego i wyrwał z wściekłością z ziemi garść trawy, uderzył nią o przednie łapy i odrzucił daleko od siebie, a jego czerwone jak ogień i drobne oczy łyskały skrycie to w tę, to w ową stronę.

»Co mi przyjdzie z ich białych gnatów,« zawołał Mowgli ze złością. »Czy jestem szczeniakiem wilczym, abym się bawił okrwawioną głową wśród skwarów słonecznych? Zabiłem Shere Khan'a, a jego skóra próchnieje na Skale Rady; ale — ale nie wiem, co się z nim stało i mój żołądek jest dotąd pusty. Teraz chcę zdziałać coś takiego, cobym mógł widzieć i czegobym się mógł dotknąć. Uderz z Dżunglą na ich wieś, o Hathi!«

Bagheera zadrżała i przypadła do ziemi. Mogła sobie wyobrazić w najgorszym razie tłumne wtargnięcie w ulice wioski, rzucanie się

w prawo i lewo na ciżbę lub też podstępne mordowanie ludzi idących w zmierzchu rannym za pługami, ale takie zgóry uplanowane zgładzenie całej wsi w oczach *wszystkich* ludzi i *wszystkich* zwierząt wydało się jej czemś straszliwem. Teraz już wiedziała, czemu to Mowgli wzywał Hathi'ego. Tylko długowieczny słoń mógł taki plan obmyśleć i przeprowadzić.

»Wypędź ich stąd daleko, jakeś wypędził tamtych z doliny Bhurtpore — wypędź ich, aż woda deszczu stanie się jedynym pługiem na ich polach, a szum ulewy, uderzającej o grube liście drzew, zastąpi nam turkotanie ich wrzecion — aż Bagheera obierze sobie ze mną siedlisko w domu Brahmina, a kozioł przyjdzie pić wodę do cysterny w świątyni. Uderz na nich z całym ludem, o Hathi!«

»Ależ ja — ależ my nie mamy z nim sporów, a potrzeba nam krwawej wściekłości, wielkiego bolu, nim zrównamy z ziemią ludzkie sadyby,« rzekł Hathi, chwiejąc się na obie strony w zamyśleniu.

»Czyż wyście jedynymi zjadaczami roślin w Dżungli? Ruszcie swoje ludy! Jelenie, dziki, nilghai niech idą na wyprawę. A wy przyjdziecie, jak pola już legną pokotem — przyjdziecie oglądać spustoszenie. Rusz Dżunglę, o Hathi!«

»Więc zabijać nie będziemy? Kły moje spłynęły krwią podczas pustoszenia pól w Bhurtpore, a nie chciałbym znowu wywoływać jej woni.«

»Ani ja. Nawet ich kości nie chciałbym widzieć na naszej czystej ziemi. Niechże stąd idą, niech innej szukają sobie siedziby! Nie mogę tu zostać dłużej. Widziałem i wąchałem krew niewiasty, która mnie nakarmiła — niewiasty, którą oni byliby spalili, gdyby nie ja. I tylko zapach świeżej trawy, zarastającej bujnie progi ich chat, może zniweczyć tę woń straszliwą. Ona mi usta pali jak ogień. Rusz Dżunglę, o Hathi!«

»Ach!« rzekł Hathi. »Tak samo i mnie paliła rana od ostrego pala, póki nie ujrzałem, jak wymierały ich wioski wśród ciepłej i kwitnącej wiosny. A teraz już wiem! Twoja walka ma być naszą walką! Przeto zgromadzę Dżunglę i uderzę na nich!«

Mowgli zdołał ledwie zaczerpnąć trochę oddechu w ściśnięte piersi — aż trząsł się od wstrętu i gniewu — nawet wtedy, gdy miejsce, na którem stały słonie, się opróżniło; a Bagheera spojrzała na niego ze strachem.

»Na wyłamane rygle, które mi wolność wróciły!« zawołała wreszcie czarna pantera. »Czy to *ty* jesteś tym małym nagim tworem, którego broniłam wobec gromady, gdy wszyscy byli jeszcze młodzi? Mistrzu Dżungli, skoro me siły już zgasną, przemów za mną — przemów za Baloo'em — przemów za nami wszystkimi! Myśmy szczeniaki wobec ciebie! Suche gałązki pod twemi stopami! Małe jelonki szukające swych matek!«

Trudno sobie wyobrazić Bagheerę w postaci biednego zabłąkanego jelonka. Przeto Mowgli, usłyszawszy to porównanie, wybuchnął gwałtownym śmiechem i śmiał się i chwytał piersią powietrze i płakał, śmiał się znowu, wreszcie wskoczył do bagna, by się ochłodzić. I począł się we wodzie pluskać i pływał wkoło i wkoło i zanurzał się i wynurzał na powierzchnię przesyconej światłem księżyca głębi, zupełnie jak imienniczka jego — żaba.

A tymczasem zwrócił się Hathi i jego trzej synowie, każdy w inną stronę świata i kroczyli milcząco przez doliny. I kroczyli i kroczyli przez dwa dni wnętrzem Dżungli i każdy z nich uszedł jakoby sześćdziesiąt mil daleko; a każdy ich krok, każdy ruch ich trąby był zauważony i omówiony przez Mang'a, Chil'a, plemię małp i ptactwo. A potem zaczęli się paść i paśli się spokojnie przez tydzień lub dłużej. Hathi i jego synowie są pod tym względem po

dobni do Ka'y, olbrzymiego węża skalnego. Nie śpieszą się nigdy przed czasem.

Przy końcu tego czasu — a nikt nie wie, skąd to przyszło — rozeszła się nagle głucha wieść, że w tej a w tej dolinie jest lepsza pasza i czystsza woda do picia i wieść ta obleciała całą Dżunglę. Dziki, które oczywiście na koniec świata by pobiegły za lepszą strawą — zaczęły się najpierw skupiać w stada i biegły z krząkaniem popod skały; a za niemi poszły jelenie i małe dzikie lisy, żywiące się umierającymi i umarłymi z gromady; i szerokobarczysta nilghai poszła tropem jeleni, a za nilghai ruszyły się z bagien dzikie bawoły. Najmniejsza rzecz mogła wzniecić największy popłoch w tych wiecznie się nawracających i rozproszonych trzodach, które się czasem pasły, czasem piły wodę, czasem wałęsały i znowu się pasły; ale ilekroć tylko powstał alarm, znowu zjawiło się coś, co je uspokajało. Niekiedy była to jeżatka Sahi, opowiadająca mnóstwo wieści o doskonałej paszy na niedalekich łąkach; niekiedy Mang, który, ilekroć rzesze wchodziły w rzedniejący las, wydawał radosne okrzyki i trzepotał skrzydłami, aby im oznajmić, że droga jest wolna; albo też Baloo który mając pysk napełniony korzeniami leśnemi, kroczył chwiejnym krokiem wzdłuż przerażonych szeregów i jużto strasząc, jużto naciskając sprowadzał je na dobre szlaki. Wiele jednak stworzeń zawróciło z drogi, albo pobiegło przodem, albo też utraciło chęć do wyprawy: większość jednak została na miejscu, iść dalej gotowa. Po upływie dziesięciu dni położenie było takie. Jelenie, dziki i nilghai zatoczyły szerokie i dalekie koło o ośmiu lub dziesięciu milach średnicy, a Mięsożerne tłoczyły się na obwodzie. A w środku tego koła była wieś, a dokoła wsi dojrzewało zboże, a w zbożu na *machans'ach,* czyli platformach podobnych do gołębników a wspartych na czterech słupach, siedzieli ludzie, aby wypłaszać ze zboża ptactwo

i inne szkodniki. I teraz już zaprzestano oszczędzać jeleni! Mięsożercy zamknęli ich ciasnem kołem i parli stada naprzód i do środka.

Zapadły już grube ciemności, gdy Hathi z trzema synami nadszedł z głębi Dżungli i powyrywał kłami słupy *machans'ów,* a one padły jak ścięte łodygi kwitnącego szaleju (cykuty), a ludzie, którzy popadali na ziemię, słyszeli tuż nad uszyma głębokie gulgotanie słoni. Potem pierwsze szeregi jeleni runęły w dół i tratowały pastwiska wioski i jej zorane pola; za niemi ruszyły się ostre racice ryjących dzików, a od czasu do czasu wycie wilków rozlegało się między trzodami, które bezradnie rzucały się na wszystkie strony, deptały młody jęczmień i burzyły groble kanałów. Nim zmierzchy zapadły, zwolniał w jednej stronie nacisk, wywierany na zewnętrzną część koła. Mięsożerne odskoczyły w tył, otwierając drogę na południe, którą się wnet poczęły wymykać szeregi kozłów, jedne za drugiemi. Ale niektóre śmielsze osobniki poukrywały się w gąszczach, aby następnej nocy zakończyć rozpoczętą ucztę.

I dzieło było już dokonane. Mieszkańcy wioski, spojrzawszy rano na pola, zrozumieli, że żniwo przepadło. Śmierć niechybna im groziła, gdyby chcieli pozostać na miejscu, gdyż żyli tylko z roku na rok, a głód był nieraz tak blisko, jak Dżungla. A skoro wypuszczono bawoły na paszę, ujrzały głodne zwierzęta pola do szczętu spustoszone przez jelenie, więc poszły w głąb Dżungli i połączyły się ze swymi dzikimi pobratymcami; a skoro zmierzch się uczynił, leżały trzy czy cztery konie, które wieś posiadała, z roztrzaskanemi łbami we własnych stajniach. Tylko Bagheera mogła zadawać *takie* razy i tylko Bagheera mogła *tak* bezczelnie wywlekać resztki ścierwa na ulicę.

Tej nocy nie odważyli się wieśniacy rozniecić ognisk na polach, więc Hathi i jego trzej synowie zbierali tam pokłosie; a gdzie Hathi

zbiera pokłosie, tam już nikogo więcej nie potrzeba. Ludzie postanowili żyć narazie ze zboża w śpichrzach nagromadzonego aż do pory deszczowej, a potem pójść na zarobek, aż powetują straty całego roku; ale podczas gdy handlarz zboża myślał o swoich worach, żywiącem nabitych ziarnem, i o pieniądzach, jakie za nie otrzyma, wyrwały potężne kły Hathi'ego drewniane podpory jego lepianki i rozbiły wielkie skrzynie, w których leżało drogocenne ziarno.

Skoro tę ostatnią klęskę odkryto, było już obowiązkiem Brahmina zabrać głos. Modlił on się wprawdzie do wszystkich bogów, ale go nie wysłuchali. Być może, powiadał, że wioska obraziła nieświadomie którego z bogów Dżungli, gdyż bez wątpienia cała Dżungla, a nie kto inny przeciw nim powstaje. Wysłali przeto posłańca do przewodnika najbliższego plemienia wędrujących Gondów — drobnych, mądrych i bardzo czarnych myśliwców, żyjących w głębokiej Dżungli, których przodkowie wywodzą się z najstarszej rasy indyjskiej — z prapierwotnych mieszkańców kraju. Gdy Gond się zjawił, ugaszczali go suto, ile tylko mogli, a on stanął na jednej nodze, ujął dłonią łuk, wetknął we włosy dwie lub trzy zatrute strzały i spoglądał napół z lękiem, napół z pogardą na przerażonych wieśniaków i na ich spustoszone ugory. Chcieli się od niego dowiedzieć, czy to jego bogowie — starzy bogowie — gniewają się na nich i jakiemi ofiarami okupić się trzeba. Gond nic nie odpowiedział, ale zerwał łodygę *kareli*, szczepu, który rodzi owoce gorzkiej, dzikiej dyni, i oplótł nią tu i tam odrzwia świątyni, naprzeciw dziko i krwawo spoglądającego indyjskiego bóstwa. Potem wykonał w powietrzu ruch ręką w kierunku Kanhiwary, cofnął się w głąb Dżungli, ujrzał, jak jej ludy i plemiona tłumnie zgromadzone tam i napowrót przeciągały. A wiedział o tem dobrze, że skoro się Dżungla ruszy, tylko najmędrsi ludzie zdołają odwrócić jej nawałę.

Nie trzeba było się pytać o znaczenie tych znaków. Dzika dynia rozpleni się na miejscach, gdzie składali bóstwom ofiary, a im prędzej się uratują, tem lepiej dla nich.

Ciężko to rozłączać się ze swoją ziemią i chatą. Zwlekali przeto, jak długo jeszcze zboża starczyło; próbowali zbierać orzechy w Dżungli, ale wnet płoszyły ich cienie o krwawo łyskających oczach i plątały się na ich drodze nawet wśród białego południa, a kiedy pełni grozy i przerażenia biegli się skryć za murami, widzieli, że kora z drzew, obok których przed chwilą przechodzili, zdrapana i oderwana uderzeniami wielkiej, ostremi pazurami najeżonej łapy. A im więcej się wioski trzymali, tem śmielszemi stawały się te dzikie twory, które skakały na pastwiskach Waingungi i wyły. Nie mieli śmiałości wylepić gliną zewnętrznych ścian pustych stajen, które zwrócone były ku Dżungli; dziki potratowały je doszczętu, a latorośle o sękatych korzeniach cisnęły się tam tłumnie i oplatały pożądliwemi ramiony nowozdobytą ziemię, a szorstka trawa strzelała bujnie za ich pękami. Nieżonaci mężczyźni uciekli pierwsi i roznieśli wieść szeroko i daleko, że wieś — przez bogów osądzona. Któż może, mówili, imać się walki z Dżunglą albo z bogami Dżungli, gdy nawet święty wąż wioski *Cobra* opuścił legowisko u stóp drzewa figowego? I tak rwały się coraz bardziej i bardziej wszystkie — skromne zresztą — związki ludności ze światem tem bardziej, im bardziej trawa zarastała miejsca spustoszeń a ścieżki się gubiły. Dźwięki trąby Hathi'ego i trzech synów, rozbrzmiewające wśród ciemności nocnej, nie napędzały im już strachu, jak pierwej; nie mieli bowiem nic do stracenia. Bujne kłosy i zielone zasiewy zginęły już do szczętu, zarysy pól i ugorów zatarły się bezpowrotnie; już nadszedł czas zdania się na łaskę lub niełaskę Anglików w Kanhiwarze.

Zwyczajem kraju zwlekali z odejściem z dnia na dzień, aż zaskoczyły ich pierwsze deszcze, a rwące strugi włamały się przez

dziurawe dachy chat, aż woda zatopiła na stopę głęboko pola, a cała roślinność wystrzeliła bujną zielonością po skwarach lata. Wtedy wywędrowali wszyscy — mężczyźni, niewiasty i dzieci — brnąc przez łąki wśród oślepiającego, ciepłego dżdżu; a uszedłszy o parę wiorst, odwrócili głowy ku wiosce, by ją raz jeszcze ujrzeć, by ją pożegnać.....

Lecz ledwie ostatnia rodzina, niosąca na ramionach dobytek, przekroczyła bramę, usłyszeli trzask walących się belek i strzech poza murami. Ujrzeli, jak się wzniosła nad wioską czarna, lśniąca, podobna wężowi trąba, która burzyła i roznosiła zbutwiałe dachy. Gdy znikła, dał się słyszeć drugi trzask, a po trzasku głuchy jęk. Hathi pozrywał tak łatwo dachy chat, jak się zrywa lilje wodne, a upadająca belka zraniła go. To było przyczyną, że jego gniew przybrał w dwójnasób, a ze wszystkich stworzeń w Dżungli jest podrażniony słoń najstraszliwszym niszczycielem. Uderzył z wściekłością nogą w tył poza siebie i zburzył ścianę, która pod tym ciężkim razem rozpękła się, rozkruszyła i zmieniła się w żółty piach w ulewie. Potem się odwrócił, ciężko postękując, i runął w wąskie ulice, rozgniatając parciem straszliwego cielska drzwi i mury domów, a trzech jego synów szalało wściekle poza nim, jak to niegdyś szaleli, upajając się zniszczeniem pól w Bhurtpore.

»Dżungla pochłonie te ruiny,« odezwał się jakiś spokojny głos wśród powszechnego zgiełku i wycia. »Jeszcze ten wał rozwalić nam trzeba!« i Mowgli, z którego nagich ramion i pleców lała się strugami woda deszczowa, zeskoczył z nadwalonej ściany jakiejś chałupy i padł na ziemię, jak pada bawół ze zmęczenia.

»Na wszystko czas,« mruknął Hathi, sapiąc głośno . . . »Och, kły moje spłynęły krwią na polach w Bhurtpore! W ten mur, dzieci! Głową weń! Razem! Uuf!«

I we czwórkę poczęli przeć straszliwie i miotać szalone razy! Mur giął się, trzeszczał, pękał i walił, a wieśniacy, niemi z przerażenia, widzieli zdaleka w szczerbach muru potworne łby niszczycieli. I poczęli umykać z szalonym pośpiechem przez dolinę, biedni, bladzi, wynędzniali i bezdomni, aż ich wioska zniszczona doszczętnie, rozdeptana, rozwalona i rozkruszona znikła im z przed oczu.

A za miesiąc wzniósł się na tem miejscu miękki, falisty pagórek, a młoda trawa zarastała go dokoła; i nim jeszcze deszcze minęły, już władła bezkreśnie straszliwa Dżungla na ugorach, które przed pół rokiem człowieka krajały pługi.

ŚPIEW MOWGLI'EGO PRZECIWKO LUDZIOM

Hej! pnącze na was cisnę, korzenie, chwast i krzew —
I Dżunglę na was rzucę, niech zczeźnie w roli siew!
Rozpękną świątyń ściany
I runą dachy chat,
A *Karela*, gorzka *Karela*
Pochłonie wasz ślad!

Na miejscu waszych obrad zaśpiewa pieśń mój lud,
Nietoperz się zagnieździ u waszych strzech i wrót;
Wąż — strażnik na ołtarzu
Owinie święty głaz,
A *Karela*, gorzka *Karela*
Pochłonie was!

I wojsk mych nie ujrzycie — lecz usłyszycie wżdy,
Jak przeciw wam wśród nocy nawałą będą szły;
Wilk — wilk pasterzem będzie
Rozpierzchłych waszych stad,
A *Karela*, gorzka *Karela*
Pochłonie wasz ślad!

Tłum mych żniwiarzy niechaj z pól waszych plon ma!
Po nich będziecie zbierać ostatnie kłosów źdźbła!
Jelenie biegać będą,

Gdzie niegdyś orał pług —
A *Karela*, gorzka *Karela*
Zachwaści szlak dróg —!

Cisnąłem na was liany i chwytne pnącze drzew,
Ruszyłem całą Dżunglę, niech zczeźnie w roli siew!
Las — las — nad wami strzeli!
I runą dachy chat,
A *Karela*, gorzka *Karela*
Pochłonie wasz ślad!

GRABARZE

Jeśli Tabaqui »twym bratem«, jeśli jadasz z Hyjeną pospołu,
Zaprośże też i Dżakelę — ów Brzuch na nogach — do stołu.
Prawo Dżungli.

Uszanujcie sędziwość!

Tak zawołał jakiś gruby głos — głos charczący, zaflegmiony, że dusza wasza zatrzęsłaby się snadź od ohydy i wstrętu, głos, jakby rozpękało się coś miękkiego na dwoje. Jakiś jęk, jakiś skowyt, jakieś rzężenie było w tym głosie.

»*Uszanujcie sędziwość! O, towarzysze z nad Rzeki — uszanujcie sędziwość!*«

Lecz nic nie było można dojrzeć na bezbrzeżnej toni wód rzecznych jak tylko malą flotyllę opatrzonych w kwadratowe żagle i obładowanych kamieniem budulcowym łodzi, które wypłynąwszy z pod mostu kolejowego dążyły w dół strumienia. Niezgrabne wiosła pracowały z wytężeniem, aby wyminąć piaszczystą ławicę pod filarami mostu, a gdy łodzie płynęły już obok ławicy, rozpoczął straszliwy głos na nowo:

»*O, Brahmini z nad Rzeki — uszanujcie sędziwość i niedołężność starca!*«

Żeglarz, który siedział w tyle łodzi przy sterze, wyciągnął ręce nad wodę i wyszeptał półgłosem coś, co zapewne nie było błogosławieństwem, a trzeszczące łodzie odpłynęły w głębokie zmierzchy nocy. Szeroka rzeka indyjska podobna raczej do łańcucha drobnych jezior, niż do strumienia, gładka jak zwierciadło, odbijała w środku swej głębi złoto-purpurowe niebo wieczorne i pluskała żółtemi, czer-

wonemi i brunatnemi falami o dolne brzegi koryta. Drobne potoki szumiały tam w dżdżystej porze roku, ale teraz leżały ich suche łożyska wysoko ponad poziomem wody. Po lewej stronie, prawie tuż pod kolejowym mostem, rozłożyła się wieś zbudowana z gliny, cegieł, słomy i drzewa, której główna ulica, pełna teraz bydła, powracającego z pastwiska do obory, zbiegała aż do rzeki i kończyła się pewnego rodzaju murowaną tamą, którędy lud dla kąpieli do brodu schodził noga za nogą.

Szybko zapadała noc na leżące w dolinach pola ryżu, soczewicy i bawełny, które corocznie obficie nawadnia'a rzeka; na gęste zarośla trzcin, co zarastały zakręty rzeki i dzikie gąszcza pastwisk za szuwarami i trzciną. Papugi i wrony, nakrzyczawszy się i nagwarzywszy po uszy przy wieczornym poju, ruszyły w głąb lądu na spoczynek i spotkały w drodze gromady latających lisów; a ptactwo wodne leciało ze świstem i sykiem, chowając się do szuwarów rzecznych. Były tam gęsi o niezgrabnych głowach i czarnych grzbietach, dzikie kurki, cyranki, kaczory, siewki i krzywonosy — gdzie niegdzie pojawiał się flaming.

Ociężały Żóraw-adjutant wlókł się w tylnej straży i podlatywał tak, jak gdyby każdy ruch jego skrzydeł miał już być ostatnim.

»*Uszanujcie sędziwość! Brahmini z nad Rzeki — uszanujcie sędziwość!*

Adjutant napół odwrócił głowę, zerkając zukosa w kierunku, skąd głos wychodził, aż zleciał powoli na piaszczystą ławicę pod mostem. Teraz dopiero można było obaczyć, co to była za komiczna figura. Z tyłu wyglądał niezmiernie czcigodnie i poważnie, gdyż był bezmała sześć stóp wysoki i podobny dziwnym trafem do starego, łysego księdza. Ale z przodu było inaczej, bo na śmiesznej głowie nie było ani jednego włoska, a u nasady szyi zwieszało się wstrętne

workowate podgardle — schowek na wszystko, co tylko zdołał ukraść swoim haczykowatym dziobem. Nogi miał długie, cienkie i pomarszczone, ale poruszał niemi z wyszukaną gracją i spoglądał na nie z dumą, muskając jednocześnie dziobem popielate pióra ogona, wreszcie rzucił okiem tu i tam i wyprężył się w nieruchomej postawie.

Mały, parszywy Szakal, który, stojąc na piaszczystym pagórku, poszczekiwał z głodu, nadstawił uszu, zadarł ogon i pobiegł w bród przez rzekę do miejsca, gdzie stał Adjutant.

Był to najgorszy okaz swego gatunku — wprawdzie nawet najlepszy szakal licha wart, ale ten był już wyjątkowym szubrawcem; pół żebrak, pół złodziej, czyściciel śmietników wioskowych, rozpaczliwy tchórz a zarazem wściekły zuchwalec, wiecznie głodny i pełen chytrych wybiegów, które mu jednak rzadko co dobrego przyniosły.

»Uf!« zajęczał, gdy się wreszcie wydostał na brzeg i otrząsnął się z żałosną miną. »Niechże wszy zjedzą wszystkie psy w tej wiosce! Trzy ukąszenia przypadają na każdą moją pchłę, a to wszystko za to, żem zerknął — zauważasz, tylko zerknął — do starego trzewika w stajni. Bo czyż mogę się najeść prochem?« Mówiąc to, poskrobał się w lewe ucho.

»Słyszałem,« rzekł Adjutant głosem podobnym do skrzypienia starej zardzewiałej piły, przerzynającej grubą deskę, »*słyszałem*, że w tym trzewiku leżało nowonarodzone psie szczenię.«

»Co innego jest słyszeć o czemś; co innego przekonać się o czemś,« rzekł szakal, który pochwytał wiele przysłów, słuchając mowy ludzi, siedzących wieczorem przy ognisku.

»Święta prawda. To też tylko, aby się przekonać, wziąłem w opiekę biedne, ślepe szczeniątko, podczas gdy psy były zajęte gdzie indziej.«

»*Bardzo* były zajęte,« odpowiedział szakal. »Ale niestety! nie będę już mógł powrócić do wsi dla pozbierania odpadków. Czy rzeczywiście było w tym trzewiku małe, ślepe szczenię?«

»Teraz już jest *tu*,« odparł Adjutant, patrząc z ponad dzióba na swój pełny worek. »Małe stworzenie, ale nie do pogardzenia w tych ciężkich czasach, w których miłosierdzia żadnego niema na świecie.«

»Ahai! Świat teraz nieczuły jak żelazo,« biadał Szakal. Wtem, rzuciwszy okiem na rzekę, ujrzał niedostrzegalne prawie zbróżdżenia na powierzchni wód i począł mówić dalej z niezwykłym pośpiechem. »Życie dało się dziś wszystkim we znaki, przeto nie wątpię, że i nasz wzniosły mistrz, Duma Grobli i Sława Rzeki — —«

»Pochlebca, łgarz i Szakal wylęgli się z jednego jaja,« rzekł Adjutant, nie zwracając się wprost do nikogo, gdyż on sam był z pewnością najwytrawniejszym z łgarzy, jeśli przyszło do czego.

»Tak, nawet Sława Rzeki,« powtórzył Szakal donośnym głosem. »Nawet on, jak sądzę, jest tego zdania, że od czasu zbudowania tego oto mostu trudno o dobre pożywienie. Z drugiej jednak strony — a nie ośmieliłbym się tego powiedzieć w jego dostojnej obecności — jest on taki mądry, taki cnotliwy — jakim ja niestety! nie jestem — —«

»Jeśli Szakal mówi, że jest szarym, jakżeż czarnym Szakal być musi,« zamruczał Adjutant. Nie mógł bowiem jeszcze wiedzieć, co się święci.

»To też *jemu* nie braknie nigdy pożywienia i dlatego — —«

Rozległ się trzask, jak gdyby łódź osiadła wśród pędu na mieliźnie. Szakal obrócił się czem prędzej i spojrzał w oczy (najlepiej to zawsze patrzyć wszystkim w oczy) istocie, która wypowiedziała te słowa. Był to krokodyl na cztery stopy długi, zamknięty w pancernej skorupie, podobnej do trzykrotnie znitowanych ścian żelaznego

kotła, poszczerbionej, zakończonej ostrym grzebieniem; ostrza jego pożółkłych od starości zębów zwieszały się komicznie nad dolną obwisłą szczęką. Był to płaskonosy Mugger z Mugger-Ghaut, starszy od kogokolwiek we wsi, który nadał imię wiosce; demon brodu, nim most kolejowy zbudowano — morderca, pożeracz ludzi i fetysz miejscowy w jednej osobie. Ułożył się na brzegu, zanurzywszy brodę w szumiącą mieliznę i utrzymywał się w równowadze prawie niedostrzegalnym ruchem potężnego ogona, a Szakal dobrze o tem wiedział, że jedno silne uderzenie tego ogona we wodę może wyrzucić Mugger'a na brzeg z chyżością maszyny parowej.

»Co za rozkoszne spotkanie, Ucieczko Biednych!« zaszczekał, cofając się roztropnie przy każdem słowie. »Ledwieśmy usłyszeli twój głos pełen słodyczy, a już pośpieszyliśmy wszyscy, ciesząc się na rozmowę z tobą! Moja bezgraniczna zarozumiałość pozwoliła sobie nawet rozmawiać o tobie, gdyśmy tu czekali. Spodziewam się, żeś niczego nie usłyszał.«

Szakal mówił oczywiście w tym celu, aby go słyszano, gdyż wiedział dobrze, że pochlebstwo jest najlepszą drogą do otrzymania kilku mizernych ochłapów, Mugger zaś był przekonany, że Szakal ma to na myśli, a Szakal był przekonany, że Mugger o tem wiedział, a Mugger wiedział, że Szakal był przekonany, że Mugger wiedział; i tak byli wszyscy ze siebie zadowoleni.

Stary potwór z jękiem, sapaniem i wzdychaniem gramolił się na brzeg, i mruczał: »Uszanujcie sędziwość i niedołężność starca!« a przy tych słowach płonęły jego oczy jak węgle z pod ociężałych rogowych powiek na szczycie trójkańciastej głowy, a jego cielsko toczyło się wciąż naprzód na krótkich krzywych nogach. Potem ułożył się cicho w mule rzecznym, Szakal zaś, chociaż oddawna obeznany z jego zwyczajami, ujrzał już może po raz setny z wielkiem

przerażeniem w duszy, jak łudząco zdołał Mugger przybrać na się postać belki, którą fala od głębi ku brzegom ponosi. Mugger starał się nawet utrzymać pod tym kątem na wodzie, jaki zwykle płynąca belka w czasie przypływu przybiera. Wszystkie te jednak manewry były tylko skutkiem przyzwyczajenia, gdyż stary Mugger wylądował jedynie w tym celu, aby użyć miłego wczasu: ale krokodyl nigdy nie jest właściwie dość sytym, i gdyby się był nasz Szakal dał zwieść tem łudzącem podobieństwem, zabrakłoby mu niechybnie czasu, aby mógł na ten temat filozofować.

»Nic nie słyszałem, moje dziecię,« odpowiedział Mugger, przymykając jedno oko. »Woda szumiała mi w uszach, a głód mnie ubezwładniał. Trzeba przyznać, że odkąd most stoi, lud mój nie kocha mnie, jak niegdyś; i to właśnie bolem napawa moje serce.«

»Okropność!« zajęczał Szakal, »i to jeszcze takie wzniosłe, takie szlachetne serce. Ludzie warci są jedni drugich — tak mi się zdaje.«

»O nie, są między nimi różnice, sądząc sprawiedliwie,« odrzekł Mugger łagodnie; »niektórzy z nich są chudzi, jak deski, niektórzy tłuści, jak szak . . . pieski. Nigdy nie powiem o ludziach nic złego. Jest wiele gatunków ludzi, a moje długowieczne doświadczenie nauczyło mnie, że wszyscy, jeden w drugiego, są bardzo dobrzy. Mężczyźni, kobiety, dzieci — nic im nie mogę zarzucić. A i to zapamiętaj sobie, moje dziecię, że kto się ze światem zgadza, z tym i świat się godzi.«

»Pochlebstwo jest gorsze od próżnej puszki w żołądku. Ale to, cośmy tu usłyszeli, tchnie prawdziwą mądrością,« zauważył Adjutant, stawiając jedną nogę na ziemię.

»Ależ ta ich czarna niewdzięczność względem Najszlachetniejszego,« przedkładał Szakal skromnie.

»Nie, nie, żadna niewdzięczność!« przerwał Mugger. »Nie myślą o innych — i tyle. Jednak zauważyłem, leżąc na swoim posterunku przy brodzie, że na schody nowego mostu straszliwie trudno wchodzić — tak sędziwym ludziom, jak i małym dziatkom. Starszych bierze się oczywiście mniej w rachubę, ale niepohamowanie gniewam się, tak, gniewam się, oburzam ze względu na te małe, pulchniutkie dziateczki. Mniemam jednak, że wkrótce, gdy most trochę spowszednieje, znowu brodzić będą po mieliźnie dzielne opalone nogi mego ludu. A wtedy i stary Mugger nabierze poważania.«

»Zdaje mi się, żem widział kwietne wianki, pływające na skraju grobli dziś w południe,« rzekł Adjutant. »Wianki są przecież w całych Indjach oznaką hołdu.«

»Złudzenie — złudzenie! Była to żona cukiernika, która z roku na rok coraz bardziej ślepnie i nie może już odróżnić mnie — Mugger'a z brodu — od zwykłej, pływającej wodą belki. Dostrzegłem jej błąd, gdy rzuciła wianek do wody, bom leżał tuż u stóp grobli i gdyby była jeszcze choćby najmniejszym krokiem w dół postąpiła, byłbym jej jasno wytłumaczył tę małą różnicę. Ale — ona miała dobre chęci, a dobre chęci, moje dziecię, starczą czasem za dobry czyn.«

»Co tam po wiankach i kwiatach, gdy się musi szukać żywności na śmieciach?« rzekł Szakal i począł się zapamiętale iskać, bacząc równocześnie z pod oka na ruchy »Ucieczki biednych«.

»Pewnie, ale śmieciska, na którem *ja* będę leżał, nie usypano dotychczas. Pięć razy widziałem już w mojem życiu, jak rzeka cofała od wioski fale i odsłaniała świeże lądy u stóp ulicy. Pięć razy widziałem, jak świeże na jej brzegach budowano chaty i jeszcze pięć razy to obaczę. Nie jestem niewiernym, zjadającym ryby Gawialem, nie ja to ‚dziś w Kasi, jutro w Prayag'u', jak mówi przysłowie — nie! alem wiernym i stałym stróżem rzeki. Nie jest to bez powodu,

moje dziecię, że wioska przybrała me miano, a przysłowie mówi, że ‚kto statecznie czeka, tego nagroda nie minie'.«

»Ja czekałem tak długo, tak długo, prawie odkąd żyję, a doczekałem się tylko ran na skórze, uderzeń i pokąsań.«

»Ho! ho! ho!« wrzasnął Adjutant.

— W sierpniu nasz Szakal rodzi się;
We wrześniu spadły deszcze!
»Takiej powodzi jak w te dnie«
— Rzekł — »nie pamiętam jeszcze!«

Adjutant podlega niekiedy dość niemiłym przypadłościom. Od czasu do czasu cierpi on na nerwowe skurcze w nogach, i chociaż wygląda bez porównania czcigodniej niż inne żórawie, które są zresztą wszystkie bardzo czcigodne, mimo to wszystko rozpoczyna toczyć szaleńczy obłąkany tan na powyginanych wiecznie nogach, przyczem rozwiera skrzydła do połowy i podrzuca łysą głową na dół i w górę; równocześnie zaś wśród skoków i podskoków wybucha najzłośliwszemi docinkami i obrzucaniami wszystkich. Po chwili uspokaja się, staje znowu w sztywnej nieruchomej postawie i wygląda dziesięć razy bardziej po adjutancku, niż przedtem.

Szakal cofnął się czem prędzej, chociaż liczył już trzy pory deszczowe; ale nie należy się gniewać o obrazę na tego, który ma długi, metrowy dziób i umie nim razy zadawać, jak włócznią. Adjutant był wprawdzie znanym szeroko tchórzem, ale Szakal był nim jeszcze więcej.

»Długo trzeba żyć, zanim nauk się nabędzie,« zauważył Mugger, »a i to zważ, moje dziecię: małe Szakale są bardzo pospolite, ale taki Mugger jak ja, pospolitym nie jest. Ja jednak dumnym nie jestem, bo duma jest zgubą; jest gdzieś jakiś Los, a przeciw temu Losowi

niech nikt nie szemrze, nikt, czy chodzi, czy biega, czy pływa. Ja jestem z Losu zadowolony. Mając odrobinę szczęścia, trochę w oku bystrości i ten chwalebny zwyczaj, aby zbadać przed wejściem do brodu lub zatoki, żali na drugiej stronie jest wyjście, czy nie — można wiele, wiele uczynić.«

»Słyszałem, że nawet samemu Dobroczyńcy biednych raz błąd się przygodził,« odezwał się Szakal złośliwie.

»Prawda; ale tu mi pomógł mój Los. Stało się to jeszcze, zanim dojrzałem zupełnie — przed ostatnim z trzech wielkich głodów (po prawej i po lewej stronie Gungi! o jak pełne były strumienie w tym czasie!). Tak, tak, byłem ci ja młody i lekkomyślny, a gdy nastały przypływy, kto był szczęśliwszy, kto był weselszy niż ja? Drobnostka sprawić mi mogła radość. Wieś tonęła w wezbranej fali, a jam popłynął ponad groblę w głąb lądu, ku polom ryżu, które żyźniący namuł okrywał. Przypominam sobie parę naramiennic (były ze szkła i strapiły mnie niemało), które znalazłem tego wieczora. Tak, szklanne naramiennice, tak, tak, tak; i, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, trzewik. Powinienem był wzgardzić trzewikami, ale mi głód dokuczał. Później byłem mądrzejszy. O, tak. I tak najadłem się i zostałem na brzegu. Lecz kiedym potem chciał zejść do rzeki, woda opadła, a ja musiałem brnąć mułem aż do wioski. Tak, brnąłem przez muł rzeczny aż na ulicę wioski! I wtedy wystąpił mój lud, wystąpili kapłani, niewiasty, dzieci, a ja spoglądałem na nich łaskawie. Kałuże nie są dobrem miejscem do walki. Jeden z żeglarzy zawołał: ‚Chwyćcie siekiery i zabijcie go, bo to Mugger z nad Grobli!' ‚Nie, nie,' przerwał mu Brahmin. ‚Widzicie? on pędzi falę przed sobą! On bóstwem opiekuńczem wioski.' Tedy zasypali mnie kwiatami, a jeden z nich — szczęśliwym trafem — wygnał kozę na ulicę.«

»Och! jak smaczną, jak bardzo smaczną jest koza!« zawołał z zachwytem Szakal.

»Ej, włochata — zanadto włochata, a gdy ją znajdziesz w strumieniu, to ma zwykle we wnętrzu zakrzywiony hak. Ale ta koza, którą przyjąłem łaskawie w ofierze od mego ludu, przynosiła naprawdę zaszczyt grobli. Potem nastręczył mi Los żeglarza, który chciał mi ogon odrąbać siekierą. Łódź jego wylądowała na tej starej piaszczystej ławicy, której zapewne sobie nie przypominacie.«

»Nie wszyscyśmy tu szakalami,« rzekł Adjutant. »Czy to nie ta ławica, która powstała w tem miejscu, gdzie łodzie z budulcem się potopiły, w roku wielkiej suszy — długa ława piaszczysta, która przetrwała trzy powodzie?«

»Były tam dwie ławice,« odpowiedział Mugger; »wyższa i niższa ławica...«

»Ach, jakżem niedomyślny. Tak, pamiętam — rów z wodą przedzielał je, ale potem wysechł zupełnie,« rzekł Adjutant, pyszniąc się trwałą pamięcią.

»Na niższej ławicy, moje dzieci, wylądowała łódź żeglarza, który mi tyle dobrego życzył; spał on dotychczas na przedzie łodzi i w półśnie chylił się aż do kolan — co mówię, tylko do pasa, aby odepchnąć statek od brzegu. I łódź jego odpłynęła — ale pusta i uderzyła znowu o brzeg trochę niżej, a jam popłynął w jej trop, bom wiedział dobrze, że przyjdą ludzie, by ją na brzeg wyciągnąć.«

»A przyszli?« spytał prędko Szakal głosem, w którym drgał zachwyt i groza, gdyż takie polowanie robi nań silne wrażenie.

»Ot, zjawiło się kilku tam i trochę niżej, na brzegu; ale ja nie posunąłem się naprzód. I ta przezorność oddała mi w paszczę trzech — tak, trzech jednego dnia — samych dobrze wypasionych *manjis* (żeglarzy), a żaden z nich, z wyjątkiem trzeciego (przy którym trochę

nie uważałem) nie miał czasu nawet okrzyku wydać, by przestrzec ludzi na brzegach.«

»Ach, co za szlachetny sport! Lecz ileż tu potrzeba zręczności, jakąż bystrość w oku mieć trzeba!«

»Nie trzeba zręczności, moje dziecię, ale namysłu. Trochę namysłu potrzeba do życia, jak trochę soli do ryżu, mówi przysłowie, a ja się zawsze namyślałem głęboko. Gawial, mój kuzyn, który się żywi rybami, opowiadał mi nieraz, ile trudu mu sprawia schwytanie jednej ryby, jak one się różnią między sobą i jak on je musi dobrze znać, jedną i drugą i trzecią. A to — powiadam — jest mądrość; zważyć jednak należy, że mój kuzyn Gawial żyje wśród swego ludu. *Mój* lud nie pływa po wodzie w gromadach, nie wystawia ust nad wodę, jak to czyni Rewa; nie wypływa ustawicznie na powierzchnię, nie kręci się po niej jak Mochoo i mała Chopta; nie tłoczy się, nie ciśnie w zatoce po przypływie, jak Betchua i Chilwa.«

»Wszystko to bardzo smaczne ryby,« zauważył Adjutant, kłapiąc dziobem.

»Kuzyn mój mówi to samo i czyni z każdego swego polowania sprawę ogromnej wagi, ale ryby nie uciekają na brzegi przed jego spiczastym nosem. *Mój* lud ma inne zwyczaje. Żyje sobie wygodnie na lądzie, we własnych chatach, wśród własnego bydła. Muszę przeto wiedzieć dokładnie, co czyni, co czynić będzie i tak dopiero łącząc trąbę z ogonem — jak mówi przysłowie — buduję całego słonia. Pojawi się nad drzwiami której chaty żelazny pierścień lub zielona gałązka — stary Mugger już wie, że w chacie narodził się chłopiec, który pewnego dnia zejdzie się bawić nad groblę. Mają kiedy wydać za mąż dziewczynę — stary Mugger już wie o tem, bo widzi, jak znoszą nowożeńcom podarunki; a dziewczyna zejdzie przed ślubem do brodu, aby się umyć, a on — już czeka. Zmieniła kiedy rzeka

koryto i zalała okolicę, którą przedtem żółty zasypywał piasek? Mugger wie o tem.«



»I na co się zdała ta wiedza?« spytał Szakal. »Wszakże już od czasu mego niedługiego żywota rzeka zmieniała koryto.«

Indyjskie rzeki zmieniają prawie zawsze łożyska, a podczas pór deszczowych rozszerzają je na dwie lub trzy mile angielskie, zalewają pola po jednej stronie, zostawiając za sobą na drugiej żyzny czarnoziem.

»Żadna wiedza nie jest pożyteczniejszą,« odparł Mugger, »bo nowy ląd wróży o nowej walce. Mugger wie o tem. Oho! Mugger wie o tem doskonale! A skoro tylko woda odpłynie, pełznie on do małych zatok, gdzie wedle mniemania ludzi ledwie pies pomieścić się zdoła i — czeka. Potem nadchodzi wieśniak i zastanawia się, gdzie zasadzi ogórki, gdzie melony na tej ziemi, którą go obdarzyła rzeka; i tak ważąc mądre plany w duszy, bada żyzność gruntu palcami bosej nogi. Wkrótce nadbiega inny i woła: ‚Tu zasadzę cebulę, tu rzepę, tam zorzę trzcinę cukrową!' I tak biegając spotykają się wreszcie ze sobą, jak się spotykają dwie łodzie na wodach rzecznych i jeden łyska zawzięcie oczyma ku drugiemu z pod grubego niebieskiego turbanu. Stary Mugger patrzy i słucha. Jeden drugiego nazywa: ‚bracie' i odchodzą w zgodzie, razem, aby rozdzielić granicą nowe posiadłości. A stary Mugger śpieszy za nimi — krok za krokiem, cichuteńko i brnie

bez najmniejszego szmeru przez mielizny. Nagle zdzierają sobie turbany z głowy! Nagle podnoszą swoje *lathis* (kije), godząc na siebie; wreszcie jeden z nich upada w tył na mieliznę — drugi ucieka, ile mu tchu starczy. A kiedy wróci — waśń już ukończona, jak zresztą o tem świadczy leżący na ziemi luźnie kij pokonanego, kij mocny, żelazem okuty. Ale mimo tego nie są ludzie Muggerowi wdzięczni za jego dobrodziejstwa. Nie! wołają nań ‚zbójco!' a rody zwaśnionych staczają ze sobą walkę na kije, po dwudziestu ich po każdej stronie. Bitne to plemię, ten mój lud — Malwaje z Bet — Dżatowie z gór! Biją się — i to nie na żarty, a gdy walka się skończy, Mugger już czeka w mieliznach gęstego brodu — tak daleko, że go nikt ze wsi dojrzeć nie zdoła — hen, po za temi gąszczami gęstych *kikarów*. A potem wracają wszyscy — w świetle księżycowem — moi dzielni barczyści Dżatowie, szeregami — po ośmiu lub dziewięciu — i niosą trupa na marach. Są to mężowie o długich białych brodach, a mają głosy tak głębokie, jak głębokim jest mój głos. I zapalają ognisko — och, jak dobrze mi znane ognisko! — palą fajki i usiadłszy dostojnem kołem na ziemi, kiwają frasobliwie głowami i patrzą bokiem na zmarłego, który leży opodal rozciągnięty. I mówią, że prawo angielskie zawiesza stryczek na szyi za podobne sprawki, że rodzina zabójcy będzie pohańbiona, że złoczyńcę powieszą na podwórzu więzienia. A przyjaciele zmarłego dodają: ‚Niech go więc powieszą!' i rozmowa taka zaczyna się znowu od początku — raz, dwa razy, dwadzieścia razy wśród długiej, wśród gwiaździstej nocy. Nagle ozwie się jeden z nich: ‚Walka ich była uczciwą walką! Weźmy okup — trochę większy, niż go daje zabójca, i nie mówmy o całej sprawie.' I poczyna się kłótnia o okup, bo zmarły był mężem w kwiecie wieku i pozostawił liczne potomstwo. Wreszcie przed *amratvela* (wschodem słońca) przysuwają ciało zmarłego do ognia — taki to już ich zwyczaj

— i odtąd zmarły należy do mnie, a ja jestem pewny, że z niczego się nie wygada. Oho! moje dzieci — Mugger wie, Mugger dużo wie — a moi Dżatowie są dzielnym ludem!«

»Zbyt nieugięci, zbyt skąpi dla mego podgardla,« zakrakał Adjutant. »Nie warci glazury na krowim rogu, jak mówi przysłowie; ale, pominąwszy to, któżby się łakomił na Malwajczyków?«

»Ach — ja — ja się na nich łakomię,« odpowiedział Mugger.

»W Kalkucie na południu, dawnemi czasy,« zauważył Adjutant, »rzucano wszystko na ulicę, mogliśmy więc dzióbać i jeszcze wybierać, tyle tam tego było. Och, błogie to były dnie, rozkoszne to były chwile! Teraz tam ulice czyste jak skorupki z jaj, więc ludowi memu brak pożywienia. Piękna i chwalebna to rzecz — czystość, ale jednego dnia sto razy ulice skrapiać, okurzać, zamiatać — to już za wiele! To i samych bogów może rozgniewać!«

»Jeden szakal z niziny, któremu tę wieść przyniósł brat, opowiadał mi, że na południu w Kalkucie wszystkie szakale nabrały takiej tuszy, jak wydry w porze deszczowej,« rzekł Szakal, czując na myśl o tem mocną w ustach oskomę.

»Ach, ale tam są białe twarze — Anglicy — a przywożą ze sobą na statkach gdzieś z dołu rzeki — duże, tęgie psy — które starają się o to, aby szakale w okolicy pochudły,« rzekł Adjutant.

»Więc one mają tak twarde serca jak i ludzie? Ach, mogłem się był o tem dotychczas przekonać. Ani ziemia, ani niebo, ani woda nie mają litości nad szakalem! Po ostatnich deszczach wkradłem się do namiotu jednego z białych ludzi i chwyciłem żółtą uździenicę, aby ją zjeść. Ale biali ludzie nie garbują należycie skóry. Rozchorowałem się tedy śmiertelnie.«

»Mnie się jeszcze gorzej raz przygodziło,« rzekł Adjutant. »Kiedym liczył trzy pory deszczowe i byłem jeszcze ptakiem młodym i, co się

zowie, zuchwałym, przyleciałem na dolne brzegi strumienia, tam właśnie, gdzie stają owe wielkie statki Anglików. A statki Anglików są trzy razy tak wielkie, jak ta wieś . . .«

»Nie przekroczył nigdy Delhi, a powiada, że tam ludzie na głowach chodzą,« zamruczał Szakal.

Mugger otworzył zwolna lewe oko i spojrzał na Adjutanta przenikliwie.

»Mówię szczerą prawdę!« powtórzył wielki ptak z przyciskiem. »Kłamca tylko wtedy łże, gdy myśli, że mu uwierzą. Ale kto tych statków nigdy nie widział, nie uwierzy w prawdę słów moich.«

»Te trochę rozsądniejsze,« odezwał się Mugger. »I cóż dalej?«

»Z głębi statku wynosili żeglarze kawały jakiegoś białego materjału, który po chwili rozpływał się we wodę. Wiele tego rozpryskiwało się i padało na brzegi, resztę zaś zanosili czem prędzej do domu o grubych murach. Jeden z nich rzucił kawałek nie większy od małego psa w moją stronę i śmiał się przytem głośno. Ja — mój cały lud — połykamy wszystko bez namysłu; tak też i teraz połknąłem ten kawałek wedle naszego zwyczaju. Nagle opanowało mnie straszliwe zimno, które wybiegając od podgardla rozeszło się po całem ciele i wcisnęło się aż do najdalszych jego kończyn tak, że straciłem mowę. Nigdy jeszcze nie czułem takiego zimna. Tedy rozpocząłem tańczyć w tym moim bolu i tej mojej trwodze, aż oddech zamarł mi w piersiach. A gdym wreszcie zaczął oddychać, tom tańczył od nowa i klął i przeklinał obłudę tego świata — a wśród tego żeglarze zataczali się od śmiechu. Największym jednak cudem wśród tego wszystkiego, pominąwszy już owo niezwykłe oziębienie wnętrza, było to, że, gdym skończył swoje biadania, żołądek był zupełnie pusty!«

Adjutant robił, co mógł, aby opisać wrażenie, jakie odniósł po połknięciu siedmiofuntowej bryły lodu, wyrzuconej z okrętu, który

z Wenham dowoził lód do Kalkuty w tych czasach, gdy miasto to nie fabrykowało jeszcze sztucznego lodu; ponieważ jednak Adjutant nie wiedział, co to jest lód, a Mugger i Szakal nie wiedzieli tego tem bardziej, przeto brakło tej opowieści należytego zainteresowania się ze strony słuchaczów.

»Wszystko,« rzekł Mugger, zamykając ponownie lewe oko, »*wszystko* jest możliwem na statku, trzy razy tak wielkim, jak Mugger-Ghaut. A Mugger-Ghaut nie jest małą wioską!«

Od strony mostu rozległ się donośny świst; to pociąg pędzący ku Delhom zadudnił na szynach, wozy zamigotały światłami, a cienie ich odbiły się na powierzchni rzeki. Tak biegnąc, sapiąc, turkocąc przepadł pociąg w ciemnościach; ale Mugger i Szakal nie odwrócili nawet głowy, gdyż byli przyzwyczajeni już do tego widoku.

»Czy to nie dziwniejsze, niż łódź, choćby trzy razy tak duża jak Mugger-Ghaut?« spytał Adjutant, zwracając oczy ku górze.

»Widziałem, jak to budowano, dziecię. Widziałem, jak słupy mostu rosły do góry — kamień za kamieniem, a gdy ludzie spadali (zwyczajnie z zadziwiającą zręcznością utrzymywali się na nogach), gdy spadali — powtarzam — stary Mugger był zawsze gotów. Po zbudowaniu pierwszego filaru nie szukano już trupów w topieli, aby je palić. Tak, zaoszczędzałem ja im wiele trudów. Nic niema niezwykłego w budowaniu mostów,« rzekł Mugger.

»Ale to, co przez most pędzi i ciągnie za sobą żelazem okute wozy, *to* jest coś niezwykłego,« powtórzył Adjutant.

»Jest to bez wątpienia nowy gatunek wołu. Ale przyjdzie czas, że to, co tam w górze pędzi, nie zdoła utrzymać rownowagi i spadnie tak, jak spadali ludzie. Stary Mugger będzie wtedy w pogotowiu.«

Szakal spojrzał na Adjutanta, a Adjutant spojrzał na Szakala. Godzili się bowiem obaj na to, że lokomotywa jest raczej wszystkiem

innem, tylko nie wołem. Szakal przyglądał się nieraz pociągowi, przykucnąwszy za żywopłotem aloesów, a Adjutant znał go jeszcze z tych czasów, kiedy to pierwsza lokomotywa przebiegła przez Indje. Ale Mugger patrzył nań z dołu, nie dziw więc, że duży kocioł parowy uważał za garb byka.

»Taaak, nowy gatunek wołu,« powtórzył Mugger z naciskiem, ażeby się utwierdzić w mniemaniu. »Tak, nie ulega wątpliwości, że to wół,« rzekł Szakal.

»Albo może to także być — —,« ciągnął Mugger dalej z wielką powagą, lecz razem i niecierpliwością w głosie.

»Niewątpliwie, niewątpliwie,« rzekł prędko Szakal, nie czekając, aż Mugger swą myśl wypowie.

»Co?« zamruczał Mugger pełen gniewu, gdyż dorozumiewał się, że inni więcej wiedzą niż on. »Co to może być? Nie wypowiedziałem mojej myśli. Powiedziałeś, że to mógłby być wół.«

»To musi być tem, za co je Ucieczka biednych uważać raczy. Jestem *jego* sługą, a nie sługą tej rzeczy, co się tam tłucze po moście.«

»Czemkolwiek to jest, jest to niewątpliwie dziełem białych ludzi,« rzekł Adjutant, »a co do mnie, nie usadowiłbym się nigdy na miejscu tak bliskiem tej rzeczy, jak ta piaszczysta ławica.«

»Nie znasz tak dobrze Anglików, jak ja ich znam,« odparł Mugger. »Skoro most wybudowano, zjawił się tu jeden biały człowiek, brał co wieczora łódkę, wypływał nią na rzekę i, bijąc niecierpliwie nogami o dno, szeptał: ‚Może on tu? A może tu? Podaj mi flintę.‘ Słyszałem głos jego, nim go zobaczyłem — słyszałem każdy szelest, jaki uczynił — każdy szmer, każdy brzęk jego strzelby — czy na górnym, czy na dolnym brzegu rzeki. A jeślim kiedy porwał którego z jego robotników i oszczędził mu tym sposobem kosztów palenia i pogrzebu, jawił się wnet tegoż wieczora nad brodem

i krzyczał donośnym głosem, że uwolni odemnie rzekę, że mnie zabije — mnie, Muggera z Mugger-Ghaut! Mnie, słyszycież dzieci? A ja tymczasem płynąłem godzinami pod dnem jego łodzi, słyszałem, jak grzmiał ze strzelby do pływających pni na wodzie; a gdym zmiarkował, że się już musiał znużyć, wynurzałem się nagle z boku i dzwoniłem szczękami tuż obok jego twarzy. Skoro most zbudowano, poszedł gdzieś sobie ten cudzoziemiec. Wszyscy Anglicy polują w ten sposób; wyjąwszy, gdy się na nich poluje.«

»A kto poluje na białych ludzi?« zaszczekał Szakal, mocno podrażniony tą opowieścią.

»Teraz nikt, ale niegdyś ja na nich polowałem w swoim czasie.«

»Przypominam sobie niektóre szczegóły z tego polowania. Byłem wtedy jeszcze bardzo młodym,« rzekł Adjutant i kłapnął dziobem znacząco.

»Osadowiłem się był tutaj, na dobre. I właśnie mieli wieśniacy już po raz trzeci przebudować wioskę, gdy kuzyn mój Gawial przyniósł mi wiadomość o obfitych połowach na rzece, powyżej Benares. Z początku nie zamyślałem tam się udawać, gdyż kuzyn mój, jedzący ryby, Gawial, nie umie odróżnić, co dobre, a co złe; ale kiedym to samo usłyszał wieczorem z ust mego ludu, postanowiłem bezzwłocznie wybrać się w drogę.«

»Jakież to były wieści?« zapytał Szakal.

»Wystarczające, abym ja, Mugger z Mugger-Ghaut, porzucił rzekę i wybrał się w podróż pieszo. Wyruszyłem w nocy, korzystając wśród drogi z najmniejszych strug i strumyków, bo mi były wygodne; ale było to w czasie skwarów letnich i woda stała nisko w korycie. Posuwałem się wzdłuż oprószonych gościńców; brnąłem skróś wysokich traw; wstępowałem na wzgórza oblane światłem księżycowem. Nawet na skały się wdzierałem, dzieci — zastanówcie się nad tem.

Wzdłuż przeszedłem cały kraj Sirhindu, tę pustą, bezwodną wyżynę, zanim natrafiłem na szereg drobnych rzeczułek, toczących fale do Gangesu. I tak oddalony byłem o miesiąc drogi od mego ludu i znanych mi dobrze brodów. To przecież było cudowne!«

»A czem można było żywić się wśród drogi?« zapytał Szakal, który nosił całą duszę w swym małym żołądku i któremu ta podróż Muggera niemało imponowała.

»Na co się natrafiło — *kuzynie,*« wyrzekł Mugger powoli, cedząc zosobna każde słowo.

W Indjach nikt nikogo kuzynem nie nazywa, jeżeli nie może wykazać się mniejszem lub większem powinowactwem krwi; a ponieważ nie zdarzyło się jeszcze nigdy — chyba w bajce — by Mugger poślubił Szakala, przeto nasz Szakal odgadnąć zdołał bez trudu, dlaczego to tak nagle został zaszczycony godnością członka Muggerowej rodziny. Gdyby rozmowa była się toczyła w cztery oczy, byłby sobie z tego zupełnie nic nie robił, ale Adjutant, który usłyszał ten wstrętny koncept Muggera, zaczął raz po raz mrugać oczami z nietajoną, złośliwą wesołością.

»Zaiste, *ojcze,* powinienem był o tem wiedzieć,« odpowiedział Szakal. Mugger nie ubiega się nigdy o ten zaszczyt, by go Szakal tytułował »ojcem,« a Mugger z Mugger-Ghaut wyrzekł coś — i jeszcze wiele więcej, niżby się tutaj powtórzyć godziło.

»Opiekun ubogich sam przyznał się do pokrewieństwa ze mną. Skądżebym ja miał pamiętać o dokładnym jego stopniu. Zresztą, wszakże żywimy się jedną strawą. Sam on to przyznał,« odparł Szakal.

To sprawę pogorszyło, gdyż słowa Szakala wskazywały na to, że Mugger spożywał podczas swej podróży świeżą strawę, i to codziennie świeżą, zamiast ją przy sobie zachować, aż stanie się odpowiednio miękką i kruchą, jak to czyni każdy szanujący się Mugger i większa

część dzikich zwierząt, jeżeli tylko mogą. I w istocie, »zjadacz świeżego mięsa« jest najpogardliwszem przezwiskiem na wszystkich brzegach. Jest ono podobnie hańbiącem, jak u ludzi przezwisko »ludożercy«.

»Od chwili zjedzenia tej strawy minęło trzydzieści pór deszczowych,« rzekł ze spokojem Adjutant. »I choćby nam jeszcze trzydzieści pór deszczowych na tej rozmowie zeszło, nie będziemy jej już widzieli. A teraz opowiedz nam, co się stało, gdyś doszedł do owych wód błogosławionych po ukończeniu swojej przedziwnej podróży wśród lądu. Gdybyśmy chcieli zważać na wycie każdego szakala, to sprawy państwa popadłyby w stagnację, jak mówi przysłowie.«

Mugger zdawał się być wdzięcznym za przerwę, gdyż począł znowu mówić z wielkim pośpiechem:

»Na prawe i lewe ramię Gangesu! Takich wód nigdy przedtem nie widziałem!«

»Więc były lepsze, niż ta wielka powódź w ostatnim sezonie deszczowym?«

»Lepsze?! Wody wyrzuciły nie więcej, jak — co się zresztą zawsze raz na pięć lat wydarza — drobną garstkę utopionych cudzoziemców, parę kur i utopionego w szlamistej bajurze wołu. Ale w tym sezonie, o którym mówię, rzeka była płytka, gładka i wyrównana, a w dolne jej brody spłynęło tylu martwych Anglików (o czem mnie już przedtem Gawial zgodnie z prawdą powiadomił), że płynąc zawadzali o siebie. W tym to sezonie doszedłem do mojej tuszy — do mojej tuszy i mego wyglądu. Pod Agrą, w Etawah i na szerokich wodach pod Allahabad — —«

»Och, ten wir wodny, który sięgał aż pod same mury twierdzy Allahabad!« zawołał Adjutant. »Biegli tam oni, jak dzikie kaczki do trzcin i szuwarów — a kręcili się w kółko, w kółko, ot tak!«

I rozpoczął znowu swój obmierzły taniec, a Szakal spoglądał nań pełen zazdrości. Nie przypominał on sobie naturalnie owego fatalnego roku Buntu, o którym właśnie toczyła się rozmowa. Mugger zaś ciągnął dalej:

»Tak, pod Allahabad, mogłem sobie spokojnie leżeć w leniwo płynącej wodzie i pozwolić, by dwudziestu przepłynęło, zanim się w końcu zdecydowałem, aby jednego przychwycić; a trzeba dodać, że Anglicy nie byli przeładowani ozdobami, nie przystrajali nosów w kolczyki, nie wkładali pierścieni na nogi, jak to dzisiaj czynić zwykły moje niewiasty. Kto się kocha w ozdobach, temu naszyjnik w stryczek się zamieni, powiada przysłowie. Wszystkie muggery na wszystkich rzekach i brzegach nabrały wonczas pokaźnej tuszy, ale los mój sprawił, żem się opasł i utył najbardziej. Niektórzy mówili, że Anglików zaganiano do rzeki i — na prawy i lewy brzeg Gangesu! — myśmy wierzyli, że to prawda. Im głębiej zapuszczałem się ku południowi, tem bardziej wierzyłem, że to prawda, a dotarłem przecież, idąc dołem rzeki za Monghyr, aż do samych mogił, które sterczą na drugim brzegu.«

»Znam to miejsce,« rzekł Adjutant. »Od tego czasu Monghyr stało się pustkowiem. Niewielu ludzi w niem mieszka.«

»Następnie zacząłem się posuwać wzdłuż łożyska pod górę, ale wygodnie i powoli, a niedaleko za miastem pojawiła się jakaś łódź, z prądem w dół rzeki płynąca i pełna białych twarzy — żywych! Były to, o ile pomnę, niewiasty, a leżały pod płachtą na drągach rozpiętą i narzekały głośno. W tych czasach nie wypalono ani z jednej strzelby do nas, stróżów brodu. Strzelby były zajęte gdzie indziej. Słyszeliśmy je tylko dniem i nocą w głębi lądu, to mniej, to więcej wyraźnie, stosownie do tego, jak wiatr zawiewał. Wynurzyłem się na powierzchnię tuż przed łodzią, albowiem nie widziałem

jeszcze nigdy żywych białych twarzy; w innym stanie znałem je dobrze. Nagie, białe niemowlę uklękło na boku łodzi, i pochyliwszy się nad wodą, zanurzyło w niej rączki. Co to za rozkosz patrzeć na dzieci bawiące się prądem wody! Spożyłem dnia tego poddostatkiem strawy, zawsze jednak było w moim żołądku małe, niezajęte miejsce. Ale — jeślim się rzucił na rączki dziecka — działo się to tylko dla rozrywki, nie dla głodu. One się tak jasno, tak biało odbijały od wody, żem je tak jakoś, prawie niespodzianie.... przychwycił; ach były to rączęta tak drobne, a chociażem szczęki mocno zwarł — a jestem najpewniejszy, żem je zwarł — to przecież dziecię wyciągnęło z mej paszczy rączki... zupełnie nieuszkodzone. Musiały się przemknąć lub prześliznąć między zębami — te małe, drobne rączęta. Powinienem był chwycić dziecię na ukos, za łokcie; ale powtarzam, działo się to tylko dla rozrywki, żem się wynurzył na powierzchnię, tylko dlatego, aby coś nowego zobaczyć. Niewiasty w łodzi zaczęły w głos krzyczeć, a ja wynurzyłem się znowu, aby na nie popatrzeć. Łódź była zbyt ciężka, przewrócić jej nie było można. Były w niej same niewiasty; ale kto wierzy niewieście, ten chce przejść bezpiecznie przez zarosłe bagnisko, jak mówi przysłowie; a na prawy i lewy brzeg Gangesu! to święta prawda.«

»Raz rzuciła mi pewna niewiasta kawałek zasuszonej rybiej skóry,« rzekł Szakal. »Miałem nadzieję dobrać się do jej szczenięcia, ale pasza końska lepsza, niż wierzgnięcie konia, jak mówi przysłowie. Cóż uczyniła twoja niewiasta?«

»Wypaliła do mnie z krótkiej flinty, jakiej nigdy przedtem nie widziałem. Pięć razy, raz po raz« (Mugger widział zapewne staromodny rewolwer), »a ja leżałem zapatrzony, z otwartą paszczą i dokoła mej głowy unosiły się kłęby dymu. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Pięć razy, tak szybko, jak poruszam ogonem — ot tak!«

Szakal, który stopniowo coraz bardziej poczynał interesować się opowieścią Muggera, miał ledwie czas odskoczyć, gdy tuż obok niego prześmignął straszliwy ogon i przerznął powietrze ze świstem kosy.

»Dopiero po piątym strzale,« rzekł Mugger, niby nie zważając na to, że chciał przed chwilą ubić jednego ze słuchaczy — »dopiero po piątym strzale zanurzyłem się do wody i wypłynąłem ponownie, aby usłyszeć, jak jeden z żeglarzy z całą stanowczością zapewniał niewiasty, że muszę być zabity. Jedna kula utkwiła mi w pancerzu na samym grzbiecie. Nie wiem, czy tam dotąd siedzi, ponieważ

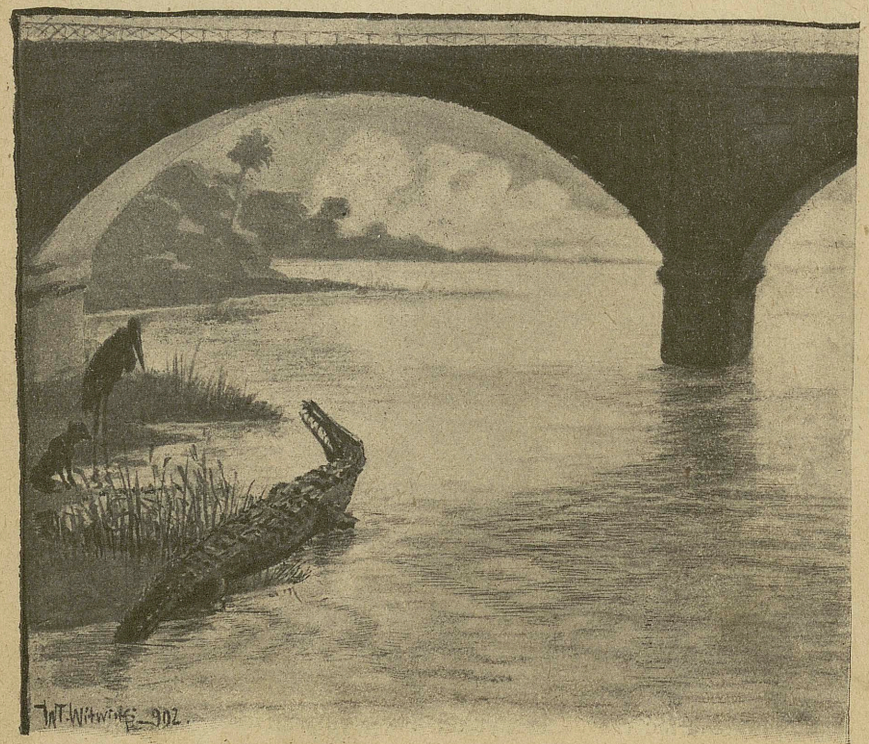

głowy nie mogę odwrócić. Zbliż się i zobacz, moje dziecię. Ona dowiedzie, że moja opowieść jest prawdziwą.«

»Ja?« zaszczekał Szakal. »Czyż odważyłby się, zjadacz starych butów i czyściciel śmietników, wątpić w słowa Najdostojniejszego i Najszlachetniejszego? Niechże mi ślepe szczenięta ogon odgryzą, jeśli choć cień podobnej myśli przeszedł przez moją nikczemną głowę. Obrońca biednych raczył mnie, swego niewolnika, najłaskawiej powiadomić, że raz w życiu został zraniony przez niewiastę. To mi wystarcza, i będę o tem opowiadał z chlubą moim dzieciom i wnukom, nie pytając o dowody.«

»Przesadna grzeczność nie jest czasem lepszą od przesadnej niegrzeczności, bo jak mówi przysłowie, nawet zsiadłem mlekiem można gościa zadławić. Ja *nie chcę*, aby którekolwiek z twoich dzieci wiedziało, że Mugger z Mugger-Ghaut odniósł pierwszą i ostatnią ranę z ręki niewieściej. Będzie też miał twój szczeniak i tak dość do roboty, jeśli szukać będzie pożywienia w tak nędzny i nikczemny sposób, jak jego ojciec.«

»Już zapomniałem o wszystkiem. Nic nie słyszałem. Nie było nigdy żadnej niewiasty. Nie było żadnej łodzi. Nic się nigdy nie wydarzyło.«

I Szakal poruszył znacząco ogonem i począł się otrząsać na znak, że wszystko wymiótł z pamięci, poczem usiadł z powagą na dawnem miejscu.

»W rzeczywistości jednak wydarzyło się wiele,« rzekł Mugger, któremu już po raz drugi nie udało się wywieść w pole przyjaciela. (Żaden z nich jednak nie gniewał się o to. Zjadać i być zjadanym — to prawo panujące wszechwładnie na wszystkich wybrzeżach, a i Szakalowi przypadał w udziale niejeden kąsek, gdy Mugger skończył wieczerzę.) »Porzuciłem łódź i udałem się w górę rzeki, a kiedy doszedłem do

Arrah i szerokich poza nim wód, nie spłynęło już więcej zabitych Anglików. Rzeka opustoszała na krótką chwilę. Niedługo pokazało się dwóch czy trzech zabitych, w czerwonych kabatach, ale nie Anglików — należeli do rasy Hindusów i Purbeeahsów — następnie pięciu lub sześciu obok siebie, wkońcu na północ od Arrah, poza Agrą, nadpłynęła ich taka mnogość, jakby kto całe wsie do wody powpędzał. Wynurzali się oni z małych bocznych zatok i spływali ku dołowi, jako pnie drzewne w czasie wielkich deszczów. Gdy się rzeka podnosiła, podnosili się i oni całemi gromadami z ławic piaszczystych, na których ciała ich spoczywały; a gdy woda opadła, chwytały ich fale za długie włosy i wlokły za sobą przez pola i Dżungle. Przez całą noc, idąc ku północy, słyszałem odgłosy strzelb, we dnie zaś brodziły przez rzekę obute w trzewiki nogi i koła wozów toczyły się z trzaskiem po żwirze, na płytkiem dnie strumienia. Aż wkońcu wyrzekłem do przejętego zgrozą serca: ‚Jeżeli taka dola dotknęła ludzi, jakżeż się jej wymknąć zdoła Mugger z Mugger-Ghaut?‘ A pojawiły się tam i łodzie mknące ku dolnym brodom i płonęły jasnym pożarem, jak czasem płoną tratwy naładowane bawełną, ale nie tonęły.

»Ach!« zawołał Adjutant. »Podobne łodzie odpływają z Kalkuty na południe. Są wysokie i czarne i sieką za sobą ogonem wodę, prócz tego — —«

»Są trzy razy tak duże, jak moja wieś. *Moje* łodzie były niskie i białe, siekły wodę po obu stronach i nie były większe, niż powinny być u tego, który mówi prawdę. Łodzie napędziły mi dość strachu, więc opuściłem te wody i podążyłem napowrót do swojej rzeki, idąc we dnie, kryjąc się w nocy, jeśli nie mogłem znaleźć drobnych potoków, aby sobie poradzić. I powróciłem do wioski, nie spodziewając się już ujrzeć nikogo z jej mieszkańców. Tymczasem oni orali, siali, zbierali i chodzili spokojnie po polach, jak ich woły.«

»A czy nie brakło pożywienia w rzece?« spytał Szakal.

»Więcej go było, niż sobie życzyć mogłem. Nawet ja — a nie jadam przecież błota — nawet ja się nasyciłem, i — przyznam się — byłem trochę zaniepokojonym, gdy milczące ciała bez ustanku w dół się posuwały. Słyszałem, jak lud mój mówił we wsi, że wszystkich Anglików wybito; lecz ci, co nadpływali z prądem, z twarzą w dół obróconą nie byli Anglikami, jak mój lud mniemał. Potem uznano we wsi, że najlepszą rzeczą jest nic nie mówić, ale płacić podatek i orać ziemię. Po upływie długiego czasu rzeka się oczyściła, a ci co płynęli z falą, byli poprostu topielcami, jak to mogłem łatwo skonstatować; i, chociaż znalezienie strawy w owym czasie nie przychodziło już bez trudu, przecież byłem z całego serca zadowolony. Trochę rozbojów tu i tam — nie jest rzeczą złą; ale nawet i Mugger jest czasem syty, jak powiada przysłowie.«

»Przedziwnie! Zaiste przedziwnie!« wykrzyknął Szakal. »Słuchając samych opowiadań o takiej ilości doskonałej strawy, można już nabrać znakomitej tuszy. Cóż dalej uczynił Opiekun ubogich, jeżeli spytać można?«

»Ślubowałem sobie — i na prawy i lewy brzeg Gangesu! z zaciśniętemi szczękami dotrzymałem aż po dziś tego ślubu — ślubowałem, że się już nigdy nie będę włóczył po świecie. I odtąd żyłem przy grobli, niedaleko swego ludu, i strzegłem go długie lata; a lud mój kochał mnie i rzucał na głowę moją wieńce, ilekroć ujrzał ją na powierzchni rzeki. O, tak — los był dla mnie bardzo łaskawym, a cała Rzeka jest na tyle dobrą, że poważa moją skromną i ułomną osobę; tylko — —«

»Nikt nie jest zupełnie szczęśliwym od dzioba aż do ogona,« rzekł Adjutant ze współczuciem. »Czegoż nie dostaje Muggerowi z Mugger-Ghaut?«

»Tego małego, białego dziecięcia, które mi się wyśliznęło,« rzekł Mugger z głębokiem westchnieniem. »Było ci ono drobne, małe — ale zapomnieć go nie mogę. Jestem już bardzo stary, lecz nim umrę, chciałbym jeszcze jednej rzeczy dokazać. Prawda, że to lud ociężały, krzykliwy, głupi, prawda, że satysfakcja nie byłaby wielka, a jednak — zawsze wspominam dawne dnie pod Benares przeżyte, a to dziecię, jeśli żyje, z pewnością o nich pamięta. Być może, że dziecię ono, dziś już dorosły mąż, przechadza się po brzegu jakiej rzeki i opowiada, jak wyciągnął przed laty rękę z paszczy Muggera z Mugger-Ghaut. Los był dla mnie nader łaskawym, ale to spać mi nie daje, to mi sen mąci — ta myśl, ta jedyna myśl o tem drobnem, bieluchnem dzieciątku na krawędzi łodzi.« Ziewnął i zamknął paszczę. »A teraz będę wypoczywał i marzył. Zachowujcie się cicho, moje dzieci, i uszanujcie sędziwego starca.«

Wykonawszy sztywny obrót, powlókł się niedołężnie na pobliską ławicę piasku; a Szakal i Adjutant cofnęli się pod osłonę drzewa, stojącego tuż nad brzegiem, opodal mostu kolejowego.

»Oto co się zowie przyjemny i pożyteczny żywot,« zaśmiał się szyderczo Szakal i rzucił pytający wzrok na ptaka, który stał nad nim, wysoki jak wieża. »I ani razu, pomyśl tylko, ani razu nie wpadła mu do głowy myśl, aby mi powiedzieć, czy nie pozostał jaki kąsek dla mnie na tych brzegach. Ja *jemu* mało sto razy rozpowiadałem o rozmaitych przysmakach, które prąd pędził ku dolnym brodom rzeki. Jakżeż prawdziwem jest przysłowie: ‚Cały świat zapomina o Szakalu i balwierzu, gdy nowostki już znane.' A teraz poszedł spać! *Arrah!*«

»Jak może Szakal polować z Muggerem,« rzekł zimno Adjutant. »Wielki złodziej i mały złodziej! — nie trudno zgadnąć, który się prędzej pożywi.«

Szakal zakręcił się w miejscu, zaskomlił niecierpliwie i już miał się zwinąć w kłębek pod drzewem, gdy wtem zerwał się, przysiadł na tylnych nogach i spojrzał ponad siebie na most, wysoko zadzierając głowę.

»Co się stało?« spytał Adjutant i pełen niepokoju rozwinął jedno skrzydło.

»Czekaj, obaczym. Wiatr wieje w ich kierunku, ale nie za nami oni tak śledzą — ci dwaj ludzie...«

»Więc to ludzie? Mój urząd mnie ochrania. Całe Indje wiedzą, żem święty.« Adjutant, pierwszorzędny czyściciel ulic, może się wałęsać, którędy mu się podoba, więc i ten się nie cofnął.

»Nie jestem wart kopnięcia nawet starym trzewikiem,« rzekł Szakal, pilnie znowu nadsłuchując. »Uważaj na kroki!« ciągnął dalej. »To nie tutejsze skórzane łapcie, ale obuta noga jednego z białych twarzy! Wsłuchaj się dobrze! Żelazo szczęka o żelazo! To strzelba! Przyjacielu, ci ociężali, głupi Anglicy przychodzą porozmawiać z Muggerem!«

»Ostrzeż go więc. Ktoś, bardzo podobny do głodnego Szakala, nazywał go przed chwilą Opiekunem ubogich.«

»Niechże mój kuzyn sam myśli o swojej skórze. Mówił mi przecież nie raz i nie dwa razy, że niema się czego bać białych twarzy. Żaden wieśniak z Mugger-Ghaut nie odważyłby się dybać na niego. Patrz, a mówiłem, że to strzelba. Teraz, jeśli nam szczęście choć trochę posłuży, nakarmimy się należycie przed wschodem słońca. On nie słyszy dobrze na lądzie i — teraz to już nie kobieta!«

Na balustradzie mostu zabłysła w świetle księżyca lufa od strzelby. Mugger leżał na piasku tak cichy i nieruchomy, jak jego własny cień; głowę opuścił między przednie łapy, nieco ku przodowi wysunięte, i chrapał jak — Mugger.

Jakiś głos na moście zaszeptał: »To niesłychany strzał — prawie prostopadle z góry, — ale zato pewny, jak dwa a dwa cztery. Bierz go niżej karku! Do djabła! co za potwór! Wieśniacy się powściekają ze złości, bo to *deota* (bóstwo opiekuńcze) tej okolicy.«

»Nic mnie to nie obchodzi,« odpowiedział inny głos. »Porwał mi on przynajmniej piętnastu najlepszych kulisów w czasie budowy mostu i chyba już czas z nim skończyć. Uganiałem się za nim po rzece całemi tygodniami. Pomóż mi swoim Martinim, gdy mu wpakuję te obie kule.«

»Pomyśl o wstecznem uderzeniu. Z dubeltówką takiego kalibru nie można żartować.«

»To jej rzecz. Baczność! Strzelam!«

Tu rozległ się huk podobny do huku małego działa (największe strzelby, służące do polowania na grubego zwierza, np. na słonie, niewiele się różnią od małej armaty), zabłysły dwa płomienie i dał się słyszeć ostry trzask dubeltówki Martiniego, której ostre a wąskie kule nic sobie nie robią z krokodylowego pancerza. Ale eksplodujące pociski już zrobiły swoje. Jeden ugodził Muggera w kark na szerokość dłoni od kości pacierzowej, na lewo, drugi poniżej nasady ogona. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, może jeszcze śmiertelnie zraniony krokodyl dowlec się na pełną wodę i uciec; ale Mugger z Mugger-Ghaut został dosłownie na trzy części przełamany. Zdobył się ledwie na jedno poruszenie głową, zanim skonał — i oto legł płasko na ziemi rozciągnięty, jak Szakal.

»Gromy i błyskawice! Błyskawice i gromy!« wołało to nędzne, drobne stworzenie. »Czy może spadła na ziemię ta istota, która ciągnie wozy przez most?«

»To była tylko strzelba,« odezwał się Adjutant, na którym każde piórko dygotało ze strachu. »Nic więcej tylko strzelba. Musi być z pewnością zabity. Oto nadchodzą białe twarze.«

Dwaj Anglicy zbiegli szybko z mostu, przebrnęli naukos przez ławicę piasku i stanąwszy obok zabitego Muggera, podziwiali jego rozmiary. Następnie jeden z krajowców chwycił siekierę i odciął mu olbrzymi łeb, który czterech mężów wlokło wzdłuż wybrzeża.

»Ostatni raz miałem rękę w paszczy Muggera,« rzekł, nachylając się jeden z Anglików (ten, który most wybudował), »licząc ledwie pięć lat; płynąłem łodzią w dół rzeki do Monghyr'u. Byłem dzieckiem z czasów Buntu, jak się wówczas powszechnie wyrażano. Moja biedna Matka była ze mną w łodzi i opowiadała potem nieraz, jak wypaliła parę razy ze starego ojcowskiego pistoletu do głowy potworu.«

»Doskonale — więc zabijając głowę całego plemienia zemściłeś się należycie — choć ci kolba przy strzelaniu nos okrwawiła. Hej, żeglarze! Wyciągnijcie-no tę głowę na brzeg, wygotujemy czaszkę, bo skóra w strzępy podarta i nie przyda się na nic. Teraz połóżmy się spać. Opłaciło się nam czuwanie tej nocy, nieprawdaż?«

. . . . . .

Dziwnym zbiegiem okoliczności w trzy minuty po odejściu tych ludzi uczynili Szakal z Adjutantem taką samą uwagę.

ŚPIEW FALI

Szemrze fala, o brzeg trąca —
Wieczór purpurowo-złoty:
Stoi dziewczę na wybrzeżu
Przepełne tęsknoty.

Drobna nóżko, śnieżne łono —
Toń wam zgubą, brzeg ochroną.
»Dziewczę stój!« wciąż fala śpiewa,
» Wstrzymaj się — jam Śmierć!«

»Śpieszę, gdzie mnie luby woła,
Obojętność mi uchybia;
Patrz! — to ponad prądu koła
Miga łuska rybia.«

Drobna nóżko, serce dziecka,
Czekaj promu — głąb zdradziecka...
» Wstrzymaj się!« — wciąż fala śpiewa,
»Dziewczę stój — jam Śmierć!«

»Głos kochanka mnie przynęca,
Opornej nikt nie ślubuje!«
Wir się skręca i odkręca —
Czysty prąd wiruje.

Białe nóżki, serce tkliwe,
Och! nie wyszły na brzeg żywe.
Bieży fala coraz nowa,
Fala, fala purpurowa...

KRÓLEWSKI ANKUS

Oto jest czworo nigdy niesytych, którym głód wieczny dopieka:
Paszcza Szakala, gardziel Sępa, dłoń Małpy, oko Człowieka.
Przysłowie Dżungli.

Kaa, olbrzymi pyton skalny, zmienił skórę dwóchsetny może raz od urodzenia; a Mowgli, który nie zapomniał, iż zawdzięcza życie sile i zręczności Kaa pod Cold Lairs, co i wy sobie zapewne przypominacie, przybył złożyć mu życzenia. Zmiana skóry wywołuje u wężów zgryźliwe i posępne usposobienie, aż świeżo narastająca powłoka zalśni dawną pięknością i blaskiem. Kaa nie pozwolił już sobie na żarty z Mowgli'm, lecz witał go, jak cały zresztą lud puszczy, mistrzem Dżungli i opowiedział mu wszystkie nowości, o ile je zna zawsze wąż tak wielki jak Kaa. Czego zaś Kaa nie znał z życia t. zw. Średniej Dżungli — z życia, co tętni przy ziemi, wrze pod ziemią, szumi wśród nor, głazów, moczarów, między pnączami i korzeniami drzew — to dałoby się wygodnie spisać na najdrobniejszej jego łusce.

Tego popołudnia siedział Mowgli w jednym z grubych pierścieni węża i przesypywał przez palce jego starą skórę, która leżała dziurawa i zeschła między skałami, tak, jak ją tam Kaa pozostawił. Kaa podścielił uprzejmie swoje potężne skręty pod szerokie i nagie plecy Mowgli'ego, tak, że chłopak siedział w nich wygodnie, niby w żywem krześle.

»Doskonale zwleczona, jest nawet powłoka z oczu,« rzekł Mowgli do siebie, bawiąc się starą skórą. »Dziwnie przejmująca rzecz! widzieć u nóg swoich zewłok z własnej głowy.«

»Ej, przecież ja nóg nie posiadam,« odparł Kaa; »a nadto jest to bardzo częste i zwykłe u mego ludu. Nie widzę w tem żadnego dziwu. A twoja skóra nie uczuwa-ż się czasem twardą i starą?«

»Tak, ale wtedy biegnę czem prędzej do kąpieli, ty płaska głowo; choć i to prawda, że w czasie dojmujących skwarów radbym się wysunął ze skóry (tylko żeby to nie bolało) i biegał bez skóry.«

»Przecież i ja się kąpię, a *mimo to* zmieniam skórę. Jakże tedy wygląda mój nowy strój?«

Mowgli przesunął dłonią po świecących, pstrych, poprzecznych pręgach olbrzymiego grzbietu. »Żółw ma twardszą skórę, lecz nie tak świecącą,« zawyrokował. »Żaba, moja imienniczka, ma może jaśniejszą, lecz nie tak twardą. Miło spojrzeć na ciebie; — podobnie nakrapiany jest kielich lilji.«

»Trzeba mi jeszcze wody. Żadna nowa skóra nie nabiera prawdziwego blasku przed kąpielą. Chodźmy się więc wykąpać.«

»Poniosę cię,« rzekł Mowgli, śmiejąc się wesoło; i pochylił się, by w środku ująć olbrzymie cielsko Kaa, tam, gdzie tworzyło najgrubsze przeguby. Tak samo mógłby się pojedynczy człowiek pokusić o podniesienie pnia, mającego dwie stopy średnicy; a Kaa leżał nieruchomy i jeno sapał spokojnie z zadowolenia. Następnie rozpoczęli codzienną wieczorną zabawę. Chłopiec kwitnący nadmiarem wybujałych sił i potężny Pyton w lśniącej, przepysznej skórze stanęli sobie oko w oko, by w zapasach wypróbować potęgę muszkułów i wzroku. Oczywiście mógł Kaa, gdyby był tylko zechciał, zadusić tuzin takich jak Mowgli; igrał jednak zawsze ostrożnie, nie wyczerpując i dziesiątej części swych sił wrodzonych. W chwili, gdy Mowgli stał się na tyle silnym, że mógł bez szkody wytrzymać silniejsze uderzenie, nauczył go Kaa tych zapasów i trzeba przyznać, że nic nie rozwijało bardziej giętkości i elastyczności członków chłopca.

Czasami stał Mowgli omotany aż po szyję drgającemi błyskawicznie splotami Kaa, i usiłował wyswobodzić jedno ramię, by uchwycić niem węża za szyję. Wtedy Kaa zwalniał nacisku, a Mowgli starał się szybkiem nóg uderzeniem dosiąc potężnego ogona, co, wahając się od przodu ku tyłowi, szukał skały lub pnia dla oparcia. I tak chwiali się w jedną i drugą stronę, płomienne topiąc w sobie źrenice, z natężoną uwagą czekając sposobności do ciosu, aż wreszcie przedziwna ta posągowa grupa rozpadała się w oślepiający wir czarnych i żółtych pierścieni, trzepocących się rąk i nóg. »Masz! masz! masz!« powtarzał Kaa, wymierzając równocześnie ciosy z taką szybkością, że nawet zwinne ręce Mowgli'ego nie zdołały się wymknąć. »Patrz! uderzam tu, mały bracie! Tu, a potem tu! Czy ci ręce omdlały? A teraz tu!«

Zabawa kończyła się zawsze jednakowo — prostem, pełnem rozmachu uderzeniem głowy, które chłopca rzucało o kilkanaście kroków dalej, na ziemię. Mowgli nie mógł nigdy nauczyć się odparowania tego błyskawicznego ciosu, i, jak twierdził Kaa, wszelka nauka byłaby tylko daremną stratą czasu.

»Szczęśliwych łowów!« Kaa wkońcu zamruczał; a zadyszany i rozbawiony Mowgli wyleciał, jak zwykle, na jakie sześć metrów w górę i zarył nosem w ziemię. Zerwał się jednak czem prędzej z pełnemi trawy garściami i podążył wraz z Kaa, najmędrszym z wężów, do jego ulubionej kąpieli — do głębokiego, czarnego jak smoła jeziorka, co za skałami się kryje, z którego dna przeświecają mętne cienie zatopionych pni. Chłopiec wśliznął się do toni bez szmeru, jak nakazywało prawo Dżungli, i dał pod wodę parę susów; poczem również bez szmeru wysunął się na powierzchnię, przewrócił się na grzbiet, a wsparłszy głowę o splecione na karku ramiona, patrzył na księżyc z poza skał się wynurzający, i, uderzając nogami o powierzch-

nię, załamywał cudne jego refleksy w jeziorze. Kaa zaś, którego głowa w świetle miesięcznem jak diament skrzyła, a jak brzytwa fale milczące krajała, popluskawszy się nieco, podpłynął cicho do chłopca i złożył mu głowę na ramionach. Tak leżeli bez ruchu, bez słowa, a ciała ich piły rozkosznie ożywcze chłody jeziora.

»Prawdziwa rozkosz,« zaszeptał Mowgli półsennie. »W gromadzie ludzkiej kładą się o tej porze, jeśli sobie dobrze przypominam, na jakieś twarde kawałki drzewa w brudnych, od powietrza odciętych norach, naciągają na ociężałe głowy brudne płachty i śpiewają brzydko przez nos. Lepiej tu w Dżungli.«

Jakiś chyży »cobra« (okularnik) ześliznął się ku wodzie, napił się i znikł czem prędzej, rzuciwszy im przelotnie pozdrowienie »Szczęśliwych łowów«.

»Sssh!« zasyczał Kaa, jakby mu coś nagle wpadło do głowy. »Więc Dżungla spełnia wszystkie twe życzenia, mały bracie?«

»Nie wszystkie,« odparł Mowgli z uśmiechem, »chybaby mi się trafił co miesiąca jaki nowy, silny Shere Khan do zabicia. *Teraz* mógłbym go snadnie zadławić temi oto dłońmi, nie potrzebując pomocy bawołów. Powtóre pragnąłem nieraz, aby słońce świeciło podczas pory deszczowej, a deszcze zaćmiły słońce wśród pełnego lata; a kiedy byłem głodny, życzyłem sobie nieraz zabić kozę; a kiedy zabiłem kozę, żałowałem, że to nie kozioł; a kiedy zabiłem kozła, żal mi było, że to nie nilghai. Ale tego rodzaju uczucia są przecież wspólne nam wszystkim.«

»Więc innych pragnień już nie masz?« spytał wielki wąż.

»Czegóż więcej mógłbym wymagać? Mam Dżunglę i Łaskę Dżungli! Czyż istnieje co więcej między wschodem a zachodem słońca?«

»A jednak — ‚Cobra' powiedział — —« rozpoczął Kaa.

»Który ‚Cobra'? Ten co się przemknął tędy, nic nie powiedział. Był zajęty łowami.«

»Myślę o innym.«

»Czy masz wiele do czynienia z ludem Jadowitych? Ja ich unikam. Noszą śmierć w przednich zębach, co jest zresztą niesłuszne — bo każdy z nich taki mały. Z którym-to z ‚białych głów' rozmawiałeś?«

A Kaa kołysząc się na wodzie, jak parowiec w przeciwne prądy uchwycony, odpowiedział: »Trzy lub cztery miesiące temu polowałem w Cold Lairs, w miejscu, które snadź dobrze pamiętasz. Zwierzyna ścigana przezemnie biegła z krzykiem wzdłuż bagnisk, a dopadłszy domu, którego ścianę sam niegdyś w twojej obronie rozwaliłem, znikła nagle pod ziemią.«

»Ale lud z pod Cold Lairs nie żył w tych podziemnych norach.«

Mowgli wiedział dobrze, że Kaa mówił o plemieniu małp.

»Stworzenie to tam nie żyło, jeno schroniło się tam przed pościgiem,« odparł Kaa, przyczem ostry koniec języka zadrgał mu pożądliwie. »Wpadło całym pędem w głąb jaskini, ciągnącej się daleko. Podążyłem za niem, i zabiwszy je, usnąłem. A gdym się obudził, wybrałem się w głąb, na zwiady.«

»Pod ziemię?«

»A tak. Spotkałem tam wreszcie białego ‚Cobrę' (białego okularnika), który mi rozpowiadał o rzeczach przechodzących mój rozum i pokazał mi osobliwości, których nigdy przedtem nie widziałem.«

»Nową zwierzynę? Musiałeś mieć pyszne polowanie?« Mowgli przewrócił się chyżo bokiem na wodę.

»Nie zwierzynę; byłbym sobie wszystkie zęby połamał na takiej zwierzynie; ale powiedział mi biały ‚Cobra', że człowiek — a mówił to jako doskonały znawca całego plemienia — że człowiek oddałby

gorącą krew swych żył za samą możność obaczenia tych nadzwyczajnych rzeczy.«

»Pójdźmy a obaczymy,« wykrzyknął Mowgli. »Przypominam sobie, że i ja niegdyś byłem człowiekiem.«

»Powoli — powoli. Zbytni pośpiech zabił Żółtego Węża, który jadł słońce. Otóż rozmawialiśmy sobie pod ziemią, a ja nadmieniłem w rozmowie o tobie, nazywając cię człowiekiem. Wtedy rzekł biały ‚Cobra' (który jest naprawdę już tak stary jak Dżungla): ‚Wiele już minęło lat, odkąd po raz ostatni widziałem człowieka. Przyprowadź go tutaj, a zobaczy skarby, za których najdrobniejszą cząstkę wielu ludzi oddałoby życie.'«

»To musi być nowa zwierzyna. Lud Jadowitych nie podzieliłby się żadną wiadomością o dobrem polowaniu. To bardzo nieuprzejme plemię.«

»To *nie jest* zwierzyna. To jest — to jest — nie mogę powiedzieć, co to jest.«

»Więc chodźmy tam. Nie widziałem nigdy białego ‚Cobry', a chcę widzieć i te inne twory. Czy on je pozabijał?«

»Wszystko to są martwe rzeczy. On powiada, że jest ich strażnikiem.«

»Ach! Tak jak wilk jest strażnikiem mięsa, które zawlókł do nory. Chodźmy tam.«

Mowgli wypłynął na brzeg i, aby się osuszyć, wytarzał się w trawie, a potem podążyli obaj do opustoszałego miasta Cold Lairs, które zapewne już znacie. Mowgli nie obawiał się zupełnie plemienia małp w owym czasie, owszem małpy czuły nieopisany strach przed Mowgli'm. Wałęsały się one teraz gromadami po Dżungli, więc Cold Lairs stało puste i milczące w świetle księżyca. Kaa wpełznął na ruiny stojącego na terasie pawilonu królowej, przemknął się między głazami i znikł pod rozwalonemi schodami, które wiodły od środka

pawilonu w głąb podziemia. Mowgli wydał okrzyk, będący hasłem wężów — »Jesteśmy z jednej krwi, ty i ja,« poczem na rękach i kolanach podążył śladem przewodnika. Prześliznąwszy się chyłkiem przez przepaściste zbocza, wykręty i rozpadliny, doszli nareszcie do miejsca, gdzie korzenie potężnego drzewa, co trzydzieści stóp wysoko nad poziom strzelało, wysadziły z murów olbrzymi kamień. Wczołgali się przez otwór i oto ujrzeli przestronną jaskinię, której opoczyste sklepy rozparte były również korzeniami tak, że gdzie niegdzie wciskały się jasne smugi światła i rozpraszały ciemności.

»Bezpieczna skrytka,« rzekł Mowgli, prostując ściągnięte kolana, »ale za daleko tu chodzić. No i kogoż tu można zobaczyć?«

»A mnie — to mało?« zawołał jakiś głos ze środka jaskini; i Mowgli ujrzał, jak się w mroku zaczęło coś białego poruszać, aż zwolna, stopniowo, rozwinął się przed oczyma chłopca olbrzymi okularnik, jeden z największych, jakich kiedykolwiek oglądał — twór, mający ośm stóp długości, który przebywając w gęstym mroku wybielał z czasem, jak stara kość słoniowa. Nawet piętna okularów na jego czworograniastej głowie spełzły na barwę żółtą. Oczy mu skrzyły krwawo, jak rubiny, a cała postać jego była imponująca.

»Szczęśliwych łowów,« zakrzyknął Mowgli, który nigdy nie zapominał o grzeczności i o nożu.

»Cóż słychać w mieście?« spytał Biały Cobra, nie odwzajemniając pozdrowienia. »Cóż słychać w wielkiem, obwarowanem mieście — mieście stu słoni i dwudziestu tysięcy rumaków i niezliczonych trzód — w mieście króla nad dwunastu królami. Ogłuchłem w tem pustkowiu i od wielu już lat nie słyszałem dźwięku bojowych gong.«

»Nad naszemi głowami Dżungla,« rzekł Mowgli. »Ze słoni znam tylko Hathi'ego i jego trzech synów. Rumaki wybiła we wsi Bagheera, ale — co to jest król?«

»Mówiłem ci,« szepnął Kaa do okularnika, »mówiłem ci cztery miesiące temu, że niema już twego miasta.«

»Miasto — wielkie miasto wśród borów, którego bram strzegły mnogie wieżyce królewskie, nie może nigdy przeminąć. Zbudowano je, nim jeszcze ojciec mego ojca wylągł się z jaja i będzie trwać, aż synowie moich synów staną się tak białymi, jak ja. Salomdhi, syn Chandrabji, syna Viyei, syna Yegasari zbudował je za czasów Bappy Rawala. Z jakiejże *wy* jesteście gromady?«

»To jest zgubiony trop,« rzekł Mowgli, zwracając się do Kaa. »Nie rozumiem tej gadaniny.«

»Ani ja. On jest bardzo stary. Ojcze okularników, tutaj jest tylko Dżungla i tylko Dżungla była tu od początku.«

»A kto jest *ten*,« zapytał Biały Cobra, »ten, który siedzi na ziemi przedemną, niezalękniony, który nie zna imienia króla, którego ludzkie usta naszą posługują się mową? Kto jest ten twór, posiadający nóż, i władnący językiem wężów?«

»Zowią mnie Mowgli'm,« odpowiedział chłopiec. »Pochodzę z Dżungli. Ludem moim wilki, a bratem ten oto Kaa. Kim ty jesteś, ojcze okularników?«

»Jam Strażnik Skarbu króla. Kurrun Raja nakrył mnie głazem w owych dniach, gdy ciemną jeszcze była moja skóra, abym śmiercią poraził tych, co wyciągną zbrodniczą rękę po skarby. Potem spuszczono skarb do jaskini i usłyszałem śpiewy Braminów, mistrzów moich.«

»Umm!« rzekł Mowgli do siebie. »Miałem i ja raz do czynienia z braminem, bawiąc wśród ludzi, ale — co wiem, to wiem. Nigdy nic dobrego z tego nie wyniknie.«

»Pięć razy, od czasu objęcia przeze mnie straży, podważano kamień, ale zawsze aby coś dodać, nigdy aby ująć. Niema bogactw tym

równych bogactwom — temu skarbowi stu królów. Ale już wiele, wiele upłynęło dni, odkąd po raz ostatni ów głaz podźwignięto, i myślę, że moje miasto o mnie całkiem zapomniało.«

»Tu niema miasta. Spojrzyj do góry. Tu są tylko korzenie drzew, co porozsadzały głazy. Drzewa i ludzie nie żyją nigdy obok siebie,« wołał Kaa.

»Dwa lub trzy razy odnaleźli ludzie drogę do tej jaskini,« zasyczał Biały Cobra głosem pełnym jadowitego gniewu; »ale nic nie mówili, bom ich zaskoczył w ciemnościach, i tylko zakrzyknęli — ale na krótko. Wy jednak przychodzicie z kłamstwem na ustach — obaj — Człowiek i Wąż — i chcecie we mnie wmówić, że miasto moje zginęło, że straż moja już się skończyła. Wprawdzie ludzie zmieniają się nieco z biegiem lat. Ale ja nie zmieniam się *nigdy!* Dopóki kamień podważony nie zostanie, dopóki Bramini nie zstąpią ku głębi ze śpiewem, który znam — dopóki mnie ciepłem mlekiem nie nakarmią i na światło dzienne nie wyniosą: — nikt inny nie będzie strzegł skarbów królewskich, tylko ja! ja! ja! Miasto wymarło, powiadacie, głaz rozpierają korzenie? Schylcie się więc i bierzcie, czego serce zapragnie. Nie mają wnętrzności ziemi skarbów tym oto równych. Człowieku z językiem węża! jeżeli żyw wrócisz tą drogą, którąś tu zaszedł, wiedz, że królowie służyć ci będą!«

»Znowu zgubiony trop,« rzekł Mowgli zimno. »Może kiedy Szakal przedostał się do tej nory i ukąsił tę białą głowę? On oszalał, niezawodnie oszalał! Ojcze okularników, nie widzę tu nic takiego, cobym mógł zabrać.«

»Na bogów słońca i księżyca, szał śmierci ogarnął tego chłopca!« zasyczał Cobra. »Łaskę, łaskę chcę ci wyświadczyć, zanim się zamkną oczy twoje. Patrz tu — ty! — i dziw się temu, czego ludzkie oko nigdy nie oglądało!«

»Nikt w Dżungli nie wyszedłby dobrze na tem, gdyby chciał Mowgli'emu wyświadczać łaski,« wycedził chłopiec przez zaciśnięte zęby; »ale ciemności zmieniają postać rzeczy, o ile wiem. Dobrze, popatrzę, jeżeli sobie życzysz.«

I rozejrzał się szeroko rozwartemi oczyma po jaskini i schyliwszy się, podniósł z ziemi całą garść jakichś przedmiotów, które silnie błyszczały.

»Oho!« zawołał, »podobne to do tych śmieci, które widziałem w gromadzie ludzkiej; tylko to jest żółte, a tamto było brunatne.«

Rzucił na ziemię sztuki złota i postąpił naprzód. Dno jaskini było wyłożone na pięć lub sześć stóp wysoko zwartemi masami złota i srebra, które wysypały się ze zbutwiałych, zamykających je niegdyś worów i kruszec ów z biegiem lat osiadł się i osypał, jak się osypuje i osiada piasek na wybrzeżu w czasie odpływu. I jak z mielizn i ławic piaszczystych sterczą resztki rozbitego okrętu, tak z warstw drogocennego metalu wystawały tu i tam siodła na słonie, z litego srebra ulane, płytami z kutego złota obite, brylantami zdobne, nasadzane krwawnikami i turkusami. Były tam przenośne łoża i lektyki dla królewien, pobijane srebrem, wysadzane emalją, z ambrowemi drzewcami, ze zdobnemi guzami i kółkami; były tam złote kandelabry, na których ramionach drżały wieszadła ze szmaragdów utkane; były tam posągi dawnych i zapomnianych już bożyszcz, srebrne z brylantowemi oczyma; były tam koszule ze złotych drutów plecione, stalą wyłożone i sznurami staroświeckich, od starości sczerniałych pereł ubrane; były tam hełmy osypane rubinami krwi gołębiej; były tam lakowane tarcze z żółwiej skorupy, skóry nosorożca, na brzegach czerwonem złotem powleczone i szmaragdami błyszczące; były tam miecze o diamentowych rękojeściach, noże myśliwskie i sztylety, były tam złote misy ofiarne i łyżki i przenośne ołtarze przedziwnych

kształtów, jakich nikt nigdy na powierzchni ziemi nie oglądał; były tam kadzielnice, grzebienie i naczynia do wonności, henny i pudru ocznego — wszystkie ze złota: były tam kółka na nosy, pierścienie naręczne, diademy, obrączki i dziewicze przepaski; były tam na siedm palców szerokie pasy ze skośnie rzniętych diamentów i rubinów, i skrzynie drewniane, trzema warstwami żelaza okute, których drzewo, rozpadłszy się w próchno, odsłoniło nieprzebrane szeregi szafirów-gwiazd, opalów, kocich oczu, szafirów, rubinów, diamentów i szmaragdów.

Biały Cobra miał słuszność. Żadne pieniądze nie zdołałyby opłacić wartości tych skarbów — zdobyczy, pochodzącej z wojen, grabieży, handlu i podatków, a uzbieranej w ciągu długich stuleci. Wartość samych monet, pominąwszy już klejnoty, była nieoceniona; a martwy ciężar nagromadzonego złota i srebra wynosił dwieście do trzystu tonn.

W dzisiejszych czasach każdy urodzony władca indyjski, choćby nawet bardzo ubogi, posiada swój skarb, który stale pomnaża; a chociaż zdarza się niekiedy, że jakiś bardziej wykształcony książę każe czterdzieści lub pięćdziesiąt wozów w woły zaprzęgnionych naładować srebrem, by je wymienić na papiery wartościowe: większość nie pozbywa się skarbu, lecz zachowuje go w najgłębszej skrytości i największej tajemnicy.

Oczywistą jest rzeczą, że Mowgli nie znał wartości tego wszystkiego. Noże przykuły na chwilę do siebie jego wzrok, ale nie były tak giętkie, jak jego własny, więc je odrzucił. Wkońcu przecież zdołał odnaleźć coś, co go naprawdę zachwyciło, co leżało na brzegu jednego z siodeł do połowy zagrzebane w monetach. Był to dwustopowy ankus czyli bodziec na słonie — przedmiot bardzo podobny do małej kotwicy. U jego szczytu lśnił okrągły błyszczący rubin, a niżej trzonu było obicie z gęstych nieszlifowanych turkusów, które tworzyły wygodną

rękojeść. Jeszcze niżej był pierścień jaspisowy, o który owijała się girlanda kwiatów — tylko listki były szmaragdowe, a kwiaty tworzyły rubiny w zielony kamień wpuszczone. Resztę rękojeści tworzyła czysta kość słoniowa, ostrze i hak — stal, na której były wyryte sceny z polowania na słonie: sceny te wabiły nieprzeparcie oko Mowgli'ego, który się domyślał, że mają one wiele wspólnego z jego przyjacielem Hathi'm.

Biały Cobra pełzał za nim po jaskini krok za krokiem.

»Czyż nie warto oddać za to życie?« rzekł wkońcu. »Czyż nie wyświadczyłem ci wielkiej łaski?«

»Nie rozumiem ciebie,« odpowiedział Mowgli. »Rzeczy te są twarde, zimne i niedobre do jedzenia. Ale to,« podniósł do góry ankus, »chciałbym zabrać ze sobą i widzieć w blaskach słonecznych. Powiadasz, że te wszystkie przedmioty należą do ciebie. Jeśli mi to podarujesz, naznoszę ci wiele smacznych żabek.«

Biały Cobra aż zatrząsł się, pełen złośliwego ukontentowania. »Wszystko ci daruję,« zasyczał. »Wszystko twoje, co tu widzisz — jak długo stąd nie odejdziesz.«

»Ależ ja odejdę natychmiast. To miejsce jest ciemne i zimne, a pragnąłbym zabrać ze sobą to cierniste ostrze.«

»Spojrzyj pod nogi! Cóż tutaj jest?«

Mowgli podniósł coś białego i gładkiego. »To kości ludzkiej głowy,« rzekł spokojnie. »I tutaj jeszcze dwie.«

»Przyszli ci ludzie tutaj przed wielu laty i chcieli zrabować skarb. Rozmówiłem się z nimi w ciemnościach i poukładali się na zawsze.«

»Ale co mnie obchodzi to, co ty nazywasz skarbem? Jeżeli mi pozwolisz zabrać ze sobą ankus, będzie to znaczyło ‚szczęśliwych łowów'. Jeśli zaś nie, pożegnam cię mimo tego tem hasłem. Nie walczę z ludem Jadowitych, a hasło twej gromady znane mi dobrze.«

»Tutaj znane mi tylko jedno hasło: moje własne!«

Kaa potoczył się naprzód, a wzrok mu się roziskrzył. »Kto mi kazał przyprowadzić Człowieka?« zasyczał.

»Oczywiście, że ja,« szepnął stary Cobra. »Oddawna już nie widziałem Człowieka, a ten mówi nadto naszym językiem.«

»Ale o zabiciu nie było mowy. Jakżeż mogę powrócić do Dżungli i powiedzieć wszystkim, żem go zaprowadził na zgubę?« rzekł Kaa.

»Nie mówię nigdy o zabijaniu — przed czasem. A co się tyczy twego odejścia lub pozostania, oto dziura w murze. Idź w spokoju, ty tłusty małp dusicielu! Trzeba mi się tylko zlekka dotknąć twego grzbietu i nie obaczy cię więcej Dżungla. Żaden Człowiek nie odszedł stąd z tchnieniem w piersiach. Jam strażnik Skarbu królewskiego Miasta!«

»Ależ powiadam ci, ty biała glisto podziemna, ależ mówię ci, że tu niema żadnego miasta, ani króla. Dżungla — Dżungla jest nad nami,« krzyczał Kaa.

»A tutaj dotychczas Skarb. Jedno tylko jeszcze stać się może. Zaczekaj chwilę Kaa, wężu skalny, i przypatrz się, jak chłopak będzie biegał. Jest tutaj obszerne miejsce do popisu. Pobiegaj sobie po jaskini, chłopaczku, poigraj sobie.«

Mowgli położył dłoń na głowę Kaa z niewzruszonym spokojem. »Ten biały twór miał widocznie do czynienia tylko z gromadą ludzką. Nie zna mnie jeszcze,« zamruczał. »Wyzwał mnie na polowanie! Niechże je ma!«

Mowgli stał dotąd nieruchomy i trzymał ankus ostrzem ku ziemi. Teraz jednak cisnął go z błyskawiczną szybkością i ugodził wielkiego węża poniżej głowy, przygważdżając go niejako do ziemi. W mgnieniu oka przywalił Kaa potężnem cielskiem drgające sploty węża i uniemożliwił mu wszystkie ruchy od głowy do ogona. Jak węgiel

płonęły krwawe źrenice, a czworograniasta głowa ciskała się wściekle to w prawą, to w lewą stronę.

»Zabij!« zawołał Kaa, gdy dłoń Mowgli'ego spoczęła na nożu.

»Nie,« odparł chłopiec, obnażając ostrze; »zabijam tylko wtedy, gdym głodny. Ale spojrz tu, Kaa!« Silną dłonią pochwycił białego węża niżej głowy, rozwarł mu szczęki ostrzem noża i wskazał, że zęby kryjące jad sczerniały, pokruszyły się i wisiały ledwo na dziąsłach. Biały Cobra przeżył swój jad, jak to się często u wężów przydarza. »*Thuu!*« (co znaczy: zbutwiały*), rzekł Mowgli; i przywoławszy do siebie Kaa, podniósł ze ziemi ankus i uwolnił Białego Cobrę.

»Skarb Króla potrzebuje nowego stróża,« rzekł z powagą. »Thuu, tyś już wysłużył. Pobiegaj sobie po jaskini, Thuu, poigraj sobie!«

»Okryłem się hańbą. Zabij mnie!« zasyczał Biały Cobra.

»Mówiliśmy już dość o zabijaniu. Teraz odejdziemy precz. Biorę ze sobą to cierniste ostrze, Thuu, bom z tobą walczył i zwyciężył.«

»Uważaj więc, by cię ta rzecz nie zabiła. To jest Śmierć! Pamiętaj, że to Śmierć. A tyle siły fatalnej ma w sobie, że zdoła zabić wszystkich ludzi w mojem mieście. Niedługo nią cieszyć się będziesz, Człowieku z Dżungli, ani ty, ani ten, co ci ją odbierze. Siła moja już zgasła, ale ankus dokończy mego dzieła. To jest Śmierć! To Śmierć! To Śmierć!«

Mowgli przelazł przez otwór w murze i rzuciwszy po raz ostatni wzrokiem w głąb jaskini ujrzał, jak Biały Cobra pozbawionemi jadu szczękami kąsał głupie oblicza leżących na ziemi posągów i syczał rozpaczliwie: »To Śmierć! To Śmierć!«

Z radością powitali obaj światło słoneczne; a gdy się ponownie ujrzeli w swojej własnej Dżungli i ankus zalśnił w świetle dziennem

*) Dosłownie: zbutwiały pień drzewa.

tysiącznemi blaskami, uczuł się Mowgli tak szczęśliwym, jak gdy znalazł pęk świeżych kwiatów i ozdobił niemi swoje bujne kędziory.

»Błyszczy się to jeszcze silniej, niż oczy Bagheery,« zawołał pełen zachwytu, kręcąc dokoła rubinem. »Muszę go jej pokazać; ale co myślał Thuu, mówiąc o śmierci?«

»Nie zdołam ci tego wytłumaczyć. Jestem stroskany aż do końca ogona, żeś mu nie dał skosztować ostrza twego noża. Zawsze coś złego musi się zdarzyć w Cold Lairs — pod ziemią i nad ziemią. Ale teraz jestem już głodny. Nie odbędziemy razem polowania?« pytał Kaa.

»Nie; Bagheera musi tę rzecz zobaczyć. Szczęśliwych łowów!« Mowgli odbiegł wśród pląsów, wywijając wielkim ankusem, zatrzymując się czasem w drodze, by go podziwiać, aż przyszedł do tej części Dżungli, gdzie zwykle Bagheera przebywała, i znalazł ją, gdy piła wodę, krzepiąc się po ciężkiem polowaniu. Mowgli opowiedział jej wszystkie zdarzenia od początku do końca, a Bagheera poczęła z ciekawością obwąchiwać ankus od trzonu do ostrza i naodwrót. A kiedy Mowgli powtórzył jej ostatnie słowa Białego Cobry, zamruczała potwierdzająco.

»Więc słowa białego węża były prawdziwe?« pytał Mowgli skwapliwie.

»Urodziłam się w zwierzyńcu królewskim w Oodeypore i mój żołądek wie dobrze, jakimi są ludzie. Wielu z nich zdołałoby dokonać trzech zabójstw w jednej nocy dla jednego czerwonego kamienia.«

»Ależ kamień obciąża tylko rękę. Mój mały, ostry nóż jest lepszy; i — patrz! ten czerwony kamień nie nadaje się do jedzenia. Dlaczegóż o to mieliby się mordować?«

»Mowgli, idź już spać. Żyłeś pomiędzy ludźmi, a — —.«

»Już sobie przypominam. Ludzie zabijają nie z potrzeby, ale aby zaspokoić wrodzone okrucieństwo i sprawić sobie rozkosz. Zbudź

się, Bagheero! Powiedz mi, do czego służy ten ciernisty, ostry przedmiot?«

Bagheera otworzyła do połowy oczy — była bardzo śpiąca — następnie zmrużyła je, uczyniwszy złośliwą minę.

»Ludzie wyrabiają takie rzeczy, aby je potem wbijać w głowy Synów Hathi'ego, aż krew żywym strumieniem wytryśnie. Widziałam to na ulicach w Oodeypore, przed naszemi klatkami. Przedmiot ten nieraz już zakosztował krwi tych zwierząt, które należą do gromady Hathi'ego.«

»Ależ dlaczego wbijają go w głowy słoni?«

»By ich nauczyć Praw Człowieka. Nie mając ani kłów ani pazurów, sporządza człowiek takie rzeczy — i jeszcze o wiele gorsze.«

»Coraz więcej krwi! Wstręt mnie bierze, gdy się zbliżam do przedmiotów, zrobionych ręką ludzi!« rzekł Mowgli z obrzydzeniem. Był przytem także trochę zmęczony ciężarem ankusa. »Gdybym był o tem wiedział, nie byłbym był tego i tknął. Najpierw krew Messuy na powrozach, teraz Hathi'ego! Nie chcę tego dłużej zatrzymywać przy sobie. Patrz!«

Ankus wyleciał szparko z dłoni chłopca i zarył się hakiem o kilkadziesiąt metrów dalej, między drzewami. »Więc ręce moje wolne od Śmierci,« rzekł Mowgli, wycierając dłonie mokrą i świeżą ziemią. »Thuu powiedział, że Śmierć śladem moim pójdzie. Ale on już stary, biały i szalony!«

»Czarny czy biały, śmierć czy życie, chce mi się spać, mały bracie Nie mogę polować przez całą noc, a wyć przez cały dzień, jak niektórzy.«

Bagheera pobiegła do znanej sobie dobrze jaskini, o dwie mile odległej. Mowgli rozsiadł się wygodnie na drzewie, splótł w węzeł kilka lian, prędzej, niż kto pomyśleć zdoła, i za chwilę huśtał się

przyjemnie w tak zaimprowizowanym hamaku, pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Chociaż mu blask dzienny był miłym, wolał jednak mało z niego korzystać, jak to czynili i jego przyjaciele. A skoro go głośne świergoty ptactwa mieszkającego w gałęziach drzewa przebudziły, zapadał znowu zmierzch; a przez ten cały czas śnił chłopak o tych pięknych, lśniących kamieniach, które precz od siebie odrzucił.

»Przynajmniej jeszcze raz spojrzę na to,« zawołał i uchwyciwszy się liany, zsunął się czem prędzej na ziemię; ale Bagheera stała już przy nim. Mowgli słyszał jej węszenie w półmroku.

»Gdzież się podziało to kolczaste ostrze?« zakrzyknął Mowgli.

»Człowiek je zabrał. Oto są ślady.«

»Teraz zobaczymy, czy Thuu powiedział prawdę. Jeśli to Śmierć, tedy ten człowiek umrzeć musi. Chodźmy za nim!«

»Najpierw coś ubij,« rzekła Bagheera. »Próżny żołądek przytępia wzrok, Ludzie idą powoli, a Dżungla jest dość wilgotna, aby zachować każdy ślad, choćby najmniejszy.«

Ubili zwierzynę, skoro się pierwsza sposobność nadarzyła, ale minęły dobre trzy godziny, nim się dosyta najedli, napili i weszli na tropy. Lud Dżungli dobrze wie o tem, że niema na świecie tak ważnej rzeczy, którąby mogła przymusić do pośpiechu w biesiadzie.

»Czy myślisz, że to ostrze obróci się w dłoni człowieka i zabije go?« Mowgli zapytał. »Thuu powiedział, że to Śmierć!«

»Znajdziemy je i zobaczymy,« rzekła Bagheera, biegnąc z głową spuszczoną ku ziemi i wietrząc z uwagą. »Oto jest jedna stopa« (co znaczyło: przechodził tędy jeden człowiek), »a ciężar ankusa wycisnął jej ślad głęboko w ziemi.«

»Hej! To jasne, jak letnia błyskawica,« odpowiedział Mowgli; i pomknęli chyżym biegiem skróś Dżungli, światłem księżyca oblanej, posuwając się śladem dwóch nagich stóp, odbitych na wilgotnej ziemi.

«Tędy biegły prędko,« rzekł Mowgli. »Palce od nóg są rozszczepione.«

Biegli dalej po rozmokłym gruncie. »Dlaczegóż zwróciły się w bok?«

»Czekaj!« zawołała Bagheera i dumnym, wspaniałym skokiem wysadziła się naprzód, ile tylko zdołała: »Pierwszą rzeczą przy niewyraźnych śladach jest: przesadzić je w skoku i nie zostawiać żadnych po sobie, aby całego szukania nie zagmatwać.« A kiedy Mowgli nagle przystanął i nie ruszał się z miejsca, zwróciła się Bagheera do niego, wołając: »Oto drugi ślad stanął naprzeciw pierwszego. To jest już mniejsza stopa, a jej palce zwrócone do środka.«

Mowgli nadbiegł czem prędzej i spojrzał. »To stopa myśliwca z plemienia Gondów,« rzekł po chwili. »Patrz! Tutaj zawadził łukiem o trawę. I to jest przyczyną, dla której pierwszy ślad w bok ucieka. Wielka Stopa uciekała przed Małą Stopą.«

»To prawda,« rzekła Bagheera. »Teraz zaś, jeśli będziemy biegli obok siebie, poplątamy i pomylimy ślady; niechże każde z nas własnym tropem bieży. Ja będę Wielką Stopą, mały bracie, ty Małą Stopą, czyli Gondem.«

Bagheera odskoczyła w tył do pierwszego śladu, a Mowgli biegł tropem nogi, mającej zwrócone do środka palce, tropem małego, dzikiego mieszkańca lasów.

»A więc,« zawołała Bagheera, biegnąc długim łańcuchem wyraźnych odcisków w ziemi, »ja, Wielka Stopa, skręcam tu na bok. Teraz kryję się za temi oto skałami i stoję cicho i nie ważę się ani kroku naprzód postąpić. Wywołaj swoje ślady, mały bracie.«

»Teraz ja, Mała Stopa, podchodzę do skały,« zawołał Mowgli, biegnąc swemi tropy. »Teraz przysiadam pod skałą, wspieram się na prawej ręce, a koniec łuku umieszczam między palcami nogi. Czekam tu długo, bo ślad mojej stopy wyciśnięty głęboko.«

»Ja także,« rzekła Bagheera, kryjąc się za głazem. »Czekam, oparłszy koniec ciernistego ostrza o kamień. Ostrze się ześlizguje, bo na kamieniu szrama. Wywołaj swoje ślady, mały bracie.«

»Jedna, dwie gałęzie i jeden wielki konar odłamane,« rzekł Mowgli stłumionym głosem. »Jakżeż *to* wywołam? Ach! Teraz już wiem! Ja, Mała Stopa, czynię wrzawę, tupię nogami, tak, że Wielka Stopa musi mnie słyszeć.« Cofał się krok za krokiem od skały między gąszcze, podnosząc głos w miarę oddalania się, aż doszedł do małego wodospadu. »Odchodzę — daleko — aż — tam — gdzie — szum — wody — zagłuszá — moje — słowa; tu — staję — i — czekam. Wywołaj swoje ślady Bagheero, Wielka Stopo!«

Wielka pantera poczęła się rozglądać uważnie dokoła, by odkryć, dokąd wiodą wychodzące od skały ślady Wielkiej Stopy. Poczem zawołała:

»Pełznąc na kolanach wykradam się z za głazów i wlokę za sobą cierniste ostrze. Nie widzę nikogo — pędzę. Ja, Wielka Stopa, pędzę, ile mi tchu starczy. Ślady są jasne, niech każde z nas swojemi bieży. Ja pędzę!«

Bagheera pomknęła wzdłuż wyraźnie zaznaczonego szlaku, a Mowgli biegł tropami stopy Gonda. Przez krótki czas było w Dżungli milczenie.

»Gdzie jesteś, Mała Stopo?« zabrzmiał głos Bagheery; a głos Mowgli'ego odebrzmiał z prawej strony, z odległości ledwie pięćdziesięciu metrów.

»Um!« zamruczała, chrząkając, wielka pantera. Obaj biegną równolegle i zbliżają się do siebie coraz to prędzej.

I pomknęli naprzód i przebiegli dalej około pół mili, zawsze w jednakowem od siebie oddaleniu, aż Mowgli, którego głowa nie zwieszała się tak nisko ziemi, jak głowa Bagheery, zakrzyknął. »Spot-

kali się. Szczęśliwych łowów — patrz! Tu stała Mała Stopa, kolano oparłszy o skałę — a tam oto Wielka Stopa.«

W odległości niecałych dziesięciu metrów od nich leżało rozciągnięte na rumowisku pokruszonych skał i kamieni ciało wieśniaka z tych okolic, przeszyte małą, cienką, pierzastą strzałą Gonda.

»Czyż Biały Cobra był naprawdę tak starym i szalonym, mały bracie?« spytała Bagheera łagodnie. »Oto masz przynajmniej jedną Śmierć!«

»Idźmy dalej. Ale gdzież się podział ten cierń czerwonooki?«

»Mała Stopa go zabrała. Oto jeszcze jeden ślad.«

Pojedyncze ślady drobnego, rzeźkiego człowieka, który z ciężarem na lewem ramieniu musiał pędzić z błyskawiczną szybkością, obiegały dokoła niską, suchą trawą obrosłą przestrzeń, gdzie bystremu oku tropicieli każdy odcisk stopy wydawał się tak wyraźnym, jakby był z gorącego żelaza odlany.

Przez chwilę milczeli oboje; wreszcie tropy dobiegły do popiołów ogniska polnego, ukrytego w głębokim jarze.

»Znowu!« zawołała Bagheera i stanęła w jednej chwili nieruchoma, jak kamień.

Ciało małego, chudego Gonda leżało tam z nogami zanurzonemi w popiele.

Bagheera spojrzała badawczym wzrokiem na chłopca.

»Tego dokonano bambusem,« rzekł Mowgli, rzuciwszy okiem na zabitego. »Używałem tej rzeczy na bawoły, gdym służył gromadzie ludzkiej. Ojciec okularników — smucę się szczerze, żem sobie z niego żartował — znał dobrze to wraże plemię, a ja powinienem był mu wierzyć. Czyż nie mówiłem, że ludzie zabijają z okrucieństwa?«

»Ludzie zabijają dla czerwonych i niebieskich kamieni,« odpowiedziała Bagheera. »Zważ dobrze: byłamci ja w królewskim zwierzyńcu w Oodeypore.«

»Raz, dwa, trzy, cztery ślady,« rzekł Mowgli, pochylając się nad popiołem. »Cztery ślady obutych w trzewiki ludzi. Ci nie biegają tak skoro, jak Gondowie. Cóż złego mógł im uczynić ten mały, leśny człowieczek? Patrz, pięciu ich tu stało i naradzało się ze sobą, nim go wkońcu zabili. Wracajmy już, Bagheero! Żołądek mój pełny i tańczy we mnie, jak gniazdo wilgi na wysokiej gałęzi wśród wiatru.«

»Niedobre to polowanie, wypuszczać cało zwierzynę. Idźmy dalej!« rzekła pantera. »Tych ośm obutych stóp nie musiało zajść daleko.«

I pędzili, nie mówiąc do siebie przez godzinę ani słowa, wbiegli wreszcie na szeroki trop mężów, których stopy obute były w trzewiki.

I zrobił się pełny, jasny, gorący dzień, a Bagheera rzekła: »Zwietrzyłam dym.«

»Ludzie wolą jeść, niż biegać,« zauważył Mowgli, wbiegając w trawy lub wynurzając się z zarośli, gąszczów i krzewów młodej Dżungli, które dokładnie badali i przetrząsali. Bagheera, biegnąca po lewej ręce chłopca, wydała nagle jakiś nieokreślony pomruk gardłem.

»Oto znowu jeden, który już nigdy nie będzie żądał pożywienia,« zawołała. Pod krzakiem leżał pęk jaskrawej odzieży, a dokoła rozsypana była mąka.

»Tego także dokonano bambusem,« rzekł Mowgli. »Patrz! Taki biały pył jedzą ludzie. Zadali śmierć temu, który niósł dla nich żywność, a teraz rzucają go na łup sępa Chil'a.«

»To już trzeci,« rzekła Bagheera.

»Muszę naznosić ojcu okularników dużo tłustych, smacznych żab i utuczyć go,« szepnął Mowgli do siebie. »To ostrze na słonie jest samo przez się Śmiercią, a jednak ja tego nie rozumiem!«

»Chodźmy!« zawołała Bagheera.

I ledwie uszli pół mili dalej, usłyszeli, jak wrona Ko, siedząca w gałęziach tamaryndy, pod której cieniem trzech mężów rozciągniętych leżało, zawodziła kraczącym głosem hymn śmierci. W pośrodku koła, pod żelazną płytą, na której leżał czarny, zwęglony podpłomyk z przaśnego ciasta, dymiło się nawpół wygasłe ognisko. A tuż przy ogniu, iskrząc się w świetle dziennem, leżał bogaty w turkusy i rubiny — ankus.

»Ta rzecz zabija z chyżością piorunu; oto i wszystko skończone,« rzekła Bagheera. »Jak poumierali ci ludzie, Mowgli? Niema na nich ani znaku, ani rany.«

Mieszkaniec Dżungli z doświadczenia wie więcej o trujących roślinach i jagodach, niż cały legjon doktorów. Mowgli obwąchał dym, który się unosił z ogniska, ułamał kawałek czarnego podpłomyka, skosztował go i wypluł czem prędzej.

»Jabłko śmierci,« wykrztusił wśród kaszlu. »Ten pierwszy, zabiwszy wprzód Gonda, musiał je wmieszać do strawy *tym*, którzy go zabili.«

»Dobre polowanie, ani słowa! Śmierć pędzi za Śmiercią,« rzekła Bagheera.

Jabłkiem śmierci zwie się w Dżungli bieluń czyli datura, trucizna najgwałtowniejsza w całych Indjach.

»Cóż teraz?« spytała pantera. »Pozostaje *nam* jeszcze pozabijać się w kłótni o to czerwonookie ostrze?«

»Żali ono mówić umie?« szepnął Mowgli do siebie. »Żali gniewa się na mnie, żem je precz od siebie odrzucił? Między nami do niczego złego przyjść nie może, bo pragnienia ludzkie są nam obce Jeśli jednak *to* dłużej tutaj pozostanie, tedy dalej zabijać będzie ludzi, jednych za drugimi, i to z tą szybkością, z jaką orzechy w silnym

wietrze padają. Nie kocham ludzi, ale nawet i ja nie zgodziłbym się na sześć zabójstw w przeciągu *jednej* nocy.«

»Cóż szkodzi? Wszak to *tylko* ludzie. Pozabijali się, bo zabijanie jest dla nich rozkoszą,« rzekła Bagheera. »Ten mały leśny człowiek polował dobrze!«

»Ludzie są podobni do małych szczeniąt; a każde szczenię chętnie skoczy do wody, byle tylko złapać zębami za odbity w niej krążek księżyca. Tutaj *ja* zawiniłem,« rzekł Mowgli, który mówił, jakby już był świadom wszystkiego na świecie. »Żadnych obcych rzeczy, choćby były piękniejsze od kwiatów, nie wniosę już do Dżungli. To zaś« — tu podniósł do góry ankus — »powróci do ojca okularników. Najpierw jednak musimy się wyspać, a obok tych uśpionych spać przecież nie będziemy. I tę rzecz musimy także zakopać; mogłaby nam uciec i znowu sześciu innych pozabijać. Wygrzeb mi jamę pod tem oto drzewem.«

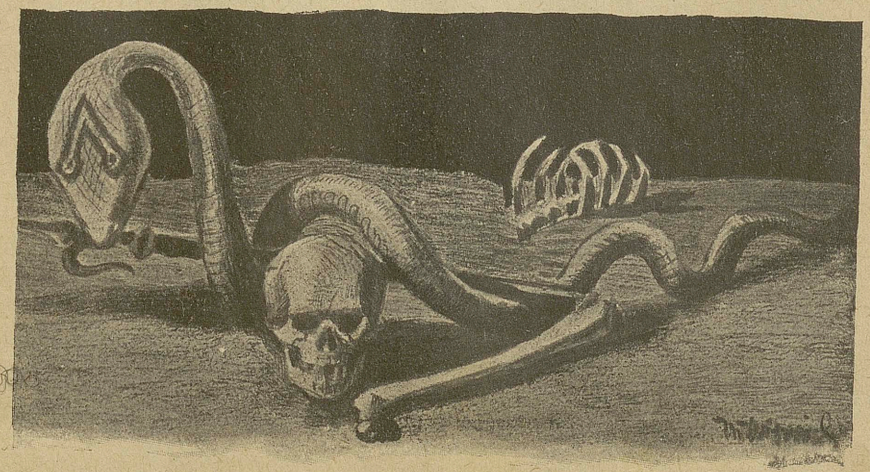

»Ależ, mały bracie,« rzekła Bagheera, zbliżając się do drzewa, »powtarzam ci jeszcze raz, że ankus nic nie winien. Zło wyszło od ludzi.«

»Wszystko mi jedno,« odparł Mowgli. »Wygrzeb głęboką jamę. Gdy się zbudzimy, wyjmę go i odstawię na miejsce.«

. . . . . .

W dwie noce potem, gdy Biały Cobra leżał w ciemnościach jaskini, w smutku pogrążony, pohańbiony, obrabowany i samotny — wfrunął klejnotami lśniący ankus przez otwór w murze i padł na dno złotemi monetami wysłane.

»Ojcze okularników,« zawołał Mowgli (który stanął przezornie poza murem), »wybierz sobie kogoś silnego i młodego ze swej gromady do pilnowania Skarbu króla, aby żaden człowiek nie wyszedł żywy z twej jaskini.«

»Ah-ha! więc on powraca? Mówiłem, że to Śmierć. Dziw mi, że ty jeszcze żyjesz,« zasyczał słabym głosem stary Cobra i owinął się o ankus pieszczotliwie.

»Na wołu, który mnie okupił, nie zdołam ci tego wytłumaczyć. Ta rzecz popełniła sześć zabójstw w przeciągu jednej nocy. Nie wypuszczaj jej nigdy z jaskini!«

PIEŚŃ MŁODEGO MYŚLIWCA

Zanim Paw Mor zatrzepoce, nim wrzask Małp powita dzień,
Nim Sęp Chil jak grom się rzuci łup ujrzawszy w krzach,
Zwolna zcicha płyną Dżunglą jakieś szepty, jakiś cień —
Ach, to Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

Zdradnie błoniem się przesuwa Mrok, co czyha, Mrok co czuwa,
Szmer to wzbierze, to gdzieś zgaśnie w cichych tchach,
To w upiorny jęk uderzy, aż ci wszystek włos się zjeży —
Ach, to Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

Nim z za gór wypłynie księżyc, zanim skał osrebrzy stok,
Nim sierść zwierząt zamigoce w lśniącej rosy łzach,
Wnet się zrywa wiatr gorący i dogania cię krok w krok —
Ach, to Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

Na kolana! i z świszczącej rzuć cięciwy pocisk tnący,
Dzidą gąszcze siecz, co toną w mroku rdzach,
Lecz patrz! ręka ci omdlewa, a twe lico krew zalewa —
Ach, to Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

Kiedy chmury pędzą burzę, w boru pni strzaskanych zwał,
Gdy rozpęka się w ulewie, w grzmotach niebios dach,
Lecą z góry gromy, huki, rozpętane w zniszczeń szał —
Ach, to Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

Gdy na brzegi wód strumienie niosą żwiry i kamienie,
Gdy źdźbło każde ujrzysz krwawe w błyskawicy skrach,
Zgroza oczy ci rozszerza, serce w piersiach ci uderza
Młotem: Strach, myśliwcze młody, to jest Strach!

QUIQUERN

Ludzie ze Wschodniego Lodu roztapiają się jak śnieg —
Żebrzą cukru, żebrzą kawy; idą tam, gdzie biały człek.
Ludzie z Zachodniego Lodu kraść się uczą, czynić źle;
Futra kupcom odsprzedają, białym ludziom dusze swe.

Ludzie Południowych Lodów wielorybich żądni skór;
Ich kobiety postrojone, ich namioty pełne dziur.
Ludzie z Najstarszego Lodu wysunięci na sam przód —
Ząb narwala jest im włócznią: — to kresowy Ziemi lud.

Przekład.

»Przecież otworzył oczy. Patrz!«

»Zawiń go nazad w skórę. Ho! ho! Tęgi to będzie kiedyś pies. Za cztery miesiące nadamy mu imię.«

»A jakie?« spytała Amoraq.

Wąskie źrenice Kadlu potoczyły się bystro po chacie ze śniegu ubitej, skórami wewnątrz usłanej, aż zatrzymały się na czternastoletnim Kotuku, który siedząc na tapczanie wyrzynał guzik z zęba konia morskiego. »Nazwij go ode mnie,« rzekł Kotuko, wykrzywiając twarz w uśmiechu. »Niedługo będę go potrzebował.«

Kadlu roześmiał się również i wyszczerzył zęby, aż drobne jego oczy utonęły w tłuszczu spłaszczonych policzków, podczas gdy rozdrażniona matka szczenięcia skomliła niecierpliwie i zrywała się do skoku, chcąc ujrzeć swe dziecię, które w kłębku skór foczych schowane, kołysało się tu i tam nad jasno płonącym kagankiem z tranu. Kotuko wziął się znowu do wyrzynania, a Kadlu wrzucił stos zwiniętych w kłębek psich uprzęży do komory, z jednej strony do domu przylegającej, zdjął ze siebie ciężką łowiecką odzież, cisnął ją do fiszbinowej siatki, nad drugim kagankiem wiszącej, rzucił się

jak długi na tapczan i począł gryźć kawałek zamarzłego mięsa foki, aż Amoraq, jego małżonka, podała mu codzienną strawę, składającą się z gotowanego mięsa i zupy z krwi. Kadlu wybrał się był równo z brzaskiem dnia do dziur foczych, o ośm mil stąd odległych i powrócił ubiwszy trzy ogromne foki. W połowie długiego śnieżystego korytarza czy tunelu, do wnętrznych drzwi chaty wiodącego, rozlegały się ujadania i wściekłe zgrzytania kłów: to psy używane do zaprzęgu, ukończywszy całodzienną pracę, toczyły bójki o najcieplejszy kącik.

Gdy wrzaski się wzmogły, podniósł się Kotuko zwolna z tapczana, pochwycił bat z ośmiocalowego elastycznego pręta z fiszbinu i dwudziestostopowego plecionego rzemienia, wsunął się czem prędzej w głąb korytarza, gdzie nagle takie wrzaski, ujadania, hałasy powstały, jakby go psy chciały żywcem rozszarpać; to jednak nie było nic innego, jak tylko ich codzienna modlitwa przed obiadem. Kiedy czołgając się zdążał na drugi koniec korytarza, pół tuzina kudlastych głów odprowadzało go pożądliwemi oczyma, aż dotarł do pewnego rodzaju szubienicy ze szczęk wielorybich, na której wisiało mięso dla psów; szerokiem ostrzem dzidy rozpłatał zamarzłe mięso w wielkie kawały; i czekał, w jednej ręce mając bicz, w drugiej mięso. Poczem przywoływał każde zwierzę po imieniu — najsłabsze najpierwej, a biada psu, który naruszył porządek, gdyż bicz z trzaskiem błyskawicy upadał na jego grzbiet i wyrywał dobry kawał skóry i sierści. Każde zwierzę warczało chwilę niecierpliwie, chwytało swoją porcję i, rzuciwszy się na nią żarłocznie, odbiegało jak strzała w głąb korytarza, a chłopak stał na śniegu w krwawem ponurem świetle Zorzy Północnej i wymierzał sprawiedliwość. Nakoniec został przywołany przodownik, który miał zawsze utrzymywać porządek w zaprzęgu, i temu wydzielił Kotuko podwójną porcję mięsa i dodatkowy raz biczem.

»Ach!« zawołał Kotuko, zwijając w kłębek biczysko, »mam ja jeszcze jednego, który wisi teraz nad kagankiem, ale kiedyś dobrze drzeć się będzie. *Sarpok!* Do środka!«

Przyczołgał się z powrotem pomiędzy zbitemi w kupę psami, otrzepał śnieg z odzieży młotkiem fiszbinowym, który Amoraq za drzwiami chowała, strącił z powleczonego skórą dachu sople lodu, które na dół z górnej masy śniegu pospadały, i zwinął się w kabłąk na tapczanie. Psy w korytarzu chrapały i skomliły przez sen, chłopczyk-niemowlę, które Amoraq owinęła w futrzany kaptur, trzepało nóżkami krztusiło się i kwiliło, a matka świeżo-nazwanego szczenięcia leżała przy boku Kotuka, skierowawszy uporczywy wzrok na kłębek skór foczych, który ciepło i bezpiecznie wisiał nad szerokim, żółtym płomieniem kaganka.

A wszystko to działo się na dalekiej północy, poza Labradorem, poza cieśniną Hudsona, gdzie olbrzymie wód prądy wielkie kry pędzą — na północ od półwyspu Melville — na północ nawet od cieśnin Fura i Hekla — na północnem wybrzeżu Ziemi Baffina, gdzie nad lodami cieśniny Lankastra sterczy wyspa Bylota, podobna do odwróconej misy z pudding'u. Na północ od cieśniny Lankastra niewiele krajów znanych, prócz północnego Devonu i Ziemi Ellesmera; ale nawet i tam mieszka lud zrzadka rozsiedlony, tuż u bram wiodących do Bieguna.

Kadlu był Inuitą — wybyście go nazwali Eskimosem — a jego plemię, składające się ogółem z trzydziestu ludzi, należało do szczepu Tununirmiutów — »ludu, co mieszka na granicy wszystkiego«. Na mapach to opustoszałe wybrzeże jest nazwane zatoką Navy Board, ale nazwa Inuitów jest lepszą, bo kraj ten rzeczywiście leży na najdalszych kresach znanego świata. Przez dziewięć miesięcy w roku są tam tylko lody i śniegi, wichrzyce i burze, i zimno, którego sobie

nie wyobrazi ten, który nigdy nie widział termometru opadającego niżej zera. Przez sześć z dziewięciu miesięcy zalegają kraj cały nieprzebite ciemności, i to właśnie czyni go tak straszliwym. Podczas trzech miesięcy letnich panują mrozy co drugi dzień i co noc; i wtedy poczynają śniegi z południowych stoków spływać, karłowate wierzby puszyste pęki wypuszczać, parę kwiatków i trawek udaje, że zakwita; przestrzenie nadbrzeżne, pełne żwiru i krągłych kamieni, ciągną się aż po otwarty przestwór morza, a gładkie skały lub w pręgi pocięte głazy podnoszą czoła nad ziarniste śniegi. Ale to wszystko mija w przeciągu kilku tygodni, a straszliwa zima zakuwa znowu kraj cały w swoje lodowe obroże; tymczasem zaś na morzu lód strzela i pęka, to zapada w głąb ze sykiem, to w pianach wypryska do góry, to zderza się i rozsadza, to wwierca się i przewierca, aż wreszcie zamarza na dziewięć stóp głęboko, ciągnąc się od lądu aż na pełne morze.

W zimie ruszał Kadlu na krańce lądu, do dziur foczych, a gdy foka wynurzyła się dla zaczerpnięcia oddechu, zabijał ją włócznią. Foka musi mieć otwarte przestwory wodne dla połowu ryb, a lody ciągnęły się czasem ośmdziesiąt mil bez przerwy od najbliższego wybrzeża. Na wiosnę powracał on i jego plemię od tającego lodu na opoczysty ląd, gdzie szyli chaty ze skór, chwytali w pułapki ptactwo wodne lub zakłuwali młode foki, wygrzewające się na słońcu. Poczem zwracali się na południe w głąb Ziemi Baffina za śladem renifera i wyławiali ze stu rzeczek, strumieni i jezior, w które obfituje wnętrze lądu, coroczne zapasy łososia; we wrześniu jednak i w październiku powracali napowrót, aby jak co roku, urządzać łowy na piżmowca i foki. Te podróże odbywali oni na saniach, zaprzężonych psami, przebiegających dziennie dwadzieścia lub trzydzieści mil, lub na wielkich, ze skór sporządzonych »łodziach niewieścich«, w których

psy i małe dzieci leżały u nóg wioślarzy, a niewiasty tęskne zawodziły śpiewy, podczas gdy statki przesuwały się od przylądka do przylądka po zimnej, po szklistej wodzie. Wszystkie przedmioty zbytku, znane Tununirmiut'owi, pochodzą z południa — falą przygnane drzewo na płozy do sań, żelazo w sztabach na ostrza do harpunów, noże stalowe, kociołki z cyny, w których lepiej można gotować, niż w dawnych glinianych misach, skałki, krzesiwa, ba nawet zapałki, barwne wstążki do przyozdabiania włosów kobiecych, małe i tanie zwierciadła i czerwone sukno do bramowania kaftanów ze skóry renifera. Kadlu handlował przepysznym mleczno-białym rogiem narwala i zębami piżmowca (cenionemi jak perły) z Inuitami z Południa, a ci odsprzedawali je łowcom wielorybów lub misjonarzom, których placówki rozłożyły się nad cieśninami Exeteru i Cumberlandu. Tak łączą się ze sobą ogniwa wzajemnej wymiany, iż zdarzyć się może, że kociołek od kucharza okrętowego w »Bendy Bazar« nabyty, kończy podróż nad kagankiem z tranu gdzieś na mroźnych krańcach koła biegunowego.

Kadlu, będąc dobrym łowcą, był bogatym w żelazne harpuny, noże, sidła na ptaki, wszystkie te rzeczy, które uprzyjemniają pobyt tam w górze, na tych mroźnych krańcach ziemi, nadto był głową swego szczepu, czyli, jak tam powiadają, »mężem, który wszystko wie z własnego doświadczenia«. Ta godność nie nadawała mu żadnej władzy, mógł chyba czasem doradzić przyjaciołom zmianę terenów polowania; z sytuacji korzystał tylko Kotuko, a to w ten sposób, że ociężałym i leniwym trybem Inuitów wodził rej między chłopcami, gdy się gromadzili razem nocą w świetle miesięcznem, aby grać wspólnie w piłkę lub śpiewać dziecięce pieśni, na cześć Zorzy Północnej ułożone.

Ale w czternastym roku życia każdy Inuita uważa się już za dorosłego męża, a Kotukowi znudziło się już zastawiać sidła na ptaki

i niebieskie lisy lub pomagać niewiastom w żuciu skór foki lub renifera (w ten sposób wyprawia się je najlepiej), podczas gdy mężczyźni trawili czas na polowaniu. Zapragnął on już odwiedzać *quaggi*, Dom Śpiewaków, gdzie gromadzili się myśliwi na tajemne misterja, a *angekok*, czarownik, rzucał w ich szpiki przejmujące dreszcze najrozkoszniejszej trwogi, gdy po zgaszeniu lamp słyszeli, jak Duch Renifera stąpał głośno po dachu, lub widzieli włócznię, co wyrzucona w ciemności, wracała napowrót, w krwi gorącej skąpana. Zapragnął on z poważną miną głowy rodziny ciskać ciężkie obuwie do fiszbinowej siatki, zapragnął w ścisłem kółku myśliwych brać udział w pewnego rodzaju domowej rulecie, składającej się z gwoździa i cynowej misy. Zapragnął naraz tysięcy najrozmaitszych rzeczy, ale starsi go wyśmiewali, mówiąc: »Zaczekaj, aż posiedzisz we worku, Kotuko. Polować nie znaczy jeszcze upolować.«

Teraz jednak, kiedy ojciec nadał psu imię jego, sprawy przybrały lepszy obrót. Inuita nie jest na tyle marnotrawcą, aby dobrego psa oddawał synowi, który nie umie z nim się obchodzić; a Kotuko był pewnym, że pod tym względem najwięcej ze wszystkich rozumu posiada.

Gdyby był mały szczeniak nie posiadał organizmu wprost żelaznego, byłby był zdechł z pewnością od ciągłego szturkania i popychania. Kotuko sporządził na niego małą uprząż z linką pociągową i gonił z nim po całem domostwie krzycząc: »Aua! Ja aua!« (Idź na prawo.) »Choiachoi, ja choiachoi!« (Idź na lewo.) »Ohaha!« (Stój.) Piesek nie był zbytnio zachwycony tą gonitwą, ale była ona jeszcze prawdziwem niebem rozkoszy wobec tego, czego doznał przy pierwszem zaprzężeniu do sanek. Usiadł sobie spokojnie na śniegu i bawił się szleją z foczej skóry, która szła od jego uprzęży do *pitu*, wielkiej kierowniczej liny, na pałąku sań przymocowanej. W tej chwili zaprzęg ruszył, a ciężkie dziesięciostopowe sanie runęły mu na grzbiet i wlokły

go za sobą po śniegu, a Kotuko się śmiał i śmiał i śmiał, aż łzy spłynęły mu po twarzy. Odtąd dzień po dniu bicz trzaskał i świstał nad plecami psa, świstał i trzaskał jak wicher śnieżny na ławicach lodów, a towarzysze szczerzyli na niego zęby, bo nie znał się jeszcze na robocie, a uprząż ścierała mu skórę do krwi i odtąd już nie mógł sypiać obok Kotuka, lecz musiał poprzestać na najzimniejszym kącie w korytarzu. Srogie nastały wtedy czasy dla szczeniaka.

Ale i chłopiec się uczył, a uczył się tak szybko jak i pies; choć kierowanie sankami może doprowadzić do rozpaczy lub przyprawić o szaleństwo. Każdego psa zaprzęga się — najsłabszego najbliżej woźnicy — zapomocą specjalnego rzemienia, który biegnie popod lewą przednią nogą zwierzęcia do liny kierowniczej, gdzie bywa przymocowywany zapomocą pewnego rodzaju pętli i guzika, tak, że trzeba ledwie jednego ruchu ręki, by rzemień odczepić i psa uwolnić. Ten sposób zaprzęgania jest konieczny ze względu na młode, niewyćwiczone psy, którym niejednokrotnie rzemień, dostawszy się między tylne nogi, w biegu aż do kości się wrzyna. Prócz tego psy mają ten zwyczaj, że w pełnym pędzie składają *zawsze* wizyty sąsiadom; skacząc tam i napowrót między uprzężą. Wreszcie staczają bójki, a to, co z tego wynika, jest bardziej powikłane niż mokra siatka niewodu nazajutrz po połowie. Ale mądre użycie długiego bata może zawsze dużo dopomóc. Każdy Inuita szuka chluby w mistrzowskiem używaniu długiego bicza; lecz, jak łatwo trafić w oznaczone miejsce na ziemi, tak trudno trafić w plecy rwącego się w zaprzęgu psa, gdy sanki pędzą po lodzie z chyżością błyskawicy. Jeżeli się głośno wykrzyczy jakiego psa z powodu »oddawania wizyt«, a osmaga się przypadkowo innego, tedy ci dwaj zrywają się do zażartej bójki, a cały zaprząg musi stać w miejscu. A jeśli ktoś jedzie z towarzyszem i rozmawia z nim w drodze, lub jedzie sam i śpiewa sobie pieśń,

psy się zatrzymują, obracają, siadają na tylnych łapach i słuchają z ciekawością rozmowy czy pieśni. Nieraz też sanki Kotuka przewróciły się w śniegu, ilekroć chłopiec zapomniał zahamować je przed wstrzymaniem; i niejedno biczysko połamał i niejeden rzemień potargał, zanim powierzono mu zaprząg z ośmiu psów i lekkie sanie. Wtedy uznał się osobą wielkiej dostojności i powagi i dzierżąc w obrotnej dłoni lejce, pełen porywającej buty i zuchwałego serca rwał przed siebie, pędził szalenie, lecz i z nieporównaną lekkością po czarnym, po gładkim lodzie — ślizgał się z chyżością sfory psów, goniącej bez upamiętania. I przelatywał z chyżością wiatru dziesięć mil aż tam, gdzie foki poczyniły otwory w lodowej powierzchni, aby móc odetchnąć; a stanąwszy na terenie myśliwskim, odczepiał od *pitu* rzemień czarnego przodownika, najzręczniejszego psa w zaprzęgu. A skoro tylko pies zwietrzył otwór w lodzie, przewracał Kotuko sanie dnem do góry i wbijał parę odpiłowanych rogów jelenich do śniegu, aby niemi unieruchomić sanie. Poczem posuwał się cicho, tajemniczo naprzód i czychał, aż foka zjawi się w otworze, a gdy się zjawiła, przebijał ją włócznią, umocowaną na sznurze, i wyciągał ją na brzeg lodu, gdzie już czekał czarny przodownik i wlókł ją wraz z chłopcem do czekających sań. Była to chwila, w której psy w zaprzęgu rozpoczynały wyć i pienić się, ale świszczący, giętki bat Kotuka, którego razy piekły jak rozpalone żelazo, tak długo śmigał i świszczał nad nimi, aż foka zesztywniała na mrozie. Powrót do domu był wielką uciążliwością. Obładowanemi saniami trzeba było kierować z wielką ostrożnością po chropawym lodzie, tymczasem psy zamiast ciągnąć usiadały sobie spokojnie na tylnych łapach i rzucały pożądliwe, głodne spojrzenia na ubitą fokę.

Nareszcie wjeżdżali do wsi po ubitej, śnieżystej, wydeptanej drodze; psy wlokły się leniwie po dźwięczącym lodzie z pospusz-

czanemi łbami i podniesionemi ogonami — a Kotuko rozpoczynał zawodzić: »Angutivun tai-na tau-na-ne taina« (pieśń powracających myśliwców), a ze wszystkich chat odpowiadały mu radosne głosy powitania, rozlegające się smętnie pod czarnem, pod gwiaździstem niebem.

Skoro pies Kotuko dojrzał i osiągnął możliwie największy wzrost, począł się zabawiać na swój sposób. Wywalczał sobie krok za krokiem pierwszeństwo w zaprzęgu, aż gdy pewnego pięknego dnia przy wieczerzy pokonał czarnego psa-przodownika, chwyciwszy go za kark i tym sposobem zdegradował go, uznał chłopiec Kotuko ten czyn za »walkę o pierwszeństwo«. I odtąd przywiązywał go do długiego rzemienia, przeznaczonego dla psów-przodowników, a on biegł sobie w odległości pięciu stóp od towarzyszy; wtedy pierwszym jego obowiązkiem było tłumić doraźnie wszelkie swary i bitki w zaprzęgu i nosić na szyi ciężką obręcz z miedzianego drutu. W chwilach uroczystych otrzymywał w izbie domostwa gotowaną strawę i czasami nawet mógł spocząć na tapczanie obok Kotuka. Był on dzielnym fok łowicielem i umiał powstrzymać w zapamiętałym biegu piżmowca, szarpiąc mu łydy i obszczekując go dokoła. Stawiał nawet czoło — a to jest ze strony psa pociągowego najwyższym dowodem odwagi i brawury — stawiał nawet czoło wychudłemu wilkowi Północy, którego psy północne więcej się obawiają z zasady, niż wszystkich innych biegających po śniegu tworów. On i pan jego — (zwykłe psy pociągowe nie były dla nich odpowiedniem towarzystwem) — polowali razem, dzień po dniu i noc po nocy — chłopiec pozawijany w skóry i dziki żółty zwierz o długich kudłach, wąskich źrenicach i lśniąco-białych zębach. Wszystko, o co się Inuita troszczyć musi i zabiegać, ogranicza się do żywności i skór, potrzebnych dla niego i dla rodziny. Niewiasty wyprawiają skórę, szyją z niej odzież i czasami pomagają mężom chwytać drobniejszą zwierzynę do pułapek; ale wszystkich zapasów pożywienia — a jedzą tam niezwykle dużo — muszą dostarczać mężczyźni. Gdy pożywienia braknie, nie można go tam od nikogo ani kupić, ani uprosić, ani wyżebrać. Wtedy trzeba umierać.

Ale Inuita nie myśli o takich ostatecznościach, chyba że go los do tego zmusi. Kadlu, Kotuko, Amoraq i owo niemowlę, które trzepotało nóżkami w futrzanym kapturze i cały dzień żuło kawałki foczego tłuszczu, tworzyli najszczęśliwszą w świecie rodzinę. Pochodzili oni z łagodnej bardzo rasy — Inuita wybucha gniewem bardzo rzadko i dzieci prawie nigdy nie bije — z rasy, która zupełnie nie rozumiała słowa »kłamać«, a tem mniej »kraść«. Byli oni zadowoleni, jeśli udało się im wydrzeć beznadziejnym, grozą pojącym mrozom zasoby potrzebne do utrzymania się przy życiu; więc uśmiechali się do siebie swym obleśnym uśmiechem, opowiadali sobie wieczorami tajemnicze historje o duchach i czarownicach i wśród dni oświetlonych światłem kaganka zawodzili bez końca długie przewlekłe pieśni kobiet: »Amna aya, aya amna, ach! ach!« naprawiając przytem odzież i przyrządy myśliwskie.

Ale raz zaskoczyła ich straszliwa zima i — wszystko zawiodło. Tununirmiut'owie powrócili z corocznych wypraw na łososie i pobudowali chaty na świeżym lodzie na północ od wyspy Bellota, aby, skoro tylko morze lepiej przymarznie, wyruszyć na foki. Przyszła jednakże wczesna, dzika jesień. Przez cały wrzesień wyły tylko najstraszliwsze burze, które zdruzgotały lód w tem miejscu, gdzie miał tylko cztery lub pięć stóp grubości, popędziły go ku lądom i spiętrzyły wielką, na dwadzieścia mil szeroką, z poszarpanego, bryłowatego lodu zaporę, poza którą żadne sanki przedostać się nie zdołały. Wybrzeże owo, na którem foki w zimie łowiły ryby, leżało dwa-

dzieścia mil za zaporą i nie było dostępne dla Tununirmiut'ów. Mimo tego wszystkiego byliby jakoś przebiedowali zimę z zapasami łososia, nagromadzonym tranem i chwytaną w pułapki zwierzyną, ale w grudniu zdarzyło się, że jeden z myśliwych natrafił w drodze na *tupek* (namiot ze skór), a w nim znalazł trzy niewiasty i młodą dziewczynę, bliskie śmierci. Ich szczep, który przybył tu z dalekiej północy i uganiał na zwinnych małych łodziach za długorogim narwalem, zginął wśród lodów. Kadlu mógł tylko to uczynić, że porozdzielał niewiasty między chaty owej na lodach zbudowanej wioski, bo żaden Inuita nie odważyłby się odmówić strawy cudzoziemcowi. Wszakże nie zna dnia ani godziny, kiedy jemu samemu przyjdzie drugich o coś poprosić. Amoraq przyjęła liczącą około czternastu lat dziewczynę do swego domu, aby z niej mieć coś w rodzaju pomocnicy czy sługi. O ile można było wnosić z kroju jej śpiczastego kaptura i kańczastych wzorów na kamaszach z reniferowej skóry, pochodziła z kraju Ellesmera. Dzieweczka nie widziała jeszcze dotychczas kociołków cynowych do gotowania i naładowanych drzewem sani; ale Kotuko-chłopiec i Kotuko-pies polubili ją serdecznie.

Podówczas prawie wszystkie lisy pouciekały na południe gromadami, a nawet rosomak, ów mały niezgrabny złodziej krajów podbiegunowych, nie raczył już odwiedzać szeregów próżnych pułapek, które Kotuko pozastawiał. Plemię straciło kilku najtęższych myśliwców, którzy polegli w krwawych zapasach z piżmowcem, więcej przeto mieli do czynienia pozostali. Kotuko wyprawiał się dzień po dniu zaprzęgiem, złożonym z lekkich sanek i sześciu lub siedmiu najtęższych psów, wpatrując się, aż go oczy bolały, w przejrzyste miejsca na lodzie, gdzie foka mogła wydrapać sobie otwór. Pies-Kotuko węszył na wszystkie strony, a wśród zamarzłej ciszy pól lodowych mógł Kotuko-chłopiec słyszeć jego nawpół stłumione, lecz zaciekłe

ujadanie, rozlegające się w odległości trzech mil przy znalezionej dziurze foczej tak wyraźnie, jakby dochodziło z pobliża. Gdy pies znalazł otwór w lodzie, chłopiec usypywał obok mały wał ze śniegu dla ochrony przed mroźnym, do szpiku kości przejmującym wiatrem, i tam czekał dziesięć, dwanaście, dwadzieścia godzin, aż foka wynurzy się na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu, a oczy wbijał w mały punkt, uczyniony tuż nad otworem, który miał być celem dla harpunu; mając u stóp rozścieloną skórę foczą, wkładał nogi do *tutareang* — do worka, o którym przedtem myśliwcy wspominali. Worek ten ochrania nogi od drżenia, kiedy się musi niecierpliwie czekać i czekać i czekać na wynurzenie czujnej foki. Wyczekiwanie takie nie łączy się koniecznie z podnieceniem, ale zrozumiemy łatwo, że takie siedzenie we worku w temperaturze 40 stopni niżej zera jest najuciążliwszą pracą dla Inuity. A skoro foka została zabita, Kotuko-pies przyskakiwał czem prędzej, wlokąc za sobą uprząż, i pomagał swemu panu wlec zdobycz do sań, gdzie leżały psy zziębnięte i głodne na popękanym lodzie wśród wyjącej wichury.

Jedna foka nie mogła starczyć na długo, gdyż każde usta we wiosce miały prawo do nasycenia, a ani kości, ani żył, ani skóry nie marnowano. Strawę, dawaną dotychczas psom, obracano teraz na pożytek ludzi, a Amoraq karmiła sforę kawałkami letnich skórzanych namiotów, wydartemi z pod tapczanów, a sfora wyła i wyła bez ustanku; nie zasypiając, czuwała wśród głodu. I poznano wnet po kagankach w chacie, że głód niedaleko. W dobrych sezonach, kiedy tranu było poddostatkiem, światło w czółenkowatych miseczkach strzelało na dwie stopy wysoko — miłe, żółte a soczyste. Teraz płomień nie sięgał i sześciu cali: Amoraq zniżała knot troskliwie, gdy płomień żywszem na chwilę strzelił zarzewiem, a oczy całej rodziny śledziły bojaźliwie ruchy jej ręki. Groza śmierci głodowej tam, na

północy, wśród straszliwych mrozów i lodów nie przeraża tak, jak groza śmierci w ciemnościach. Każdy Inuita obawia się ciemności, która go tłoczy bez ustanku przez sześć miesięcy w roku; a kiedy płomień kaganka słabo w chacie płonie, napawają się umysły ludzi trwogą i niepewnością.

Lecz gorsze rzeczy miały nastąpić.

Wygłodzone psy zgrzytały kłami i wyły zawzięcie w korytarzu, podnosząc błyszczące ogniem obłędu oczy ku zimnym gwiazdom i wietrząc w lodowatym wichrze noc po nocy. A kiedy wycie ustawało, zapadała na wszystko cisza tak gęsta i tłocząca, jak lawina, co domy w śniegu grzebie, i wtedy ludzie słyszeli szum własnej krwi, toczącej się przez cienkie tętnice uszne i bicie swego serca tak wyraźnie, jak głuchy odgłos bębna czarodzieja, rozlegający się wśród śnieżnych bezkresów. Jednej nocy pies-Kotuko, który tego dnia był niezwykle ponury w zaprzęgu, zerwał się nagle i uderzył głową o kolano Kotuka. Kotuko pogłaskał go, ale pies począł raz po raz głową uderzać jak szalony. Wtedy zbudził się Kadlu, pochwycił w dłonie ciężki wilczy łeb zwierzęcia i zajrzał mu przenikliwie w głąb bielmem powleczonych źrenic. Pies zaskomlił, jakby go opadł niezwykły lęk, i trząść się począł między kolanami Kadlu'a. Sierść mu się zjeżyła na grzbiecie i warknął groźnie, jak gdyby ktoś obcy stał przy bramie; poczem zaszczekał radośnie, przewrócił się na grzbiet i począł gryźć obuwie Kotuka, jak małe, igrające szczenię.

»Co to jest?« spytał Kotuko, którego nagle zdjęła niezwykła trwoga.

»Choroba,« odpowiedział Kadlu. »Psia choroba.« Pies-Kotuko podniósł łeb do góry i zawył żałośnie.

»Nigdy tego nie widziałem. I cóż się z nim stanie?« pytał dalej Kotuko.

Kadlu wzruszył nieznacznie ramionami i przeszedł naukos przez izbę, szukając krótkiego oszczepu. Wielki pies powiódł za nim wzrokiem, zawył znowu, i, podkuliwszy pod siebie ogon, wśliznął się do korytarza, gdzie mu się rozstąpiły na prawo i lewo wszystkie psy, czyniąc wygodne przejście. A skoro wypadł na śnieg, począł ujadać z wściekłością, jakby wpadł na ślady piżmowca i wyjąc, miotając się zawzięcie, przepadł w ciemnościach. Słabość jego nie była wodowstrętem lecz poprostu zupełnem szaleństwem. Zimno straszliwe, głód, na dobitek ciemności przewróciły mu całkiem w głowie: a skoro tylko straszliwa choroba psia raz się ukaże, tedy poczyna się szerzyć z zastraszającą szybkością w całym zaprzęgu. Następnego dnia łowów zachorował drugi pies, a Kotuko zabił go na miejscu w chwili, gdy począł kąsać i rwać na sobie uprzęże. Potem czarny pies, zwany drugim, niegdyś dzielny przodownik, począł gwałtownie szczekać, wyobrażając sobie, że wpadł na ślady renifera, a gdy go Kotuko odczepił od *pitu*, rzucił się na gardło bryle lodu i pomknął po śniegu, jak i jego poprzednik, ciągnąc za sobą uprząż. Od tego czasu nie zaprzęgano psów do sanek. Przeznaczone one były do czego innego i domyślały się, do czego. A kiedy je uwiązano i z ręki karmiono, wtedy w oczach nieszczęśliwych stworzeń przebijała się rozpacz i trwoga. Na dobitek wszystkiego rozpoczęły stare baby opowiadać straszne historje, mówiąc, że spotkały cienie łowców, ostatniej jesieni poległych, a te prorokowały, że nadejdą straszne i opłakane czasy.

Kotuko trapił się stratą dobrego psa więcej, niż czemkolwiek innem, bo każdy Inuita, choć je zazwyczaj dużo, umie jednak pościć, gdy wypadnie. Ale mimo to głód, ciemności, zimno, trawiły coraz bardziej siły chłopca, który wnet rozpoczął dosłuchiwać się w głowie jakichś niezwykłych głosów i widzieć nieistniejących ludzi kątami

podłużnych źrenic. Jednej nocy — gdy wysiedział się właśnie dziesięć długich godzin przy »ślepej« foczej dziurze, czekając na zdobycz i wracał chwiejnym niepewnym krokiem do domu — oparł się przypadkiem o głaz, którego podstawę tworzył cienki kruchy cypel lodu. To wyprowadziło głaz z równowagi, więc potoczył się ciężko po lodzie, a Kotuko uskoczył w bok, aby zejść z drogi ciężarowi, który z piskiem i sykiem dalej się toczył.

Dla Kotuka było to wystarczającem. Wzrósł on w tej wierze, że każda skała, każdy głaz ma swego ducha opiekuńczego (inua); ducha tego przedstawiono sobie zawsze w postaci niewieściej, zwanej *tornaq*, a jeśli jaka *tornaq* chciała człowiekowi dopomóc, tedy toczyła się za nim w swem kamiennem mieszkaniu i zapytywała go, czy pragnie jej opieki. (Podczas wiosennego tajania śniegów skały i głazy, zagrzebane w lodach, poczynają się toczyć po lodzie, możecie przeto łatwo odgadnąć, skąd się wzięło podanie o ożywionych kamieniach.) Kotuko słyszał szum krwi w uszach, jak to zresztą cały dzień słyszał, nabrał przeto przekonania, że to *tornaq* do niego przemówiła. Nim jeszcze doszedł do domu, był najpewniejszym w świecie, że duch głazu wiódł z nim długą rozmowę, a ponieważ cały lud wierzył w możliwość tego, więc nikt mu się nie sprzeciwiał.

»Powiedziała do mnie: ‚Oto lecę, oto zeskakuję z mego miejsca na lodzie,‘ wołał Kotuko z obłąkaniem w oczach, pochyliwszy się naprzód w pół-ciemnej chacie. »Powiedziała: ‚Chcę ci być przewodniczką.‘ Powiedziała: ‚Chcę cię zaprowadzić do dobrych otworów w lodzie.‘ Jutro wyruszam, a *tornaq* mnie poprowadzi.«

Zjawił się *angekok*, czarodziej wioski, a Kotuko opowiedział mu całe zdarzenie po raz drugi. I nie straciło na powtórzeniu. »Idź, gdzie cię powiodą *tornait* (duchy głazów), a powrócisz wnet z obfitą żywnością,« rzekł *angekok*.

Dziewczyna z Północy leżała cały dzień na tapczanie blisko kaganka, jadła bardzo mało i nie odzywała się wcale, ale kiedy nazajutrz Kadlu i Amoraq poczęli ładować małe ręczne sanki dla Kotuka, zaopatrując je w przybory łowieckie i taką ilość słoniny i mięsa, na jaką ich stać było, chwyciła w dłoń linę kierowniczą i stanęła odważnie przy boku chłopca.

»Twój dom jest moim domem,« rzekła, gdy drobne sanki skrzypiąc toczyły się po śniegu w głąb strasznej, mroźnej, podbiegunowej nocy.

»Mój dom jest twoim domem,« odpowiedział Kotuko, »ale sądzę, że niedługo oboje zejdziemy do Sedny.«

Sedna jest Królową Podziemia, a Inuici wierzą, że każdy człowiek po śmierci musi przesiedzieć przynajmniej rok w strasznem królestwie owej ponurej Ksieni, zanim się dostanie do Quadliparmiut, Kraju Szczęścia, gdzie mrozów niema wcale, a renifery same na zawołanie do rąk przychodzą.

A ludzie we wiosce wołali: »*Tornait* przemówiły do Kotuka. One mu pokażą otwór w lodzie, a on nam przywiezie foki.« Ale głosy ich wnet przebrzmiały w zimnie i ciemnościach, a Kotuko i dziewczyna, przytuliwszy się do siebie ramionami, ciągnęli sanki, lub przepychali je skróś lodów, kierując kroki ku Polarnemu Morzu. Kotuko opierał się stanowczo przy tem, że *tornaq* głazu kazała mu iść na Północ, więc szli na Północ w kierunku Renifera Tuktuqdjung — tej gwiazdy, którą my zwiemy Wielką Niedźwiedzicą.

Europejczyk nie byłby przeszedł i pięciu mil dziennie po drodze zawalonej bryłami lodu, pełnej jam i rozpadlin; tych dwoje jednak znało takie ramion poruszenia, które przesuwają sanie lekko po spiętrzonych stosach lodu, miało sposoby wyciągania sań z przepaści, wiedziało, ile siły należy użyć, aby kilku spokojnemi uderzeniami włóczni utorować sobie drogę, którą zaspy śnieżne głębokiemi

warstwami zasypały. Dziewczyna nie mówiła nic, tylko zwiesiła głowę, a długie frendzle rosomakowego futra na jej sobolowej odzieży trzepotały z wiatrem i muskały ciemną i szeroką jej twarz. Nad nimi zwieszało się głębokie, czarne jak aksamit niebo, powleczone ciemnoczerwonemi pasami na widnokręgu, gdzie żarzyło się zimne światło wielkich gwiazd, jak światło lamp ulicznych. Od czasu do czasu oblewała zielona fala Zorzy Północnej szczyty czarnego nieba, chwiała się przez pewien czas tu i tam niby wielka chorągiew i znikała; lub też meteor lśniący wylatywał z ciemności i zapadał w ciemność, rozsypując morze iskier po drodze. I wtedy mogli widzieć przetoki i brózdy na bezkresnej powierzchni lodów, zasypanej plamami i cętkami rozmaitej barwy — czerwonej, miedzianej, błękitnej; ale wnet zimny blask stałych i jasno świecących gwiazd przesycał wszystko jakąś mroźną, stalową szarością. Powierzchnia lodów, jak sobie przypominacie, była spiętrzona i popękana od burz jesiennych i wyglądała jak zamrożone trzęsienie ziemi. Były tam wyrwy i szczeliny i otchłanie, ni to szyby kopalń w lodzie wykutych, głazy i bryły przyrosłe do kory lodowej; wydęte tafle starego czarnego lodu, które, przez wichrzyce pod korę wpędzone, wynurzyły się teraz znowu; okrągłe odwały lodu; do kos podobne brzegi lodowców, których krańce wyostrzył zimny, żrący wicher podbiegunowy i zapadłości o powierzchni trzydziestu lub czterdziestu akrów, leżące pięć lub sześć stóp poniżej poziomu płaszczyzn lodowych. Bryły można było zdaleka wziąć za foki, morsy, wywrócone sanie, lub grono polujących myśliwców, ba nawet za białego Niedźwiedzia-Upiora, który ma dziesięć nóg; choć jednak te fantastyczne zjawiska rysowały się z całą łudzącą zmysły wyrazistością, przecież nie dolatywał z głębi tych niezmiernych przestrzeni nawet najsłabszy głos, nawet echo najsłabszego głosu. A skróś tego milczenia i tej pustyni, w upiornych, to znagła strze-

lających, to gasnących blaskach, posuwały się sanki z dwojgiem ludzi, podobne zjawisku nadprzyrodzonemu: wizji końca świata na końcu świata.

Gdy się zmęczyli, budował Kotuko t. zw. pół-chatę, małą lepiankę ze śniegu, w której siadali skuleni i rozgrzewali nad płonącym kagankiem zamarzłe mięso. Gdy wypoczęli, rozpoczynali podróż na nowo — podróż trzydziestu mil, aby ledwie o pięć na północ się posunąć. Dziewczyna milczała uparcie, ale Kotuko mruczał sam do siebie lub donośnym głosem śpiewał pieśni, których się nauczył w Domu Śpiewaków — pieśni lata, pieśni renifera i łososia — a wszystkie stały w krzyczącem przeciwieństwie do ich losu, do ich obecnego położenia. Utrzymywał on, że słyszy za sobą szept ducha *tornaq* i, wyrzucając z dzikim okrzykiem ramiona w górę, miotając groźby i przekleństwa, wbiegał jak szalony na najbliższe wzgórze lodowe. I rzeczywiście, szalonym był Kotuko w owym czasie, ale dziewczyna wierzyła, że prowadzi go duch opiekuńczy i że wszystko wreszcie na dobre się zmieni. Nie zdziwiła się przeto, gdy Kotuko, któremu oczy płonęły w głowie jak rozpalone kule, powiedział jej przy końcu czwartego dnia podróży, że jego *tornaq* idzie za nimi po lodzie w postaci dwugłowego psa. Dziewczyna spojrzała tam, gdzie Kotuko palcem wskazywał, i rzeczywiście zdało się jej, jak gdyby jakaś istota zsunęła się nagle w wądoły z lodu. »Istota« owa nie miała w sobie wprawdzie nic ludzkiego, ale przecież wszyscy wiedzą, że duchy głazów zjawiają się najczęściej w postaci niedźwiedzia, foki lub jakiego innego zwierzęcia.

Mógł to być zatem biały Niedźwiedź-Upiór we własnej osobie albo i co innego; ale Kotuko i dziewczyna byli tak bardzo głodni, że wzrok im zupełnie nie dopisał. Od kiedy opuścili wioskę, nie upolowali ani nie złowili żadnej zwierzyny; ich zapasy nie mogły już

i na tydzień starczyć, a tymczasem nadciągała sroga burza. Burza w kraju podbiegunowym może trwać i dziesięć dni bez przestanku, a być wtedy na otwartem polu — to śmierć pewna. Kotuko zbudował lepiankę tak dużą, by do niej i sanki wciągnąć można (nie jest bowiem rzeczą mądrą rozłączać się ze swoją żywnością), a skoro już ostatni głaz śniegu, szczyt dachu tworzyć mający, na górze przymocowywał — ujrzał nagle z odległości pół mili jakąś istotę, która wałęsała się po brzegu i wpatrywała się weń uporczywie. Powietrze było zawiane mgłą, a owa istota zdała się mieć czterdzieści stóp długości, dziesięć stóp wysokości i dwudziestostopowy ogon; zarysy zjawiska chwiały się i drżały w ruchliwej mgle. Dziewczyna zobaczyła je również, ale zamiast wydać okrzyk przestrachu, wyrzekła ze spokojem: »To Quiquern! Cóż dalej nastąpi?«

»Chce ze mną mówić,« zawołał Kotuko, ale nóż drżał mu w dłoni, gdy mówił, bo chociaż każdy z chęcią wierzy w przyjaźń obcych sobie, wstrętnych duchów, to jednak włosy mu wstają na głowie, gdy się ma z niemi osobiście zetknąć. Quiquern jest to widmo olbrzymiego psa, nie mającego ani zębów, ani sierści, który żyje na dalekiej Północy i błąka się po kraju; zjawienie się tej poczwary wróży o wielkich zdarzeniach, które mogą przynieść mieszkańcom albo radość albo smutek. Ale nawet i czarownika ogarnia trwoga przed Quiquern, który psy szaleństwem zaraża. Podobnie jak Niedźwiedź-Upiór ma i on kilka par nadliczbowych nóg — sześć lub ośm — a twór, który tam we mgle czynił susy i podskoki, miał więcej nóg, niż pospolity pies.

Kotuko i dziewczyna wpełzli czem prędzej do chaty. Oczywista, że gdyby Quiquern chciał, mógłby był im chatę roznieść nad głową — zawsze jednak była to uspokajająca myśl, że się ma między sobą a ciemnością grubą śnieżną ścianę. I zawyła wnet straszliwa burza,

a wiatr zaświszczał donośnie jak lokomotywa i dął przez trzy dni i trzy noce bezustanku z jednakową gwałtownością, nie ustając ani na chwilę. A oni, trzymając kaganek między kolanami, podsycali płomień, żuli napół rozmarznięte mięso foki i przez siedmdziesiąt dwie godziny bez przerwy spoglądali bezmyślnie na tumany czarnej sadzy, osiadającej na powale lodu. Dziewczyna obliczała zapasy sanek — mogły były wystarczyć tylko na dwa dni; Kotuko oglądał żelazny trzon i węzły z żył renifera u swego harpuna, oglądał włócznię na foki i strzały na ptaki.

Nic innego nie było do roboty.

»Sedna już blisko nas — bardzo blisko,« zaszeptała dziewczyna. »Za trzy dni poukładamy się na wieczny sen i udamy się w drogę do niej. Więc twoja *tornaq* dopomóc nam nie chce? Zaśpiewaj pieśń *angekok'a*, a może tem ją przywołasz?«

I Kotuko uderzył w wysoki przeciągły ton czarodziejskiej pieśni, a burza poczęła się uspokajać. W połowie pieśni dziewczyna drgnęła nagle i położyła dłoń, uwięzioną w grubą rękawicę, a potem i głowę na powierzchnię lodu. Kotuko poszedł jej przykładem i tak klęczeli oboje, patrzyli w siebie uporczywie i słuchali wszystkiemi nerwami. Chłopiec oderwał cienką fiszbinową drzazgę z siatki na ptaki, która leżała w sankach, zastrugał ją, wetknął do drobnej szpary w lodzie i przymocował zapomocą rękawicy. Mając tedy przyrząd tak czuły jak igła magnesowa, nie nadsłuchiwali już, tylko przypatrywali się uważnie. Drobna strzałka drgała przez chwilę, czyniąc ledwie widzialne wychylenia, następnie wibrowała przez parę sekund, wracała do nieruchomości i wibrowała znowu, przechylając się tym razem w inną stronę kompasu.

»Za prędko!« szepnął Kotuko. »Gdzieś daleko stąd musiała się oderwać kra olbrzymia.«

Dziewczyna wskazała palcem na drgającą strzałkę, pokręciła głową i rzekła: »To musi być wielkie jakieś pękanie. Uważaj na lód pod nogami. Słyszysz, jak tam puka?«

A kiedy znowu uklękli, usłyszeli jakieś dziwne stłumione jęki czy pukanie pod ziemią. Czasem głos był taki, jakby zaskomliło małe ślepe szczenię, wiszące nad płonącym kagankiem w ciepłej izbie; czasem jakby się kamień ze zgrzytem toczył po lodzie, ryjąc w nim bruzdy, lub znowu jakby to było głuche, stłumione warczenie dalekich bębnów; wszystkie jednak te dźwięki były głuche i przewlekłe, jakby dochodziły hen... zdaleka i były przez tubę przepuszczane.

»Nie ułożymy się cicho na wieczność i nie przejdziemy spokojnie do Sedny. Oto lody, lody pękają pod nami! *Tornaq* oszukała nas. Musimy umrzeć!«

To wszystko może się wam wydać niedorzecznem, w rzeczywistości jednak niemałe niebezpieczeństwo wisiało nad nimi. Burza, która przez trzy dni z niepohamowaną szalała wściekłością, poruszyła głębokie tonie zatoki Baffina, porwała wód głębokie zlewy i rzuciła je w stronę południa na krawędzie przestronych pól lodowych, które ciągną się na zachód od wyspy Byloťa. Prócz tego głęboki a rwący prąd od cieśniny Lankastra bieżący, począł pędzić zwały lodów, które nie zdołały zamarznąć w powierzchnię; i owe lody poczęły bombardować skorupę, a szalejące morze podminowywało ją od spodu. To, co Kotuko i dziewczyna słyszeli, było ledwie słabem echem walki, rozgrywającej się w odległości trzydziestu lub czterdziestu mil, a wymowna i czujna strzałka drżała od niewidzialnego wstrząśnienia.

Ale, powiadają Inuici, jeśli się lód po głębokim zimowym śnie obudzi, nie można przewidzieć, co się zdarzy, bo wtedy twarda i ciężka powierzchnia zmienia postać tak szybko, jak biegnąca przez niebo

chmura. Owa burza była widocznie przedwczesną wiosenną burzą i — wszystko było możliwe.

Mimo to byli nasi podróżnicy spokojniejsi teraz, niż przedtem. Pękające lody wróżyły im koniec niepokojących wyczekiwań i dojmujących cierpień. Gdy lody pękają, jawią się wnet całe tłumy duchów, koboldów i czarownic, uganiające po trzeszczących bryłach lodowych, mogli więc i oni zejść do Sedny w towarzystwie dzikich tworów, w stanie najwyższych podnieceń. Skoro po burzy wyszli z chaty, dźwięki idące od strony horyzontów wezbrały, a lód jęczał i brzęczał dokoła.

»Ono jeszcze czeka,« rzekł Kotuko.

Na szczycie pagórka usiadł ów Twór o ośmiu nogach, którego przed trzema dniami ujrzeli — i wył straszliwie.

»Chodźmy za nim,« rzekła dziewczyna. »Może on zna drogę, która nie wiedzie do Sedny,« ale biorąc za linę od sań zachwiała się na nogach z osłabienia. Tymczasem Twór począł powoli i ociężale iść przez popękane lody, kierując się na zachód w stronę lądu, a chłopiec i dziewczyna szli za nim, podczas gdy stłumione odgłosy pękania i głuche uderzenia toczyły się coraz bliżej a bliżej od strony morza. Skorupa lodów była popękana i porozsadzana we wszystkich kierunkach na trzy lub cztery mile w głąb lądu, a wielkie lodowały, mające około dziesięciu stóp grubości a dwudziestu akrów powierzchni, chwiały się, uderzały na siebie, lub wypiętrzone rzucały się na krawędzie niezdruzgotanych jeszcze lodów, a prąd je porywał, unosił, rozsadzał. Te łamiące wszystko kry były, że się wyrażę, przednią strażą wojsk, przez morze na stałe lody pędzonych. Nieustanny szum i huk tych głazów zagłuszał zupełnie trzask drobniejszych płyt lodowych, które wichry pędziły kolejno pod skorupę, jak gdyby ktoś wsuwał szybko karty pod biały obrus na stole. Gdzie

woda była płytsza, tam lody wdzierały się na siebie, aż wreszcie ostatnia bryła zepchnięta pięćdziesiąt stóp pod wodę, dotykała mulistego dna, a morze wałami lodów oszańcowane odbarwiało się, wreszcie nieustannym naciskiem i naporem wypychało naprzód ruchome masy. Prócz brył lodowych i twardej powłoki można było widzieć prawdziwe góry lodów, niesione przez prądy i wichry — góry od wybrzeży Grenlandyi płynące, lub od północnych stoków cieśniny Melville oderwane. Olbrzymy te toczyły się uroczyście, a fale łamały się z szumem o ich boki, miękkie i białe wyrzucając piany, a one parły przed siebie szturmując o stałe lądy tak właśnie, jak jakaś dawna staroświecka flota pełnemi mknąca żaglami. Ale niejedna taka góra, która, jakby się zdawało, świat cały z posad wyważyć i popędzić przed sobą zdoła, dotarłszy do brzegów, zmieniała nagle kierunek, zatapiała się bezradnie w głąb i wracała wśród świstu i syku wód, wśród kipiących śnieżną pianą bałwanów, wyrzucając w górę fale zamarzłej wody; niejedna zaś bryła mniejsza i węższa wrzynała się odrazu w skorupę lodu, wyrzucając gwałtownie na obie strony odwały ważące po kilka tonn, potężne głazy lub złomy, wywiercała szczerbę na milę długą, wreszcie zatrzymywała się w druzgocącym wszystko biegu. Jedne spadały z góry jak miecze, wyrzynały w skorupie długie kanały o poszarpanych brzegach, a inne rozpryskiwały się w olbrzymie, ciężkie kry, po których wnet morze przelewało się, szumiąc pełnym, pienistym odpływem. To przesuwanie się lodów, ich napór, nacisk, zderzanie i popychanie, odbywało się wzdłuż całej północnej krawędzi pól lodowych, jak tylko oko zasięgnąć zdołało. Z miejsca, gdzie stał chłopiec z dziewczyną, wydawało się to całe zjawisko elementarne tylko jakiemś nieokreślonem, niewyraźnie szumiącem falowaniem wzdłuż horyzontu, które się z każdą chwilą coraz bardziej zbliżało, a z oddali dolatywało do uszu naszych podróżników jakieś głuche

dudnienie, podobne do huku armat, przez mgły stłumionego. To wskazywało, że cała powierzchnia lodów została wtłoczona między twarde jak żelazo brzegi wysepki Bylot'a i oderwana od południowych lądów.

»Tego jeszcze nigdy nie było,« rzekł Kotuko, wytrzeszczając pełne obłąkania oczy. »Jeszcze nie nadszedł czas na to. *Teraz* przecież nie mogą pękać lody!«

»Idź za *tem!*« zawołała głośno dziewczyna, wskazując palcem na tajemniczą istotę, która napoły biegnąc, napoły utykając, oddalała się od nich. I poszli, ciągnąc za sobą ręczne sanki, podczas gdy huk pękających lodów nadchodził bliżej i bliżej. Wreszcie cała powierzchnia lodów dokoła nich poczęła trzeszczeć i pękać we wszystkich kierunkach, a rysy na lodzie pootwierały się ze zgrzytem paszczęki wilczej. Lecz tam, gdzie ów zagadkowy Twór się zatrzymał, na wzgórzu spiętrzonych, rozsypanych dokoła lodowych głazów, pięćdziesiąt stóp nad poziom wzniesionych, była nieruchomość i cisza. Kotuko rzucił się naprzód z dziką gwałtownością, pociągnął za sobą dziewczynę i wdarł się na szczyt wzgórza. Rozgwary lodów grzmiały coraz głośniej a głośniej dokoła, ale wzgórze nie drgnęło nawet w posadach; i wtedy to dziewczyna, spojrzawszy pytająco w oczy chłopca, ujrzała, jak zgiętą w łokciu ręką uczynił wymowny ruch do góry i przed siebie; ruch ten oznaczał u Inuitów ląd stały w kształcie wysepki. Tak, stałym lądem było to wzgórze, na które wyprowadził ich ów zagadkowy, utykający Twór — małą wysepką o granitowych skałach i piaszczystem wybrzeżu, zakutą w lód jak w pancerz, iż odróżnić jej nie było można od lodów na powierzchni morza leżących; zawsze jednak mieli pod nogami ląd stały, a nie zdradliwe lody! Uderzanie lodów i odbijanie się ich od brzegów wysepki uwydatniało jej właściwe granice, a miła oku piasz-

czysta, na północ wybiegająca ławica, odrzucała na obie strony zwarte masy kry, jak pług odrzuca skiby krajanego ugoru. Zachodziła wprawdzie jeszcze obawa, aby podruzgotana i pokruszona skorupa lodu nie wcisnęła się na piasek i spiętrzywszy się, nie uniosła ze sobą wierzchołka wyspy, ale Kotuko i dziewczyna nie troszczyli się o to wcale; zbudowali sobie tylko chatę ze śniegu, spożyli pewną część zapasów i usiedli, przysłuchując się spokojnie trzeszczeniu lodów, które wściekłe i rozgniewane oporem gotowały się do nowego szturmu, olbrzymim nawracając hufem.

Tymczasem znikł gdzieś tajemniczy Twór, a Kotuko skuliwszy się przy płonącym kaganku począł opowiadać w najwyższem podnieceniu o swej władzy nad duchami. Szaloną tę improwizację przerwała w połowie młoda dziewczyna, która nagle wybuchła gwałtownym śmiechem, śmiejąc się bezustanku, śmiejąc się aż do łez.

Z poza jej ramienia, wsuwając się cal za calem do wnętrza chaty, wyglądnęły dwie głowy, jedna żółta, druga czarna — głowy dwóch okrutnie zawstydzonych i zaniepokojonych psów. Był to pies-Kotuko i czarny przodownik. Oba psy były tłuste, wyglądały doskonale i cieszyły się zupełnie zdrowemi zmysłami; ale były ze sobą połączone w nader ciekawy sposób. Gdy czarny przodownik wybiegł z domu i rzucił się na oślep w głąb ciemnością okrytych lodowych pól, miał na sobie całą uprząż. Po drodze musiał się zapewne spotkać z psem-Kotuko, musiał z nim igrać lub walczyć, gdyż jego rzemień zaplątał się tak silnie w miedzianą obręcz Kotuka, że żaden z psów nie mógł dostać rzemienia zębami i rozgryźć go. I tak były oba spętane ze sobą na zawsze. Ta okoliczność, a nadto możność wolnego polowania po szerokich przestrzeniach, musiała je uleczyć z szaleństwa. Były bowiem zupełnie zdrowe.

Dziewczyna popchnęła zawstydzone zwierzęta do Kotuka i zanosząc się od śmiechu, zawołała: »Oto Quinquern, który nas na stały ląd zaprowadził. Spojrzyj na jego ośm nóg i dwie głowy!«

Kotuko rozciął rzemień, a uwolnione psy skoczyły ku niemu radośnie i usiłowały mu wytłumaczyć, jakim sposobem wróciły do rozumu. Kotuko przeciągnął dłonią po ich krągłych, dobrze wypasionych grzbietach i rzekł z uśmiechem: »One znalazły pożywienie! Sądzę, że nie tak prędko zejdziemy do Sedny. Moja *tornaq* je zesłała. Wyzdrowiały zupełnie.«

Tymczasem psy, które musiały całemi tygodniami razem biegać i polować, przywitawszy się z Kotukiem, rzuciły się wściekle na siebie i wnet zawrzała krwawa bójka we wnętrzu chaty. »Głodne psy nie gryzą się nigdy,« zauważył Kotuko. »One musiały złowić fokę. Chodźmy spać. Żywność na pewne znajdziemy.«

A skoro się obudzili, ujrzeli na północnem wybrzeżu wysepki otwarty, falujący łagodnie przestwór wody i kry, zwarte masy ku lądowi pędzące. Szum pierwszej fali jest najmilszym dla ucha Inuity, bo mówi, że Wiosna już w drodze. Więc Kotuko i dziewczyna ujęli się za ręce i uśmiechali się do siebie; pełne i dźwięczne granie fal między lodami przypominało im dalekie ongiś wyprawy na renifery i łososie i cudną woń świeżorozkwitłych wierzb. A kiedy tak patrzyli hen, na nieskończone wód płaszczyzny i gubili oczy w nieskończonym bezkresnym obszarze, poczęła się piana między lodami ścinać — tak potężne były mrozy; ale na horyzoncie ukazał się szeroki, krwawy blask, a był to blask słońca tonącego za pasem horyzontu; a chociaż blask ten podobny był raczej do ziewnięcia wśród snu niż do przebudzenia i trwał ledwie kilka krótkich chwil — zawsze jednak oznaczał zmianę roku. Inaczej być nie mogło; i chłopiec z dziewczyną wiedzieli o tem dobrze.

Za chatą zastał Kotuko oba psy w walce o zabitą fokę, która przypłynęła w te strony za rybami, obficie do zatoki przez burzę naniesionemi. Foka ta była pierwszą z dwudziestu czy trzydziestu fok, które w ciągu bieżącego dnia wylądowały na wyspie, i, zanim morze ponownie powlekło się lodem, igrały całe setki czarnych, żywych łbów na mieliznach, przesuwając się zwinnie między pływającą krą.



Och, jakąż wielką, jakąż niewypowiedzianą rozkoszą było raczyć się znowu tłustą wątrobą foczą, wypełniać kaganek żółtym tranem tak obficie, że aż się przelewało, i puszczać płomień trzy stopy w górę! — ale skoro tylko świeży lód stał się dostatecznie twardym, obładowali Kotuko i dziewczyna sanie swoje obfitym łupem i zaprzągłszy psy, ruszyli do domu zaniepokojeni o losy wioski i wszystkich w niej żyjących. Mrozy były wielkie, ale łatwiej jest przecież kierować sankami, obładowanemi ciężką zdobyczą, niż szukać jej całemi dniami o głodzie. Przed odjazdem zakopali nasi podróżnicy dwadzieścia pięć ubitych fok głęboko w śniegu, tuż nad wybrzeżem morza, i wracali do swego szczepu. Drogę wskazywały im psy, bo Kotuko wytłumaczył im dokładnie, czego się od nich żąda; a chociaż na drodze nie było żadnych znaków ani kamieni granicznych, po dwóch dniach forsownej jazdy zziajane zwierzęta zaszczekały radośnie przed wioską. Z wioski odpowiedziały im tylko trzy psy; inne zostały już zjedzone, a chaty były prawie ciemne. Ale skoro Kotuko zawołał »Ojo!« (gotowane mięso), odpowiedziały mu słabe wycieńczeniem głosy, a kiedy zaczął wywoływać mieszkańców po imieniu, nie brakło nikogo.

W godzinę później w chacie Kadlu strzelały tłuste żółte płomienie kaganków wysoko do góry, w kotłach wrzała gorąca woda, misy pełne smacznego mięsiwa syczały na ogniu, z pułapu spadały obfite krople tającego śniegu, bo Amoraq wydawała ucztę dla całej wsi; małe chłopię żuło smaczne kawałki świeżego tłuszczu, a myśliwi opychali się zwolna, ale dokładnie smacznem, gorącem mięsem. Kotuko i dziewczyna opowiedzieli cały przebieg swej podróży. Psy zaś, które brały udział w tej wyprawie, siedziały między nimi, a ilekroć w ciągu opowiadania usłyszały swoje imię, nadsłuchiwały uważnie, poczem spuszczały głowy, złe na siebie i mocno zawstydzone. Pies, który

przeszedł szaleństwo a potem wyzdrowiał, jest, jak twierdzą Inuici, na zawsze od tej choroby zabezpieczony.

»Tak więc Tornaq nie zapomniała o nas,« rzekł Kotuko. »Burza wyła, lody pękały, a foka uganiała za rybami, które wicher zapędził do zatoki. Nowe dziury focze oddalone stąd o dwa dni drogi. Niechże wyprawią się jutro dzielni myśliwi i przywiozą do wsi foki, które upolowałem — dwadzieścia pięć tłustych, w śniegu zagrzebanych fok! A skoro je pozjadamy, uczynimy powszechną wyprawę na foki aż hen ... na krańce lodów.«

»Cóż *ty* uczynisz?« spytał czarodziej wioski głosem, jakim zwykle przemawiał do Kadlu, najbogatszego z Tununirmiutów.

Kadlu spojrzał wymownie na dziewczynę z Północy i odpowiedział spokojnie: »*My* zbudujemy dom.« I wyciągnął rękę na północny zachód, gdyż w tym właśnie kierunku od chaty ojcowskiej osiedla się u Inuitów ożeniony syn, lub córka zamężna.

Ale dziewczyna odwróciła ręce dłońmi do góry i smutno wstrząsnęła głową. Wszak była cudzoziemką, dzieckiem znalezionem i nie mogła wnieść żadnego wiana mężowi.

Wtedy Amoraq zerwała się z tapczanu i poczęła zrzucać dziewczynie na kolana najrozmaitsze przedmioty — lampy kamienne, żelazne skrobaczki do wyprawiania skór, cynowe kociołki, skóry zwierzęce, bramowane zębami piżmowca, igły do zszywania płótna żaglowego, jakich używają marynarze — a wszystko to utworzyło tak bogatą wyprawę, jaką niewiele Inuitek otrzymało z domu rodzinnego. Więc dziewczyna skłoniła głowę aż do ziemi, serdeczną przejęta wdzięcznością.

»A i te także!« rzekł z uśmiechem Kotuko, wskazując na psy, które tuliły zimne, wilgotne pyski do policzków młodej dziewczyny.

»Ach,« rzekł wkońcu *angekok*, chrząkając znacząco, jak gdyby to on właśnie wszystko tak mądrze obmyślił i do skutku doprowadził.

»Skoro Kotuko opuścił wioskę, udałem się do Domu Śpiewaków i odśpiewałem czarodziejskie pieśni. Śpiewałem długie noce bez przestanku, wzywając Ducha wielkiego Renifera. *Mój* to śpiew wywołał burzę, która zdruzgotała białe lody, *mój* to śpiew zapędził psy do Kotuka, gdy go ciężkie kry już przywalić miały. *Mój* śpiew zapędził fokę do zatoki śladem wielkich lodowych głazów. Ciało moje leżało wprawdzie bezwładnie w *quaggi*, ale mój duch unosił się nad lodami, kierował chłopcem, psami i wszystkiem, co się stało. *Ja* dokonałem wszystkiego.«

Ponieważ wszyscy byli objedzeni i senni, więc nikt się nie sprzeciwiał; *angekok* uraczył się jeszcze jednym kawałem świeżego mięsa i zasnął obok drugich w ciepłej, jasnej, tranem pachnącej chacie.

. . . . . .

Kotuko, który rysował doskonale w stylu Inuitów, wydrapał obrazy, przedstawiające te nadzwyczajne przygody, na podłużnej kościanej tabliczce, opatrzonej dziurką na końcu. Gdy zaś w roku Cudownej Zimy ruszał z dziewczyną na północ do kraju Ellesmera, zostawił tę tabliczkę u Kadlu, który zgubił ją na brzegach jeziora Netellingu pod Nikosiringiem, gdzie sanki jego rozbiły się pewnego lata. Tam znalazł ją następnej wiosny pewien Inuita i sprzedał mieszkańcowi Imigenu, który sprawował urząd tłumacza na statku wielorybim w zatoce Cumberlanda; od tego zaś odkupił ją Hans Olsen, który był później kwatermistrzem na wielkim parostatku, odwożącym turystów na przylądek Nordcap w Norwegji. Po skończonym sezonie wyruszył ów parowiec do Londynu i Australji, zatrzymał się w drodze na wyspie Ceylon, i tam sprzedał Olsen ową tabliczkę złotnikowi Syngalezowi za dwa imitowane szafiry. Ja znalazłem ją na śmietniku pewnego domu w Colombo i przełożyłem od początku do końca.

ANGUTIVUN TINA

Oto jest wolny przekład Pieśni Powracających Myśliwców, którą zwykli śpiewać mężczyźni po upolowaniu foki. Inuici są niezmordowani w nieskończonem powtarzaniu refrenów tej pieśni.

Rękawice od skrzepłej stwardniały nam krwi,
Na odzieży biały pył śniegu —
Wieziem fokę do domu — nasz łup, nasz łup!
Z nad białego lodowców brzegu.

Au jana! Aua! Oha! Haq!
Wyje sfora w szalonym biegu,
Ostro trzaska bat, każdy wraca rad
Z nad białego lodowców brzegu.

Wytropiliśmy fokę wśród lodu jam,
Gdy się cicho skradała od spodu,
Oznaczyliśmy cel i czyhaliśmy tam,
Czyhali na brzegach lodu.

I podnieśliśmy włócznie, gdy wynurzył się zwierz,
Ugodziliśmy weń — bez zawodu!
I igraliśmy z nim i zabiliśmy go
Zabili na brzegach lodu.

Rękawice od skrzepłej stwardniały nam krwi,
W oczy bije nam chmura śniegu;
Hej! wracamy my już do żon i do chat
Z nad białego lodowców brzegu!

Au jana! Aua! Oha! Haq!
Wyje sfora w szalonym biegu —
Niewiast wita nas tłum, a my wieziem im łup
Z nad białego lodowców brzegu.

RUDE PSY

Za nasze białe, królewskie noce — noce dzikiego opętania,
Bujania, wietrzenia, tropienia, ścigania!
Za nieskażoną świtu woń, zanim niebo rosę uroni!
Za pęd szalony w polu — w mgle — gdy łup się wymyka pogoni!
Za krzyk towarzyszy, gdy z zuchwałą zwierzyną
w dziki puszczą się bój,
Za nocy rozkosz, nocy znój!
Za sen po pracy, za dom swój:
Śpieszmy do walki, śpieszmy na bój —
Na bój!

Od czasu, jak wieś padła pod racicami i kopytami rozgniewanych plemion Dżungli, rozpoczął się dla Mowgli'ego najprzyjemniejszy okres w życiu. Miał bowiem wewnętrzne przekonanie, że ukarał winnych; a cała Dżungla darzyła go przyjaźnią, gdyż cała Dżungla czuła przed nim trwogę. To, co widział, słyszał lub zdziałał w ciągu swoich długich wędrówek po Dżungli, starczyłoby na wiele, wiele opowieści tak długich, jak ta opowieść, którą teraz czytacie. I tak nie dowiecie się nigdy, jak spotkał się z oszalałym słoniem z Mandli i uciekł przed nim, ze słoniem, który zabił dwadzieścia dwa woły ciągnące jedenaście srebrną monetą naładowanych wozów do rządowego skarbu i rozsypał świecące rupje po ziemi; jak walczył na bagniskach północy całą noc z krokodylem Dżakalą i złamał ostrze swego noża na twardym grzbiecie potwora; jak znalazł nowy i dłuższy nóż na karku człowieka, przez rozwścieklonego dzika zabitego, i jak w odpłacie za nóż puścił się w pogoń za dzikiem i zabił go; jak podczas wielkich głodów dostał się pod kopyta wałęsających się dokoła trzód, które go prawie na śmierć stratowały; jak ochronił milczącego Hathi'ego od pułapki, na której dnie tkwił pal zaostrzony, i jak nazajutrz wpadł

sam do zręcznie nastawionej pułapki, i jak Hathi połamał i pokruszył grube drewniane pale, wznoszące się nad nim; jak doił dzikie bawolice w moczarach; — jak — —

Ale trzymajmy się jednej rzeczy. Ojciec-wilk i matka-wilczyca poumierali, a Mowgli, zawaliwszy wielkim głazem otwór macierzystej jaskini, zaśpiewał nad nimi Hymn Śmierci, Baloo się postarzał i zniedołężniał, a nawet Bagheera, która miała nerwy ze stali a muskuły z żelaza, nie tak sprężyście odbywała łowy. Akela z szarego zrobił się białym od starości; żebra mu mocno wystawały, a chodził, jakby miał członki drewniane, a Mowgli polował dla niego. Ale młode wilczki, dzieci rozbitej seeoneejskiej gromady, pasły się, podrastały i rozmnażały, a że było ich tam około czterdziestu — młodych silnych lecz niesfornych (bo bez dowódcy) pięciolatków — rozkazał im Akela, by się trzymały razem, słuchały Prawa i biegały w gromadzie z dowódcą na czele, jak to Wolnemu Ludowi przystało.

Mowgli nie wypowiedział swego zdania w tej sprawie, bo jadł już nieraz kwaśne owoce i znał drzewo, na którem rosną; ale skoro Phao, syn Phaony (ojciec jego był Szarym Tropicielem za czasów przodownictwa Akeli), wywalczył sobie w gromadzie pierwszeństwo i został przodownikiem wedle Prawa Dżungli, skoro pod niebem zabrzmiały dawne hasła i dawne śpiewy gromady, przychodził i Mowgli do Skały Rady, by budzić w duszy dawne wspomnienia. A skoro kiedy raczył przemówić, milczała cała gromada, dopóki nie skończył; zajmował przytem miejsce na skale obok Akeli, nad Phaonem. Były to dnie szczęśliwych łowów i bezpiecznego snu. Żaden obcy nie śmiał wcisnąć się w Dżungle, które lud Mowgli'ego — tak nazywano całą gromadę — zamieszkiwał, a młode wilki nabierały sił i tuszy, a wiele wilcząt przynoszono na oględziny. Mowgli brał zawsze udział w oględzinach, bo przypominał sobie ową noc, kiedy

to czarna pantera pokazała gromadzie małe brunatne szczenię, a stary okrzyk: »Patrzcie się, patrzcie się uważnie, o Wilki«, budził zawsze przejmujący dreszcz w jego sercu i jakieś dziwne nieokreślone uczucia. Zresztą przemieszkiwał w dalekich, odległych dżunglach, patrząc, dotykając, wietrząc i nasłuchując.

Pewnego razu, kiedy idąc wśród głębokiego zmierzchu przez wzgórza, ciągnął za sobą połowę przed chwilą ubitej zwierzyny, aby ją dać Akeli, kiedy jego cztery wilki pełne upojenia, jakie im dawało bujne, wolne życie, szamotały się, zmagały i przewracały po trawie, usłyszał nagle okrzyk, jakiego od czasu przeklętych dni Shere Khana nigdy nie słyszał. Był to *Pheeal,* pewien rodzaj chrapliwego skrzeku, jaki wydaje szakal, gdy poluje za tygrysem lub ujrzy na drodze jakąś wielką zdobycz. Jeśli wyobrazicie sobie mieszaninę nienawiści, triumfu, trwogi i rozpaczy wraz z dzikiemi wybuchami szyderczego śmiechu, który wszystko nawskróś przenika, będziecie mieli jakie takie pojęcie o *Pheeal'u,* który to wzbierał, to przygasał, to kołysał się w powietrzu, to drżał — płynąc złowróżebnem brzmieniem hen... aż z za Waingungi. Przejmująca groza ogarnęła wescłe przed chwilą zwierzęta — sierść im się zjeżyła na grzbiecie, poczęły wyć. A Mowgli położył dłoń na nożu i stanął nieruchomy jak kamień.

»Wszak żaden Pręgowaty nie odważyłby się polować w tych stronach,« zaszeptał wkońcu.

»Nie jest to także okrzyk przodownika,« rzekł Szary Brat. »Zbliżają się jakieś wielkie krwi rozlewy. Słuchajcie!«

I znowu rozległ się ów głos straszliwy, to drgając tłumionem łkaniem, to szaleńczym wybuchem szyderstwa, jak gdyby ów szakal posiadał miękkie wargi człowieka. Wtedy Mowgli odetchnął pełną piersią i z chyżością błyskawicy pobiegł ku Skale Rady, nawołując po drodze obłąkane strachem, rozbiegające się dokoła wilki. Phao

i Akela siedzieli już na Skale, a niżej nich cała gromada w napiętem oczekiwaniu. Samice i szczenięta dążyły całą siłą pędu ukryć się w bezpiecznych legowiskach, bo kiedy zabrzmi *Pheeal,* do nor uchodzą wszystkie słabe stworzenia.

Z początku słyszeli tylko głuche szumy wód Waingungi, w ciemnościach śpiewającej, i łagodne, usypiające poszmery wieczornego wiatru, co drzew wierzchołki kołysał, aż nagle z za rzeki rozległ się głos wilka.

Nie był to wilk z gromady, bo cała gromada siedziała pod skałą. Głos zmienił się w długie, rozpaczliwe ujadanie; i »Dole!« zagrzmiało, »Dole! Dole! Dole!« Po kilku chwilach usłyszeli wszyscy chwiejne, znużone stąpania na skale i chudy, krwią ociekający wilk, z krwawemi pręgami na grzbiecie, ze zdruzgotaną prawą łapą, z zapienionym karkiem, runął w środek koła i, ciężko dysząc, przypadł do nóg Mowgli'ego.

»Szczęśliwych łowów! Z pod czyjego dowództwa?« spytał Phao poważnie.

»Szczęśliwych łowów! Jestem Won-tolla,« zabrzmiała odpowiedź. Dawał w ten sposób do zrozumienia, że był wilkiem-odludkiem, że żył w oddzielnej jaskini wraz z samicą i szczeniętami i polował samotnie. Won-tolla oznacza odludka, takiego, który żyje zdala od gromady. Skoro zaczerpnął oddechu, ujrzeli wszyscy, jak mu serce w piersiach młotem biło, jak się chwiał na nogach z nadmiernego zmęczenia.

»Kto nadciąga?« spytał Phao, tak bowiem pyta się zawsze cała Dżungla, usłyszawszy złowieszczy *Pheeal.*

»Dole, dole z Dekanu — Rudy Pies, Morderca! Ciągną od południa ku północy, wołają wielkim głosem, że Dekan opustoszał i mordują wszystko na drodze. Gdy miesiąc ten był na nowiu,

czworo ich jeszcze miałem — samicę i troje szczeniąt. Samica na łąkach uczyła młode zabijać, kryć się w zasadzce, by upolować kozła, jak to czynimy my wszyscy, na równinach żyjący. O północy słyszałem jeszcze ich głośne igraszki na tropach. O świcie znalazłem ich trupy na równinie — czworo, Wolny Ludu, czworo leżało zabitych, gdy miesiąc był na nowiu! I zacząłem dochodzić mego Prawa Krwi i napotkałem dole.

»Dużo ich było?« spytał Mowgli; gromada zaczęła warczeć z wściekłością.

»Nie wiem. Trzech z nich już zabijać nie będzie, lecz wkońcu poszczuli mnie, jak bawołu; a ja uciekałem na trzech nogach. Patrz, Wolny Ludu!«

Tu wysunął przednią łapę, oblepioną czarną, zastygłą krwią. Krwawe, głębokie ukąszenia okrywały jego boki, jego szyja była zbroczona i poszarpana na strzępy.

»Jedz,« rzekł Akela, wstając od mięsa, które mu przyniósł Mowgli; odludek rzucił się na nie żarłocznie.

»Nie pożałujecie tego,« szepnął pokornie, przytępiwszy nieco ostrze swego głodu. »Wróć mi nieco siły, Wolny Ludu, a pójdę zabijać wraz z tobą! Próżne dziś moje legowisko, a było przecież pełne, gdy księżyc stał na nowiu i — pomsta za krew rozlaną nie dokonana.«

Phao usłyszał, jak kły przybysza zazgrzytały potężnie na kości udowej i zawarczał życzliwie.

»Przydadzą się nam takie szczęki,« zawołał. »Czy dole wyruszyły ze szczeniętami?«

»Nie, nie. Sami rudzi myśliwi: wielkie psy w gromadach, rosłe i olbrzymie.«

To oznaczało, że dole, rude dzikie psy z Dekanu, ruszyły na bój, a wilki wiedziały dobrze o tem, że nawet tygrys ustępuje dolom

świeżej zdobyczy. Szeregi ich, gdy runą tłumnie środkiem Dżungli, rozszarpują wszystko na drobne kawały i nic się im nie ostoi. Wzrost ich wprawdzie nieduży, przebiegłość mniejsza niż u wilków, ale są o wiele silniejsze i nader liczne. Dole np. nie nazwą się gromadą, póki się nie zbierze sto psów potężnych i zaciekłych, a czterdzieści wilków tworzy już bardzo przyzwoitą gromadę. Mowgli w swoich wędrówkach zapędzał się niejednokrotnie aż na trawiaste puszcze wyżyny Dekanu, i widział nieraz, jak dole spały, walczyły ze sobą lub igrały obok małych nor, służących im za legowisko. Jednak pogardzał niemi i nienawidził je, bo nie wydawały z siebie woni takiej jak Wolny Lud, bo nie mieszkały w jaskiniach i — co najgłówniejsza — miały sierść między palcami nóg, a on i jego towarzysze mieli nogi zupełnie gładkie. Ale wiedział dobrze, bo i Hathi mu o tem wspominał, jaką klęską dla kraju jest banda dolów, goniąca za zdobyczą. Hathi sam ustępuje im z drogi, a one prą przed siebie w głąb kraju i mordują tak długo, póki ich kto nie wytępi lub zdobyczy w drodze nie braknie.

Akela wiedział także dużo o dolach, więc szepnął Mowgli'emu na ucho: »Lepiej umrzeć w pełnej gromadzie, niż samotnie i bez dowódcy. Dobre to będzie polowanie, i — moje ostatnie. Ale ludzie żyją długo; ty masz przed sobą jeszcze wiele dni i wiele nocy, mały bracie. Idź na północ i połóż się na trawie, a jeśli choćby jeden wilk po przejściu dolów przy życiu pozostanie, uda się do ciebie z wieścią o rozegranej walce.«

»Ah,« rzekł Mowgli z wielką powagą, »mamże ja iść w bagniska, chwytać małe ryby w potokach, wysypiać się na drzewach, czy też żebrać pomocy u *bandar log'u* (małp) i gryźć orzechy, podczas gdy lud mój będzie toczył rozpaczliwą walkę?«

»Walkę na śmierć lub życie,« rzekł Akela. »Nie spotkałeś jeszcze dola — Rudego Psa i Mordercy. Nawet sam Pręgowaty — —«

»Aowa! Aowa!« zakrzyknął Mowgli szyderczo. »Wszak-ci i ja zabiłem jedną pręgowatą małpę. A teraz słuchaj: Ojcem moim był wilk, matką wilczyca, a pewien stary, szary wilk (niezbyt mądry; zato teraz biały jak mleko) był mi i ojcem i matką. Przeto ja — —« tu głos podniósł, »oświadczam uroczyście, że gdy nadciągną dole (jeśli wogóle nadciągną), Mowgli i Wolny Lud będą jednem ciałem w tych łowach; oświadczam na wołu, który mnie okupił, na wołu, którego Bagheera za mnie oddała w onych dawnych dniach, których wy z gromady sobie nie przypominacie; oświadczam na Drzewa i Strumienie, które moje słowa słyszą i pamiętać będą, gdybym ja o nich zapomniał; oświadczam: nóż mój będzie jednym ze zębów gromady, i sądzę, nie tępych. Oto Słowo moje, którego już nie cofnę.«

»Nie wiesz, co to dole, człowieku z językiem wilka,« Won-tolla zakrzyknął. »Dyszę żądzą zemsty i zemścić się na nich muszę, nim mnie w kawały rozszarpią. One nadciągają powoli i mordują wszystkich i wszystko; ale za dwa dni odzyskam nieco sił i pójdę spełnić powinność. Ale *wam*, Wolny Ludu, radzę odejść na północ, ograniczać się w pożywieniu, aż dole wrócą do domu. Wśród *takich* łowów niema czasu na spanie.«

»Słuchajcież Odludka!« zakrzyknął Mowgli z uśmiechem. »Więc my, Wolny Ludu, mamy się kryć na północy, łapać jaszczurki i szczury na wybrzeżach, gdyż obawiamy się spotkania z dolem, rudym psem? On będzie tu mordował nam zwierzynę na naszych terenach i szlakach, a my będziemy czekali na północy, dopóki mu się nie spodoba wrócić nam to, co od wieków nasze? Wszak on jest psem, i szczenięciem psa, rudy, o żółtem podbrzuszu, bezwłosy, z sierścią między palcami! Wszak rodzi sześć lub ośm szczeniąt od jednego pomiotu, podobnie jak mały skaczący szczur Chikai. Zaiste, Wolny Ludu! daleko nam odbiec trzeba od nor

ojczystych, abyśmy żebrali o odpadki i ścierwo u plemion na północy! Znacie przysłowie: ‚Na północy robactwo, na południu wszy.' *My* — to Dżungla. Wybierajcie więc, och — wybierajcie! Dobre to będą łowy! Za gromadę — za pełną gromadę — za nasz pomiot, za nasze legowisko; za wolne łowy w dali i pobliżu; za samicę, co za łanią ugania, za małe, drobne szczenięta w jaskiniach — na bój! na bój! na bój!«

Gromada odpowiedziała potężnem, urwanem szczeknięciem, które zabrzmiało jak drzewa walące się w lesie. I rozległy się wściekłe okrzyki: »Na bój! na bój!«

»Zostańcie przy nich,« rzekł Mowgli do swoich czterech wilków. »Potrzeba nam teraz każdego kła. Phao i Akela muszą poczynić przygotowania do walki. Idę policzyć psy!«

»Zginiesz!« zakrzyknął Won-tolla, zrywając się z ziemi. »Jakżeż się ostoi istota bezwłosa wobec Rudego Psa? Nawet Pręgowaty, pamiętaj o tem — —«.

»Z ciebie prawdziwy odludek,« zawołał, odwracając się, Mowgli, »ale pomówimy jeszcze o tem, zwyciężywszy wprzód wroga. Szczęśliwych łowów wam wszystkim!«

W dzikiem podnieceniu runął w głąb ciemnością okrytej Dżungli, mało zważając, którędy biegnie, a następstwem tego było, że padł jak długi na ziemię, potknąwszy się o gruby splot Kaa, który leżał właśnie na czatach w pobliżu rzeki.

»Kssha!« Kaa gniewnie zasyczał. »Jest-że to zwyczajem w Dżungli, biegać na oślep, tupać nogami i psuć drugim polowanie — zwłaszcza, gdy zwierzyna w takiej ilości nadbiega?«

»Moja wina,« rzekł Mowgli, zrywając się na równe nogi. »Właśnie szukałem cię, o Płaskogłowy, ale ilekroć cię spotkam, jesteś większy i szerszy o całą długość mego ramienia. Nikt z Dżungli

zmierzyć się z tobą nie może, mądry, stary, potężny, czarujący Kaa!«

»Dokądże *ten* trop prowadzi?« spytał Kaa łagodniejszym nieco głosem. »Nim księżyc stanął w pełni, przyszedł tu ongi jakiś mały człowiek z nożem, mierzył kamieniami w mą głowę i przezywał mnie złośliwie, niby jaką kotkę drzewną, za to, żem zasnął na równinie.«

»I rozpędził zwierzynę na cztery wiatry, gdy Mowgli polował; i tenże sam Płaskogłowy był na tyle głuchym, że nie dosłyszał świstu i nie ustąpił ze szlaku,« spokojnie odpowiedział Mowgli, siadając wygodnie w barwnych splotach węża.

»Teraz zaś przychodzi tenże sam mały człowiek z pochlebnemi, zwodnemi słówkami do tegoż samego węża, wmawiając w niego, że mądry, mocny, czarujący, a tenże sam stary Płaskogłowy wyplata ze swego ciała wygodne siedzenie — tak! — dla tegoż samego małego człowieka, który go obrzucał kamieniami, i... Czy ci tak wygodnie? Mogłaby ci Bagheera zgotować takie miękkie siedzenie?«

Kaa uczynił, jak zazwyczaj, ze swoich zwojów coś w rodzaju miękkiego hamaka, w którym Mowgli bujał sobie swobodnie. Chłopiec sięgnął ręką w ciemność i wnet przyciągnął do siebie białą, grubą jak lina szyję węża, aż głowa Kaa spoczęła na jego ramieniu; poczem opowiedział mu wszystko, co się zdarzyło w Dżungli tej właśnie nocy.

»Mądrym może jestem,« rzekł wreszcie Kaa, »ale żem głuchy, to rzecz pewna. Inaczej byłbym usłyszał *Pheeal*. Nie dziw, że zjadacze traw zaniepokoiły się nieco. W jakiej potędze nadciągają dole?«

»Nie widziałem ich jeszcze. Przybiegłem wprost do ciebie. Tyś starszy niż Hathi. Ale, och, Kaa,« tu twarz Mowgli'ego zajaśniała radością, »jakież to będzie polowanie! Nie wielu z nas doczeka nowego miesiąca.«

»Czyś i ty się w to uwikłał? Pomnij na to, żeś człowiekiem; pomnij, jaka gromada wygnała cię od siebie. Niech wilki załatwią się z psami. *Ty* jesteś człowiekiem.«

»Zeszłoroczne orzechy są czarną ziemią w tym roku,« rzekł Mowgli. »Prawda, że jestem człowiekiem, ale mój żołądek pamięta o tem dobrze, żem dzisiejszej nocy powiedział: ‚Jestem wilkiem!' A uczyniłem tę obietnicę, wzywając na świadectwo Rzeki i Drzewa. Jestem członkiem Wolnego Ludu, Kaa, i będę nim tak długo, dopóki dole nie ustąpią.«

»Wolny Lud,« zamruczał Kaa. »Wolni złodzieje! Wpadłeś w śmiertelną pułapkę przez pamięć dla nieżyjących dziś wilków! Nie jest to dobre polowanie.«

»Obietnica moja była Słowem. Drzewa wiedzą o tem i Rzeki wiedzą. A Słowo moje nie powróci do mnie wpierw, aż dole zostaną pokonane.«

»Ngssh! To zmienia wszystkie tropy. Myślałem o tem, by cię wziąć ze sobą w drogę na daleką północ, ale Słowo — nawet Słowo małego, nagiego, bezwłosego człowieka — jest Słowem. Teraz ja, Kaa, powiadam — —«

»Pomyśl dobrze, Płaskogłowy, byś sam nie wpadł do śmiertelnej pułapki. Nie potrzebuję Słowa od ciebie, bo wiem dobrze — —«

»Niechaj i tak będzie,« rzekł Kaa. »Nie dam Słowa; cóż jednak myślisz uczynić, gdy nadejdą dole?«

»Muszą przepłynąć fale Waingungi. Z nożem w ręku czekać na nie będę w mieliznach, gromada stanie poza mną; naciskając i prąc w ich tłumy, odwrócimy je może w dół strumienia lub ostudzimy ich zbyt gorące gardziele.«

»Dole nie cofają się nigdy, a ich gardziele wiecznie gorące,« rzekł Kaa. »Po skończonych zapasach nie stanie ani wilków, ani małego Człowieka — będą suche kości na pobojowisku.«

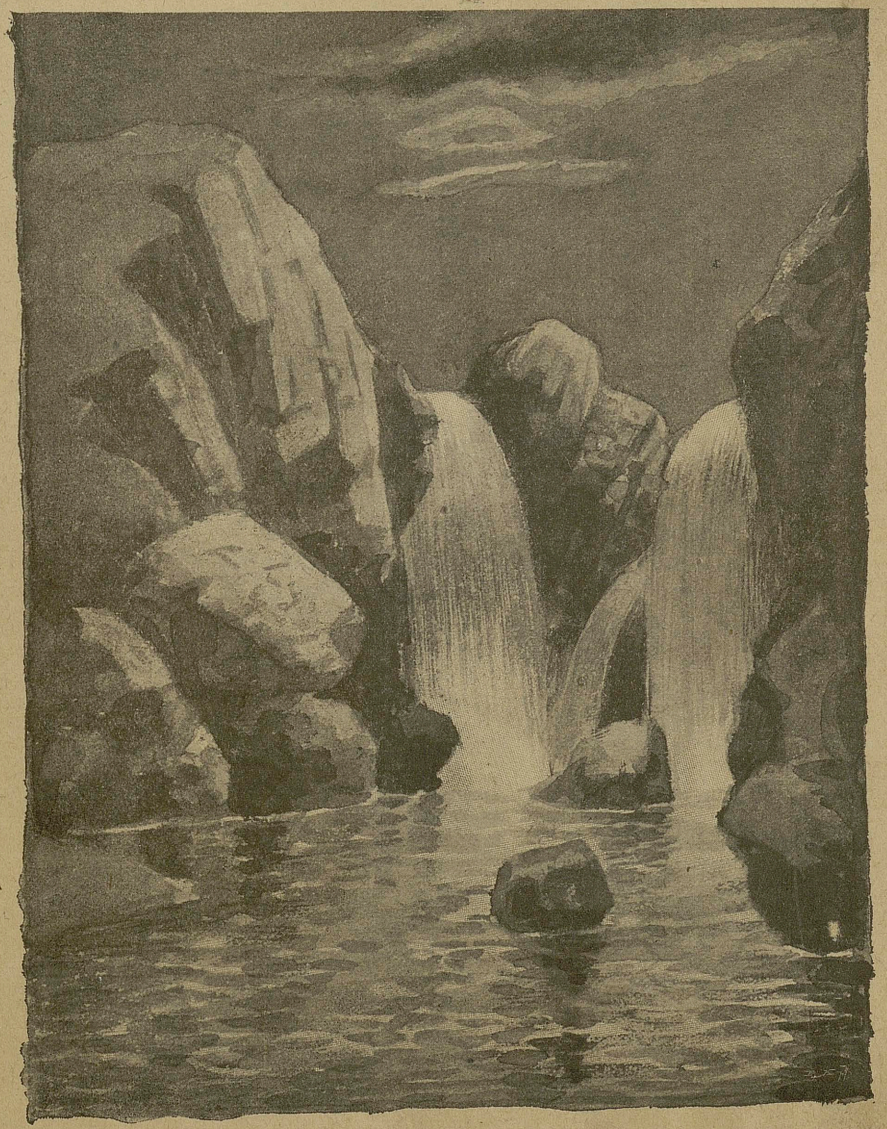

»Alala! Jeśli mamy umrzeć, tedy pomrzemy. Będą to najpiękniejsze w świecie łowy. Ale żołądek mój młody, niewiele pór deszczowych widziałem. Nie jestem mądrym, nie jestem mocnym. Czy masz lepszy plan, Kaa?«

»A ja widziałem wiele, wiele pór deszczowych. Nim jeszcze Hathi'emu kły mleczne wypadły, ślady moje na ziemi były już duże. Na Pierwsze Jaje! jestem starszy od wielu drzew w puszczy i wszystko, wszystko, co Dżungla kiedy zdziałała, widziałem i pamiętam.«

»Lecz *to* są niezwykłe łowy,« rzekł Mowgli. »Nigdy przedtem nie krzyżowały się szlaki dolów z naszemi szlakami.«

»Co jest — już było. A przyszłość to nic innego, jak tylko jakiś dawny, zapomniany rok, który się znowu pojawia. Leż spokojnie — a zliczę lata, które przeżyłem.«

Całą długą godzinę leżał Mowgli zwojami potężnego węża oplątany, podczas gdy Kaa, wyciągnąwszy głowę nieruchomo na ziemi, przechodził w myśli wszystko, co widział i poznał od czasu swego urodzenia. Oczy jego poczęły powoli tracić jasne blaski i w miarę tego przybierać barwę mętnego opalu; od czasu do czasu czynił głową krótkie, sztywne uderzenia, jakby śnił o łowach. Mowgli zaczął spokojnie drzemać, bo wiedział, że sen jest najważniejszą rzeczą przed każdem polowaniem; przywoływał go przeto, kiedy chciał — we dnie i w nocy.

Niedługo poczuł, że pierścienie Kaa zwiększają się pod nim i grubieją, wkońcu olbrzymi pyton nadął się i zasyczał jak miecz ze stalowej pochwy wyciągany.

»Widziałem wszystkie umarłe lata,« rzekł Kaa na końcu, »i wielkie drzewa i stare słonie i skały, dawniej nagie i łyse, dziś mchem obfitym pokryte. A *ty*, czy żyjesz jeszcze, mały Człowieku?«

»Przed chwilą wypłynął księżyc,« rzekł Mowgli. »Nie rozumiem —«

»Hssh! Jam znowu Kaa. Wiem — niewiele czasu upłynęło Teraz pójdziemy nad rzekę i pokażę ci, w jaki sposób dole odpędzić zdołasz.«

Okręcił się, wyprostował jak strzała, pomknął wprost ku falom Waingungi i zanurzył się poniżej nurtów, oblewających Skałę Pokoju, a Mowgli był przy nim.

»Nie puszczaj się wpław. Ja pływam prędzej. Na mój grzbiet, mały bracie.«

Mowgli objął lewą ręką szyję Kaa, prawą puścił wzdłuż ciała i wyprostował nogi. Wtedy Kaa zaczął płynąć, jak to on jeden tylko umiał, a spienione, błyskawicznie przecinane fale utworzyły krezę dookoła szyi chłopca, a nogi jego szarpał w obie strony wir, kipiący wzdłuż cielska potężnego pytona. Milę poza Skałą Pokoju zwęża się łożysko Waingungi w wąwóz, utworzony przez wysokie na ośmdziesiąt lub sto stóp skały marmurowe, a strumień rzuca się weń pełnym, pienistym napływem, ni to w śluzę ogromnego młyna, i z szumem przelewając się przez głazy, dalej ucieka. Ale cóż obchodziła Mowgli'ego woda; żadna woda na świecie nie mogłaby go zatrwożyć ani na chwilę. Spojrzał w głąb wąwozu na obie strony i począł parskać z niezadowoleniem, bo w powietrzu unosiła się jakaś cierpko-słodkawa woń, podobna do woni, jaką wydziela z siebie wielkie mrowisko wśród skwaru południa. Wiedziony zachowawczym instynktem zanurzył się chłopiec głęboko w wodę, trzymając jeno głowę na powierzchni gwoli oddychania, a Kaa, natrafiwszy na rafę podwodną, owinął się o nią mocno ogonem i trzymając Mowgli'ego w gęstych, silnych zwojach, zatrzymał się w samym środku rwącego prądu, jakby na kotwicy.

»To miejsce Śmierci,« rzekł chłopiec. »Pocośmy tu przyszli?«

»One śpią,« szepnął Kaa. »Hathi nie cofa się przed Pręgowatym. Ale Hathi i Pręgowaty razem cofają się przed dolami, a dole, jak

wieść głosi, nie cofają się przed nikim i niczem. A Mały Lud ze Skał, przed kim on się cofa? Powiedz mi, Mistrzu Dżungli, kto jest Mistrzem Dżungli?«

»One,« szepnął Mowgli. »To miejsce Śmierci. Uchodźmy stąd!«

»Nie, spojrzyj jeno, jak śpią. Tak tu jest, jak było niegdyś, gdym nie dochodził nawet długości twego ramienia.«

Poszarpane i zwietrzałe skały wąwozu Waingungi pozostawały już od czasu powstania Dżungli w posiadaniu Małego Ludu ze Skał — skrzętnych, wściekłych, czarnych, dzikich pszczół indyjskich; i, jak Mowgli doskonale wiedział, już na milę od tych miejsc złowrogich w bok uciekały wszelkie szlaki i tropy. Tysiącami Mały Lud wyrajał się ze szpar, tłumami ze szczelin i roił się, roił bez przerwy; a biały marmur poplamiony był zeschłym miodem, a w ciemnościach jaskiń lub grot wisiały potężne, grube, czarne plastry miodu, ani przez człowieka, ani przez zwierzę, ani przez ogień, ani przez wodę dotąd nietknięte. W całej swej długości po obu stronach był wąwóz obwieszony ni to lśniącemi, czarnemi zasłonami z aksamitu, a serce Mowgli'ego zadrgało od grozy i przerażenia, gdy ujrzał, że były to zwarte miljony śpiących pszczół. Czoła skał okryte były pewnego rodzaju bryłami, festonami i przedmiotami podobnemi do zwietrzałych pni drzew — dawnemi plastrami z minionych lat lub świeżemi i w cichych bezwietrznych wnękach pobudowanemi ulami — a ogromne masy gąbczastych zgniłych odpadków postaczały się ze ścian i urwisk pomiędzy drzewa i liany ku skałom lgnące. Chłopak mógł wyraźnie słyszeć przesuwanie się i szelest ciężkich od miodu plastrów, które spadały z wiszarów i osypywały się w głąb ciemnych czeluści, jaskiń, korytarzy, i monotonne trip, trip, trip, sączącego się w kroplach miodu, który pełnemi odpływał strugami, aż przedostawszy się na skałę, zwolna i leniwie kroplami na gałęzie w dół się

sączył. Był tam mały, ledwie sześć stóp szeroki pas wybrzeża na jednej stronie rzeki, wysoko spiętrzony odpadkami z mnogich lat. Leżały tam martwe pszczoły, trutnie, wyschłe plastry, skrzydła ciem błąkających się po nocy, chrząszcze, które snadź przywabił tu urok miodu — wszystko razem tworząc wysokie masy delikatnego czarnego pyłu. Sama ostra woń tych miejsc wystarczała, aby odstraszyć wszelkie twory, nie mające skrzydeł i nie wiedzące, czem jest Mały Lud.

Kaa poruszył się znowu ku górze rzeki, aż wylądował na piaszczystej ławicy przy końcu wąwozu.

»Oto resztki łupów z ostatniego sezonu,« zawołał. »Patrz!«

Na ławicy leżały resztki kilku młodych jeleni i bawołu. Mowgli mógł dostrzec, że ani wilk ani szakal nie tknęły tych kości, z których mięso samo odgniło i gładko odpadło.

»Zwierzęta te przeszły poza granicę, nie wiedząc o niczem,« zamruczał Mowgli, »a Mały Lud pozabijał je. Uchodźmy, nim się obudzą!«

»Nie obudzą się przed zmierzchem,« rzekł Kaa. »A teraz ci opowiem: Przed wieloma, wieloma porami deszczowemi przybył tu ścigany kozioł z południa, nie znający Dżungli, a stado za nim w pościgu. Rozszalały trwogą skoczył w te głębie z góry, a stado parło na oślep w jego ślady. Słońce stało wysoko na niebie, a Mały Lud wyroił się nader licznie i był wściekły. Wielu, zaiste, osobników ze stada skoczyło do fal Waingungi, lecz umarli, nim ich fala ogarnęła. Ci, co nie skoczyli, poumierali również — tam w górze — między skałami. Ale kozioł pozostał przy życiu.«

»Jakto?«

»Bo przybył najpierw, dobywając ostatniego tchu dla uratowania życia, bo skoczył, nim Mały Lud spostrzec zdołał, i był już we wodzie, nim się pszczoły w tłum skupiły do natarcia. Stado biegnące w jego

tropy, uległo zupełnie wściekłości Małego Ludu, obudzonego spłoszonemi krokami kozła.

»Więc kozioł nie zginął?« spytał znowu Mowgli, namyślając się głęboko.

»Przynajmniej nie zginął *wtedy*, choć nie czekało na niego przy zeskoku potężne cielsko, któreby go mogło bezpiecznie podtrzymać nad wodą, jakby to uczynił niewątpliwie pewien stary, tłusty, głuchy, żółty Płaskogłowy dla pewnego małego Człowieka — tak zaiste! — chociażby i wszystkie dole z Dekanu były na jego tropie. Cóż w twym żołądku?«

Głowa Kaa spoczywała na nagich plecach Mowgli'ego i ostry, podobny do nitki język węża zadrgał błyskawicznie nad uchem chłopca. Przez chwilę milczeli — wreszcie Mowgli wyszeptał:

»Jest to to samo, co targać Śmierć za wąsy, ale — Kaa, tyś zaiste najmędrszy w całej Dżungli.«

»Tak utrzymuje wielu. Słuchaj więc, gdy dole na ślad twój wpadną — —.«

»Ależ wpadną z pewnością. Ho! Ho! Mam ja niejeden drobny kolec w języku, aby ich trochę pokłuć.«

»Gdy wpadną na twój ślad, zaślepione i wściekłe, wlepiając krwią nabiegłe, łakome oczy w twe plecy, wtedy te, które tutaj nie umrą, skoczą do wody, bliżej lub dalej, bo Mały Lud się podniesie i spadnie na nie gromadą. Waingunga jest łakoma, a żadnego z nich nie będzie podtrzymywał Kaa, by nie zginął wśród prądu, — tych zaś, którzy żyć będą, poniesie woda na mielizny, w pobliże legowisk seeoneejskiej gromady, i tam się rozprawi z niemi gromada.«

»Ahai! Eowawa! Nic niema lepszego, chyba deszcze w czasie posuchy i skwaru. Pozostaje więc tylko trochę pobiegać i poskakać. Chcę się dolom oznajmić, by biegły gęsto w pościgu, tuż za mną.«

»Czy spojrzałeś na skały ponad sobą? Od strony wybrzeży?«

»Nie, doprawdy. Zapomniałem.«

»Idź i zobacz! Zwietrzałe, poszarpane, jam pełne. Jeden nierozważny krok twych nóg niezgrabnych położy koniec polowaniu. Ja cię tu teraz pozostawię i jedynie z przyjaźni dla ciebie udam się do wilków i oznajmię im, gdzie mają oczekiwać wroga. Co do mnie, nie jestem jednej skóry z *byle jakim* wilkiem.«

Gdy Kaa pogardzał czyjemś towarzystwem, stawał się wzgardliwszym, niż ktokolwiek inny w Dżungli, z wyjątkiem — może — Bagheery. Popłynął on w dół strumienia, aż zatrzymał się naprzeciw skał drugiego brzegu, gdzie ujrzał Phaona i Akelę, odbywających nocne czaty.

»Hssh! psy,« syknął z lekceważeniem. »Dole zejdą ku dolnym brodom. Jeśli was groza nie dusi, możecie je pozabijać na mieliznach.«

»Kiedyż zejdą?« spytał Phao. »Gdzież moje szczenię ludzkie?« dodał Akela.

»Zejdą, kiedy zejdą,« odparł Kaa. »Czekaj i patrz. Co się zaś tyczy *twego* szczenięcia ludzkiego, od któregoś wyłudził Słowo i tem samem go na Śmierć naraził: *twoje* szczenię ludzkie jest ze mną, a jeśli nie zginie, nie twoją to zasługą, ty psie oblazły! Czekaj na dole i ciesz się, że szczenię ludzkie i ja stoimy po twojej stronie.«

Chyżo przecinając fale, pomknął Kaa napowrót w górę strumienia, wsunął się w środek wąwozu i, owinąwszy się o podwodną rafę, spojrzał w górę na szeregi skał. I oto ujrzał głowę Mowgli'ego, skierowaną wprost ku gwiazdom: wnet przeszył powietrze ostry »*wiss — s*« — poczem rozległ się pełny, urwany plusk ciała, spadającego na nogi do wody; a za chwilę kołysał się chłopiec w drgających od siły wiru pierścieniach Kaa.

»Nie jest to skok na noc,« rzekł Mowgli spokojnie. »Zeskakiwałem ze skały dwa razy tak wysokiej: — tylko dla przyjemności; złe jest jednak to miejsce tam w górze — same zarośla i nory, idące w głąb — pełne Małego Ludu. Ułożyłem kilka wielkich kamieni na krańcu trzech największych jam. Strącę je stopą w biegu, a Mały Lud zerwie się poza mną wściekły i rozjątrzony.«

»Człowiecza przebiegłość,« zauważył Kaa. »Tyś mądry, ale Mały Lud jest *zawsze* wściekły i rozjątrzony.«

»Nie, o mroku odpoczywają przez chwilę wszystkie skrzydła i tu i dalej. Chcę walczyć z dolami o zmroku, bo dole polują najlepiej za dnia. One biegną teraz krwawemi śladami Won-tolli.«

»Chil nie odstąpi padłego wołu, a dole krwawego śladu,« rzekł Kaa.

»Uczynię ja im nowy krwawy ślad — z ich własnej krwi, jeśli będę mógł, i psie paszczęki błotem ponapycham. Czy zaczekasz tu, Kaa, aż przybędę z memi dolami?«.

»Tak, ale jeśli one cię zabiją w głębi Dżungli lub Mały Lud mnie zabije, nim zdołasz zeskoczyć do nurtów?«

»Gdy nadejdzie ‚jutro', zabijać będziemy na ‚jutro',« odparł Mowgli, przytaczając przysłowie Dżungli, i znowu: »Gdy umrę, starczy czasu na Śpiew Śmierci. Szczęśliwych łowów, Kaa.«

Zdjął ramię z szyi pytona i spłynął w dół między głazami wąwozu, unoszony bezwładnie od fal, niby pień drzewny, sterując ku dalekim wybrzeżom, gdzie były płytkie mielizny, i śmiał się, podczas gdy radość dziecinna i jakieś dziwne upojenie wzbierały w jego sercu. Niczego bardziej nie pragnął, jak »wytargać Śmierć za wąsy« i pokazać wreszcie dowodnie całej Dżungli, że jest jej panem i zwierzchnikiem. Nieraz on w towarzystwie Balo'a, rabował pszczelne ule w spróchniałych pniach wydrążone, i wiedział o tem dobrze, że Mały

Lud nie znosi woni dzikiego czosnku. Zerwał przeto cały pęk tych roślin, związał je korowem łykiem i wszedł na ślady Won-tolli, ciągnące się na przestrzeni pięciu mil na południe w stronę osady wilków. W drodze spoglądał przelotnie na drzewa i wstrząsał głową.

»Mowglim-Żabą już byłem,« szepnął do siebie, »Mowglim-Wilkiem jestem od niedawna. Teraz muszę się stać Mowglim-Małpą, nim się stanę Mowglim-Kozłem. Na końcu będę Mowglim-Człowiekiem. Ho!« i przeciągnął palcem po ostrzu swego długiego, myśliwskiego noża.

Ślady Won-tolli, krwią zbryzgane, biegły w kierunku północno-wschodnim przez rozległy potężny las, który, poczynając się dwie mile za Skałami Pszczół, ciągnął się dalej i rozszerzał. Między ostatniem drzewem a niską krzewiną Skał Pszczelich leżały otwarte płaśnie, wśród którychby i wilk ukryć się nie zdołał. Mowgli przebiegał tu i tam między drzewami, badał odległość konarów, wdzierał się po pniach w górę, zsuwał się w dół, przeskakiwał z jednego drzewa na drugie, aż doszedł do otwartego miejsca, które badał przez dłuższy czas bardzo starannie. Potem zawrócił, wbiegł na ślady Won-tolli w tem miejscu, z którego zboczył, wdrapał się na drzewo o szerokim, rozłożystym, ośm stóp nad ziemią wzniesionym konarze, zawiesił wiązkę czosnku na bezpiecznej gałęzi i począł spokojnie ostrzyć nóż na pięcie swej nogi.

Nieco przed południem, gdy słońce mocno dopiekało, usłyszał łomot wielkiej ilości stóp i uczuł woń, wstrętną woń bijącą od stada dolów, które uparcie i zajadle biegły długim, krwawo znaczonym szlakiem śladów Won-tolli. Widziany z góry, nie wydaje się rudy pies ani do połowy tak wielkim jak wilk, ale Mowgli wiedział, jak potężne są jego łapy i szczęki. Przypatrywał się więc ciekawie śpiczastej, rudo-brunatnej głowie przodownika, który obwąchiwał tropy, i rzucił mu z góry: »Szczęśliwych łowów!«

Zwierz podniósł głowę do góry, a jego towarzysze zatrzymali się w tyle: tłumy, roje psów rudych, z pospuszczanemi ogonami, szerokiemi barami, wąskiemi zadami i krwawemi paszczami. Dole są ludem milczącym i nie mają żadnych manier nawet w swoim własnym Dekanie. Przeszło dwieście osobników musiało się zebrać w jeden tłum, i Mowgli widział dokładnie, jak przodownicy węszyli po śladach Won-tolli i usiłowali naprzód popędzić gromadę. Tak być nie mogło, gdyż inaczej zwarte ich hufy dotarłyby jeszcze za jasnego dnia do legowisk, a Mowgli chciał ich zatrzymać pod drzewami aż do zmierzchu.

»Kto wam pozwolił tu przyjść?« rzucił im z góry pytanie.

»Wszystkie dżungle naszemi dżunglami,« zabrzmiała odpowiedź i dol, który ją dał, wyszczerzył lśniąco-białe zęby. Mowgli spojrzał w dół z uśmiechem i zaskrzeczał, naśladując dokładnie ostre »cziter — czater« Chikai'a, skaczącego szczura z Dekanu, czem dał dolom dokładnie do poznania, że nie są niczem lepszem od Chikai'a. Rozwścieklona gromada poczęła się tłumnie tłoczyć i cisnąć dookoła pnia, a przewodnik, ujadając ze złością, nazwał Mowgli'ego »małpą drzewną«. W odpowiedzi zsunął Mowgli nogę w dół i począł przebierać bezwłosemi palcami tuż nad głową przodownika. To było dość, i więcej niż dość, by pobudzić całą gromadę do zapamiętałej, tępej wściekłości. Ci, co mają sierść między palcami, nie lubią, by im to wypominano. Mowgli usunął czem prędzej nogę, gdy przodownik dał susa w górę, poczem przemówił pieszczotliwym głosem: »Psie, rudy psie! Wracaj do Chikai'a, Dekanu i żrej jaszczurki. Wracaj do twego brata, psie, psie, rudy, rudy psie! Włosy ci rosną między każdym palcem!« I przebierał palcami na nowo.

»Zejdź na dół, nim cię tu wygłodzimy, małpo bezwłosa,« zawyła gromada, i stało się to, czego Mowgli pragnął. Rozciągnął się przeto na grubym wystającym mocno konarze, oparł podbródek o korę,

wywijał prawą ręką i przeszło pięć minut opowiadał gromadzie wszystko, co widział i słyszał o nich, o ich obyczajach, ich zwyczajach, ich samicach i szczeniętach. Żaden język w świecie nie jest ani tak ciętym, ani tak złośliwym, jak język ludu Dżungli, gdy chce wyrazić pogardę lub szyderstwo. Jeśli się nad tem bliżej zastanowicie, poznacie, że tak być musi. I tak Mowgli, który się przyznał skalnemu wężowi Kaa, że ma niejeden kolec w języku, powoli i z rozmysłem doprowadził dole od milczenia do głuchego pomruku, od pomruku do wycia, od wycia do wściekłego, gorącego ujadania. Starały się one wprawdzie odcinać, ale tak samo mogłoby się odcinać i ślepe szczenię zagniewanemu Kaa, a przez ten cały czas przyciskał Mowgli rękę w pięść zaciśniętą do boku, gotów do działania, owinąwszy mocno nogi o konar. Wielki rudo-brunatny przodownik dawał kilkakrotnie susa w powietrze, ale Mowgli nie chciał ryzykować żadnego niepewnego chwytu. Wkońcu doprowadzony do wściekłości przerastającej znacznie miarę sił swoich, uczynił pies skok do góry, ośm stóp nad ziemię. Wtedy ręka Mowgli'ego wysunęła się błyskawicznie jak głowa drzewnego węża, i chwyciła go za kark, aż drzewo poczęło trzeszczeć pod naporem tego podwójnego ciężaru, a chłopiec omal nie spadł na ziemię. Ale nie puścił zdobyczy, jeno krok za krokiem wciągał zwierza, jak utopiony szakal, bezbronnego na górę. Poczem chwycił lewą ręką za nóż, odciął za jednym zamachem rudy, puszysty ogon i rzucił psa w dół między dole. To wystarczyło. Dole zaprzestały biec śladem Won-tolli, wyczekując, póki Mowgli ich lub one Mowgli'ego nie zabiją. Widział on je, jak siadały pod drzewem w półkolu, jak tylne nogi im drżały, co krwawą, śmiertelną, niecofnioną zemstę zapowiadało, i wdrapał się spokojnie na wyższą gałąź, oparł się wygodnie plecami i — zasnął.

Po trzech lub czterech godzinach zbudził się i rozejrzał w gromadzie. Wszystkie dole tam były, milczące, zaciekłe, krwi chciwe, z oczyma błyskającemi jak stal. Słońce kłoniło się ku zachodowi. Za pół godziny Mały Lud skalny miał zakończyć całodzienną pracę, a jak wiecie, rudy pies nie walczy dobrze w ciemnościach.

»Nie potrzebuję takiej zbytecznej straży,« zawołał chłopiec, stając na gałęzi, »ale nie zapomnę wam tego nigdy. Jesteście naprawdę dolami i, o ile sądzę, niema wielkich różnic między wami. Z tego powodu nie oddam ogona grubemu zjadaczowi jaszczurek. Nie cieszysz się Rudy Psie?«

»Pierwszy wypruję ci żołądek,« zawył przodownik, gryząc z wściekłości pień drzewa.

»Ależ zastanów się, mądry szczurze z Dekanu. Będziesz miał niedługo małe ślepe szczeniaki bez ogona, ho-ho, z kusemi kitami, w które piec będzie rozpalony piasek wśród skwaru. Wracaj do domu, Rudy Psie, i rozkrzycz wszędzie, co ci uczyniła małpa drzewna. Nie chcesz? Chodźże więc ze mną, a nauczę cię mądrości.«

Skoczył trybem małp na najbliższe drzewo i tak raz po raz z najbliższego na najbliższe przeskakiwał, a gromada biegła wraz z podniesionemi głowami żarliwemi oczyma. Od czasu do czasu udawał, że upada, więc rozwścieklone szeregi wspinały się w górę, wtłaczały na siebie, by schwycić padającego. Przedziwny zaiste był to widok — chłopak z nożem, co błyskał w brzaskach zapadającego słońca, gdy promienie ze szmerem ześlizgiwały się po konarach, a u spodu milcząca, zaciekła zgraja o grzbietach płonących w słońcu czerwono, zgraja, która cisnąc się i tłocząc biegła za nim w pościgach. Skoro przedostał się na ostatnie drzewo, stanął i natarł sobie czosnkiem starannie całe ciało, a dole zawyły z wściekłością: »Małpo o języku

wilczym, żali sądzisz, iż zdołasz przytłumić swój wstrętny odór,« zawrzasły. »Ścigać cię będziemy aż do śmierci.«

»Bierz swój ogon,« krzyknął Mowgli, rzucając ogon w tył za siebie na przebieżoną już drogę. Gromada, oczywiście, cofnęła się nieco, zwietrzywszy woń krwi. »A teraz ścigajcie mnie — aż do śmierci!«

Zsunął się błyskawicznie po pniu na ziemię i biorąc nogi za pas, pognał jak wicher ku Skałom Pszczół, nim jeszcze dole poznały, co uczynić zamierza.

Gromada zawyła przeraźliwie i puściła się za nim w pogoń — ciężkim, odmierzonym galopem, który wkońcu każde stworzenie doprowadza do utraty sił. Mowgli wiedział, że bieg gromady dolów jest o wiele wolniejszy, niż wilków, inaczej bowiem nie byłby się odważył pędzić dwie mile przez otwartą równinę. One były pewne, że chłopak wkońcu stanie się ich łupem, on był pewny, że może z nimi igrać bezpiecznie, jak długo zechce. Musiał je tylko, podniecone do wściekłości, trzymać na swoim tropie i nie dopuścić do przedwczesnego odwrotu. Biegł więc prosto przed siebie, zręcznie, lekko, elastycznie, za nim zaś w odległości najwyżej pięciu metrów galopował ów przodownik z odciętym ogonem, a za przodownikiem gromada — wściekła, oszalała, pieniąca się w bezsilnej zaciekłości — na przestrzeni półmilowej rozsypana. Bystrością ucha umiał się on utrzymać w należytej odległości, zachowując siły na ostatni pęd w wąwozie i skok ze Skał Pszczelich do rzeki.

Mały Lud był już od wczesnego zmroku pogrążony w głębokim śnie, gdyż była to pora późno rozkwitających kwiatów, ale skoro pierwsze kroki Mowgli'ego głucho zadudniały na porowatych, popękanych skałach, można było usłyszeć dźwięk, jakby cała ziemia zabrzęczała. Więc chłopiec popędził tak chyżo, jak nigdy przedtem, strącając nogą jedną — dwie — trzy kupy kamieni w głąb ciemnych,

słodkawe wonie wydzielających otchłani; usłyszał szum podobny do szumu morza w jaskini, dostrzegł przelotną źrenicą zaciemniające się czemś czarnem powietrze, ujrzał na chwilę w dole błyszczące nurty Waingungi i jakąś płaską, jak diament lśniącą głowę we wodzie; poskoczył naprzód, dobywając ostatka sił, uczuł tuż za plecami gorący, zgrzytliwy oddech paszczy dola-przodownika — i dopadł, nogami naprzód zwrócony, bezpiecznych fal rzeki: — ledwie dyszący, ale pełen triumfu. Ani jedno żądło nie ugrzęzło w jego ciele, bo woń czosnku zdołała powstrzymać roje Małego Ludu przez parę chwil, jakich potrzebował, by przebiec przez skały. Gdy zeskoczył, pierścienie Kaa podtrzymywały go mocno wśród wiru, a z końca skał spadały, niby ołowianki, wielkie kłęby pszczół, do czarnych brył podobne; a skoro raz taka latająca bryła tknęła powierzchni wody, pszczoły wzlatywały do góry, a trup dola spływał, wirując, ku dolnym brodom. Z góry rozbrzmiewały urywane, tłumione, pełne niewysłowionej wściekłości ujadania, które stłumił wnet jakowyś głuchy szum, podobny do grzmotu — szum skrzydeł Małego Ludu ze Skał. Niektóre dole wpadły w przepaści, do jaskiń podziemnych wiodące, trzepotały się tam, krztusiły, dusiły wśród rozwalonych plastrów miodu, a wkońcu rojące się pod nimi pszczół chmury porywały je ku górze i, wylatując nagle otworem jakiej nory na wybrzeże, porzucały je na skale odpadków. Inne dole uczyniły skok za mały, bo tylko do drzew stojących na brzegu, i kłęby pszczół zakryły je od stóp do głów; ale przeważna część, od ukąszeń szalona, rzuciła się w głąb szumiących, wezbranych nurtów; a, jak powiedział Kaa, Waingunga była wiecznie głodną wodą.

Kaa trzymał Mowgli'ego na powierzchni, dopóki chłopiec swobodnie nie odetchnął.

»Nie możemy tu pozostać,« rzekł wkońcu. »Mały Lud rozbudził się na dobre. Chodź!«

Płynąc głęboko i zanurzając się jak najczęściej pod wodę, zdążał Mowgli w dół rzeki, trzymając nóż w dłoni.

»Zwolna, zwolna!« rzekł Kaa. »Jeden ząb nie zabije stu, choćby to był i ząb dobry, — wiele dołów skoczyło do rzeki, ujrzawszy, że się Mały Lud ze skał wyraja. *Te* są nienaruszone.«

»Tem więcej więc będzie miał mój nóż do roboty. Hej! Jak pędzi Mały Lud w nasze tropy.« Mowgli zanurzył się znowu. Powierzchnia wody pokryła się tysiącami dzikich, wściekłych, gniewnie brzęczących pszczół, które cięły wszystko, co tylko na drodze napotkały.

»Milczenie nie zaszkodziło jeszcze nikomu,« rzekł Kaa — żadne żądło nie zdołało przebić jego potężnej skóry — »wszak masz przed sobą całą długą noc do polowania. Słuchaj, jak wyją!«

Przeważna część dołów dostrzegła pułapkę, w którą tylu wpadło, więc rzuciwszy się czem prędzej w bok, skoczyły do wody tam, gdzie ściana wąwozu stromo ku głębi opada. Okrzyki ich wściekłości, ich wygrażania »małpie drzewnej«, która ściągnęła na nich ten wstyd i klęskę, mieszały się z jękiem i wyciem tych, których Mały Lud coraz bardziej nękał i dręczył. Pozostać na brzegu znaczyło — umrzeć, i każdy dol o tem wiedział. Potężne fale ponosiły gromadę coraz dalej a dalej, coraz niżej a niżej, naprzeciw skał Kałuży Pokoju, ale aż tam ścigał ją niezmordowany wściekły Mały Lud i wpędzał z brzegów napowrót do wody. Mowgli słyszał głos kusego przodownika, który nakazywał swej zgrai trzymać się razem i zabijać każdego wilka w Seeonee. Ale przysłuchiwać się dłużej byłoby tylko stratą czasu.

»Ktoś morduje za nami w ciemnościach!« rozległ się zadyszany głos jakiegoś dola. »Woda krwią zafarbowana!«

Mowgli dał ku przodowi nura jak wydra, chwycił drżącego dola za kark, wciągnął go pod wodę, zanim ten miał jeszcze czas pysk

zamknąć, i wnet ciemne, tłuste plamy zjawiły się na powierzchni Kałuży Pokoju, a ciało jednego dola potoczyło się z pluskiem i na bok przewróciło, a nikt najmniejszego jęku nie usłyszał. Dole usiłowały zawrócić, ale siła prądu porywała je dalej, a tłumy Małego Ludu spadały na ich uszy i głowy; wreszcie tłumy napastników usłyszały zdala hasło seeoneejskiej gromady, rozlegające się coraz to głębiej i donośniej w gęstniejących ciemnościach nocy. I znowu dał Mowgli susa pod wodę, i znowu zanurzył się jeden dol w nurtach i wypłynął martwy, i znowu rozległy się wrzaski na tyłach, jakoby lepiej było wypłynąć na ląd; inne zaś dole wołały do przodowników, że chcą wracać do Dekanu, inne znowu groziły Mowgli'emu krwawą zemstą.

»Każdy z dolów idzie do boju z dwoma żołądkami i licznemi głosami«, rzekł Kaa. »Reszty niech dokonają twoi bracia tam w dole. Mały Lud zawraca z drogi i idzie spać. Ja także. Nie zwykłem pomagać wilkom.«

Wzdłuż wybrzeża biegał wilk o trzech nogach, ciskał się w górę i w dół, rozciągał się na boku, prężył grzbiet i wyrzucał łapami w powietrze, jak gdyby igrał ze szczeniętami. Był to Won-tolla, Odludek, który nie rzekłszy ani słowa, w oczach dolów straszliwe zataczał tany. One zaś, pobywszy długi czas we wodzie, płynęły z ogromnym wysiłkiem, skóra ich była przemoczona i ciężka, puszyste ogony, jak gąbki wodą nasycone, wlokły się ociężale; zwierzęta były zmęczone i zmordowane tak, że nie znajdując słów dla gniewu lub zachęty, wpatrywały się milcząco w parę lśniących oczu, poruszających się za niemi na brzegu.

»Niedobre to polowanie,« rzekł wkońcu jeden z płynących.

»Dobre polowanie!« zawołał Mowgli, wynurzając się z nurtów tuż obok zwierzęcia, i pchnął mu nóż między łopatki z tak ogromną siłą, że zwierzę nie zdołało ukąsić go przed śmiercią.

»Jesteś tam, szczenię-ludzkie?« krzyknął z ławicy Won-tolla.

»Spytaj zabitych, Odludku,« odpowiedział Mowgli. »Czyż nie zaniosła ich fala na brody? Jam to ponapychał błotem te psie paszczęki; jam igrał z njmi za dnia, jam odciął ogon ich dowódcy, ale i dla ciebie dość ich pozostało. Dokądże mam je zapędzić?«

»Zaczekam,« rzekł Won-tolla. »Jeszcze cała noc przedemną, a będę się dobrze rozglądał.«

Coraz bliżej a bliżej rozbrzmiewały hasła wilków z Seeonee. »Za gromadę, za całą gromadę! Na bój! na bój!« i rzeka skręcająca w bok łożysko, rzuciła całą zgraję dolów na piaski i mielizny, naprzeciw leż seeoneejskich.

Teraz poznały dole swój błąd. Miały przecież wylądować o pół mili dalej i zaatakować gromadę wilków na suchym terenie. Ale już było za późno. Wybrzeże roiło się od dziko rozpalonych oczu i prócz złowrogiego *Pheeal'a*, który od zachodu słońca nie przestawał rozbrzmiewać, nie było żadnego choćby najmniejszego szmeru w Dżungli. Zdawało się, jakoby Won-tolla zapraszał wrogów do wylądowania; i »Stańcie przodem i zabijajcie!« zakrzyknął przodownik dolów. Gromada rzuciła się ku brzegom, przebiegając brody, cisnąc się i tłocząc tak, że spieniła się powierzchnia Waingungi, a wielkie fale zakołysały się od brzegu do brzegu. Mowgli puścił się za tłumem i kłuł i ciął, podczas gdy zwarte dolów masy, niby to ogromna fala, na brzeg się wspinały.

I zawrzał wielki bój; to skupiał się, to rozstrzelał, to zwierał się, to rozrywał na wilgotnym czerwonym piasku, między wiklinami drzew, nad korzeniami gubiącemi się w ziemi, skróś krzewów i traw, na drobnych ostrowach zieleni, ale i teraz nawet przypadały dwa dole na jednego wilka. Lecz zmagające się w boju wilki walczyły przecież w obronie całej gromady, i to nie tylko sami łowcy z gromady

o zapadłych piersiach i białych kłach, ale także i lahinie o dzikiem wejrzeniu, czyli wilczyce z legowisk, które z zaciętą wściekłością zwykły stawać w obronie swego pomiotu, a tu i tam zjawiał się i jednoroczny wilczek, wełnistą jeszcze sierścią pokryty, który junacko stawał przy boku matki. Wilk, musicie wiedzieć, chwyta zwykle za gardło lub wgryza się w bok, podczas gdy dol kąsa od dołu, przeto też przewaga była po stronie wilków, gdyż dole, dobywając się z trudem z wody, musiały głowy trzymać do góry; na suchym jednak gruncie przewaga była po stronie dolów, ale nóż Mowgli'ego sprawiał się równie dzielnie na lądzie i na wodzie. Czterech przyjaciół chłopca przebiło się doń przez tłum walczących. Szary Brat kręcił się koło jego kolan i strzegł mu piersi, podczas gdy inni pilnowali mu pleców i każdego boku, lub czuwali nad nim, gdy runął, przygnieciony ciężarem dola, który wyskakując z wyciem z tłoku walczących, obalał go, padając na nadstawione ostrze noża. Zresztą była cała walka jednym straszliwym wirem — jednym gęstym, drgającym kłębem, który się toczył od prawej ku lewej wzdłuż brzegu i kręcił się zwolna wkoło i wkoło i wirował i szalał. Tam pod naporem i tłokiem wypiętrzał się ku górze żywy wał, jak pęcherz wodny na wirującej topieli, pękał jak pęcherz wodny i wyrzucał kilka okaleczonych psów, które się po chwili znowu ku środkowi przeciskały; tu samotny wilk bronił się trzem rozwścieczonym dolom, które zatopiły kły w jego ciele, i wlókł je na sobie, dopóki sam nie padł. Indziej jednoroczny wilczek, naciskany dokoła, wylatywał wysoko w powietrze, choć był już na początku walki zabity, a matka jego, obłąkana bolem i wściekłością, biegała dokoła i gryzła i powalała na ziemię wszystko i wszystkich; a w samem jądrze najzaciętszej walki nieraz wilk i dol, zapominając o wszystkiem, zużywały cały zapas przebiegłości i chytrości, by się nawzajem pokonać, aż — zmiatały ich z drogi pędzące na

oślep falangi dziko wyjących wojowników. Raz w tłumie natknął się Mowgli na Akelę, który, mając u każdego boku jednego dola, zaciskał bezzębne prawie szczęki na biodrach trzeciego; innym razem ujrzał Phaona, który wpił zęby w gardło dola i wlókł za sobą szamotające się zwierzę, aż wreszcie jednoroczne wilczki walkę zakończyły. Ale środek boju tonął w ślepym wirze, kurzawie i mroku; jęki, uderzenia, ciosy, razy, wrzaski i jakieś głuche warczenia rozlegały się przed nim, za nim, koło niego.

W miarę, jak noc zapadała, wzmagało się chyże walki kołowanie. Dole zmęczone już i zmordowane, bały się zarywać z silniejszemi wilkami, a nie mogły się zdobyć na ucieczkę; ale Mowgli zrozumiał, że nadchodzi kres walki, więc nie zabijał, jeno ubezwładniał nieprzyjaciół. Jednoroczne wilczki nabrały zuchwałości i buty; czas był już spocząć i ochłonąć; a jeden najmniejszy błysk noża wystarczał do odpędzenia każdego dola.

»Mięso jest bliskie kości,« szepnął Szary Brat, ciężko dysząc. Z jego mnogich ran krew lała się obficie.

»Ale najpierw kość musi się skruszyć,« rzekł Mowgli. »Aowawa! *Tak* to idzie u nas w Dżungli!« Czerwona jak ogień klinga błysnęła wzdłuż grzbietu dola, którego tylna część zakryta była ciężarem wpijającego się weń wilka.

»Mój łup!« parsknął wilk przez zaciśnięte nozdrza. »Ostaw go dla mnie!«

»Więc twój żołądek *jeszcze* próżny, Odludku?« rzekł Mowgli. Won-tolla był strasznie poraniony, ale jego kły ubezwładniały dola na tyle, że nie mógł się ani ruszyć ani dosięgnąć napastnika.

»Na wołu, który mnie okupił,« zakrzyknął Mowgli, uśmiechając się jadowicie, »toż to mój kusy!«. Rzeczywiście był to wielki, rudobrunatny przodownik gromady.

»Nie mądrze to dybać na młode wilczki i lahinie,« ciągnął Mowgli dalej z iście filozoficzną powagą, przyczem ścierał sobie krew z powiek, »jeśli się wprzód ojca-wilka nie zabije, a mam to niezbite przekonanie, że ten ojciec-wilk z życiem ciebie nie wypuści.«

Jeden z dolów poskoczył na pomoc przodownikowi, ale nim jeszcze kły jego zatonęły w boku Won-tolli, utkwił mu nóż Mowgli'ego w piersi, a Szary Brat dokonał reszty.

»Tak to idzie u nas w Dżungli,« dokończył Mowgli.

Won-tolla nic nie odpowiedział, tylko jego szczęki wpijały się coraz to mocniej i mocniej w kość pacierzową śmiertelnego wroga w miarę, jak życie w nim gasło. Dol zadrżał, zwiesił głowę i legł bez ruchu, a Won-tolla runął nań całym ciężarem swego ciała.

»Hush! krew już pomszczona,« rzekł Mowgli. »Zaśpiewaj pieśń, Won-tolla!«

»Skończone na zawsze jego łowy,« rzekł Szary Brat, »i Akela zamilknął — oddawna.«

»Kość już zgryziona!« zagrzmiał Phao, syn Phaona. »Uciekają! Mordujcie ich, tępcie ich, o myśliwi Wolnego Ludu!«

W dzikim popłochu zbiegły dole z wilgotnych, czerwonych piasków do fal rzeki, do gęstych Dżungli, w dół lub w górę łożyska, gdzie tylko ujrzały wolne przejście.

»Dług! Dług!« zakrzyknął Mowgli. »Spłaćcie im dług! oto zabity przez nich wilk-samotnik. Niech żaden pies wam nie ujdzie!«

I z nożem w dłoni popędził ku rzece, aby przebić każdego dola, który się do nurtów przedostać zdołał, gdy wtem wśród dziewięciu zabitych ujrzał głowę i pierś Akeli. Mowgli padł na kolana przy ciele wilka-przodownika.

»Czyż nie mówiłem, że będzie to już ostatnia moja walka?« szepnął Akela. »Dobre to było polowanie. A ty, mały bracie!«

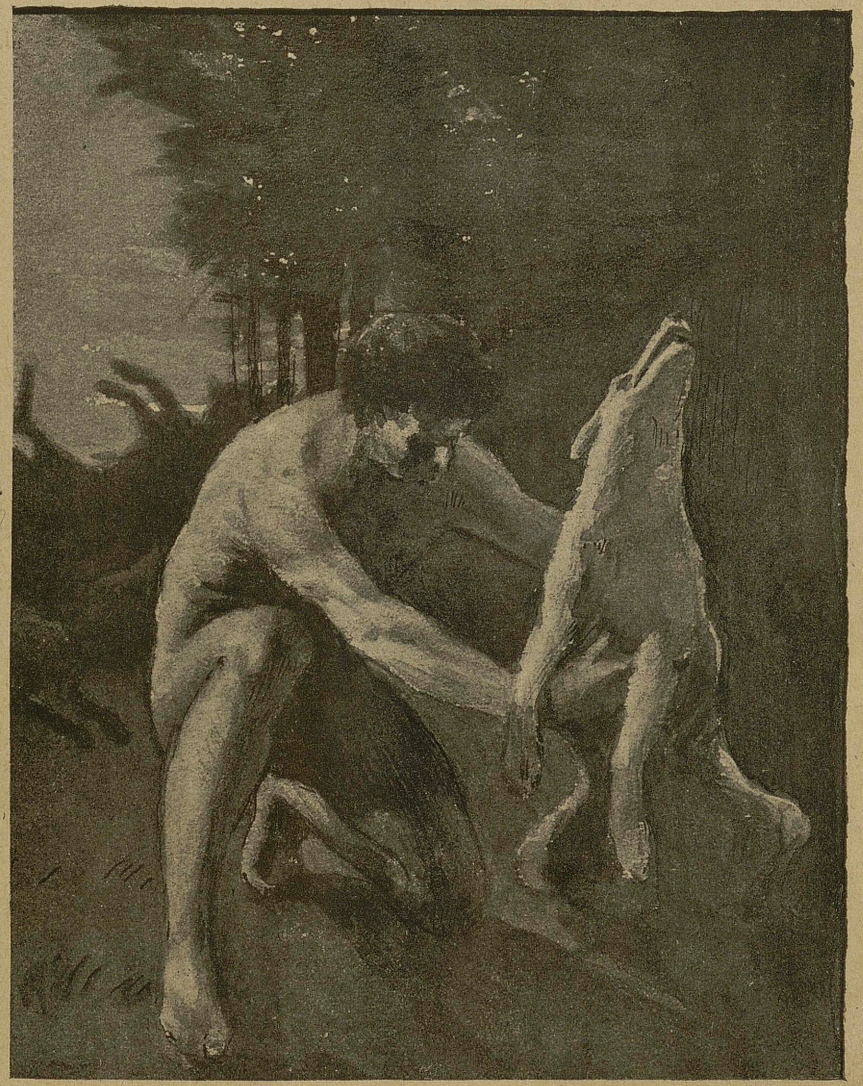

»Żyję — zabiłem wielu.«

»Wiem o tem. Umieram — a chciałem — a chciałem umrzeć przy tobie, mały bracie.«

Mowgli złożył straszliwy, okrwawiony łeb zwierza na swojem łonie i otoczył ramionami jego szyję.

»Hej, gdzież są te dawne, te dobre dnie, gdy żył Shere Khan, a szczenię ludzkie tarzało się w piasku wśród południowych skwarów,« wykrztusił Akela.

»Nie, nie, jam wilk. Jednej skóry jesteśmy — ja i Wolny Lud,« krzyknął Mowgli. »Nie chcę, brzydzę się być człowiekiem.«

»A jednak jesteś człowiekiem, mały mój bracie, wilczku mego chowu. Jesteś całym człowiekiem, gdyż inaczej byłaby gromada nasza umknęła przed dolami. Zawdzięczam ci życie; ocaliłeś gromadę w tym samym dniu, w którym ja ciebie niegdyś ocaliłem. Czy pamiętasz te czasy! Dług więc spłacony. Wracaj do swego ludu. Powtarzam ci to, źrenico oka mego, że *te* łowy na zawsze skończone. Wracaj do swego ludu.«

»Nie wrócę nigdy. Sam będę polował w Dżungli. Powiedziałem.«

»Po lecie następują deszcze, po deszczach nadchodzi wiosna. Wracaj, póki cię nie przepędzą.«

»I któż mnie przepędzi?«

»Mowgli przepędzi Mowgli'ego. Wracaj do swego ludu. Wracaj do ludzi!«

»Gdy Mowgli Mowgli'ego przepędzi, wtedy powrócę,« odpowiedział Mowgli.

»Nie przemówię już więcej do ciebie,« rzekł Akela. »Teraz do ludu mego przemówię. Mały bracie, czy zdołasz mnie postawić na nogi? Jam także przodownik Wolnego Ludu.«

Ostrożnie i delikatnie postawił Mowgli Akelę na nogi, objął go ramionami, a wilk-przodownik odetchnął głęboko i zaintonował Śpiew

Śmierci, który winien śpiewać każdy dowódca gromady przed zgonem. A pieśń wzbierała i potężniała i wybiegła hen... daleko, za brzegi Waingungi, a kiedy zabrzmiały ostatnie jej słowa »Szczęśliwych łowów!« — wyrwał się Akela z ramion Mowgli'ego, dał ostatniego susa w powietrze, i padł na wznak martwy — padł martwy na cielsko swego ostatniego wroga

Mowgli siedział, zwiesiwszy głowę na kolana, nieruchomy i nieprzytomny; tymczasem straszliwe lahinie rozszarpywały konających nieprzyjaciół na pobojowisku. Zwolna zamierały wszystkie jęki, gasły wszystkie odgłosy, a wilki wracały, utykając, z ranami w powietrzu krzepnącemi, aby policzyć zabitych. Pięćdziesięciu członków gromady i kilka lahiń leżało na brzegu, a z pozostałych nikt nie wyszedł bez rany. Mowgli przesiedział całą noc do zimnego świtania, wreszcie wilgotne krwawe nozdrza Phaona dotknęły jego dłoni, wtedy Mowgli cofnął się w tył i pokazał mu wychudłego trupa Akeli.

»Szczęśliwych łowów!« krzyknął Phao tak właśnie, jakby Akela żył jeszcze, poczem odwróciwszy głowę, zawołał przez poszarpane ramię do drugich: »Wyjcie, psy! Wilk umarł tej nocy!«

Ale z całej gromady bitnych dolów, Rudych Psów z Dekanu, które się tem chełpią, że żaden żyjący twór w Dżungli drogi im zagrodzić nie zdoła, ani jeden nie powrócił do Dekanu z wieścią o stoczonym boju.

PIEŚŃ CHIL'A

[Oto pieśń, którą śpiewał Chil, gdy sępy spadały jeden za drugim na brzeg rzeki po ukończeniu wielkiego boju. Chil żyje na dobrej stopie ze wszystkiemi, ale ma serce zimne, bo wie, że ostatecznie wszyscy staną się jego łupem.]



Oto towarzysze moi, — noc kryła ich ślad —
(Chil! Wieści od Chil'a!)
Teraz gwizd mój im obwieszcza kres walki i zwad.
(Chil! Przednia straż Chil'a!)
Hasło dali mi na polu szarpiąc świeży łup,
Hasło dałem im na łące u koźlęcia stóp.
Tu się wszelki ślad urywa — już milczą jak grób!

Ci, co łowy głosząc biegli skróś lasu i dróg —
(Chil! Wieści od Chil'a!)
W lot *sambhur'a* otaczali, zbijali go z nóg —
(Chil! Przednia straż Chil'a!)

Co na tyłach trop węszyli, lub biegli na przód,
Co róg w pędzie przesadzali, nim ich z drogi zmiótł;
Tu się wszelki ślad urywa — skończony ich trud!

Oto towarzysze moi: szereg martwych ciał —
(Chil! Wieści od Chil'a!)
A jam ich tak dzielnych niegdyś, tak zuchwalych znał;
(Chil! Przednia straż Chil'a!)
Bok zszarpany, krew w paszczęce, wzrok zeszklił się, zbladł —
Leżą nędzni, cisi, smutni, trup na trupa padł.
Tu się wszelki ślad urywa — tu uczta dla mych stad!

BIEG WIOSENNY

Człowiek wraca do ludzi! Rzuć hasło w głąb Dżungli!
Ten, co nam bratem był, odchodzi precz.
Usłysz i osądź, — o ludu Dżungli,
Mów, kto go wstrzyma, kto zawróci wstecz?

Człowiek wraca do ludzi! Zapłakał w Dżungli —
Pogrążon w smutku nasz drogi brat!
Człowiek wraca do ludzi! (Och, kochaliśmy go w Dżungli!)
Któż z nas z nim wejdzie na ludzki ślad?

W rok po wielkim boju z Rudemi Psami i po śmierci Akeli skończył Mowgli szesnaście lat życia. Wyglądał o wiele starzej, gdyż wytężony ruch, doskonałe pożywienie i częsta kąpiel, której używał, ilekroć się zmęczył lub okurzył pyłem, uczyniły go nad wiek rosłym i silnym. Mógł osadzić na miejscu młodego kozła, pędzącego w szalonym galopie, chwycić go za rogi i w bok odrzucić. Mógł nawet powalić ogromnego dzika, który żyje w Bagnach Północy. Lud Dżungli, który czuł trwogę przed nim dla jego rozumu i przebiegłości, zaczął się go teraz obawiać dla jego niepospolitej siły, a kiedy czasem w głębokiej zadumie posuwał się wolnym krokiem skróś puszczy, cichy szept, »że nadchodzi«, opróżniał wszystkie leśne drożyny. A jednak spojrzenie jego oczu było zawsze łagodne. Nawet gdy walczył, nie strzelały blaskiem jego oczy, jak np. oczy Bagheery. Stawały się jeno żywsze i przenikliwsze, i była to jedna rzecz, której Bagheera w żaden sposób zrozumieć nie mogła.

Zapytała o to raz Mowgli'ego, a chłopak zaśmiał się i odpowiedział: »Kiedy chybię zwierza, jestem zły, kiedy muszę chodzić dwa dni o pustym żołądku, jestem bardziej zły. Czyż moje oczy nie mówią tego?«

»Usta głodne,« rzekła Bagheera, »ale oczy nie mówią nic. Jednakowe one zawsze — czy polujesz, czy jesz, czy pływasz — ni to kamień w lecie lub jesieni.« Mowgli spojrzał na nią z pod długich rzęs rozmarzonym wzrokiem i, jak zwykle, głowa pantery zwiesiła się ku dołowi. Bagheera znała swego władcę.

Leżeli raz na zboczu wzgórza, z którego rozpościerał się przedziwny widok na fale Waingungi — pod nimi ścieliła się mgła poranna w szerokich, białych i szarych smugach. A skoro słońce weszło, rozpłynęły się owe smugi w prawdziwe morza złota i purpury, morza, co pełnemi wzbierały falami i dogasały, dziergając blademi odblaskami murawę, na której spoczywali Mowgli i Bagheera. Miało się już pod koniec zimnej pory roku, drzewa zeschły, liście powiędły, i tylko zdala dolatywał jakiś suchy, monotonny dźwięk, ilekroć wiatr zawiewał. Mały to, zeschły listek uderzał o obnażoną gałąź, jak to się często wśród wiatru zdarza. Ostry szmer listka obudził Bagheerę; pełnym, głębokim oddechem wciągała w piersi wonne, rzeźkie powietrze, wreszcie przewróciła się na grzbiet i poczęła wyrzucać łapy w powietrze, jakby chciała uchwycić chwiejący się na gałęzi listek.

»Zmiana roku,« rzekła, »Dżungla idzie naprzód. Czas Nowej Mowy już bliski. Listek wie o tem. Jak to dobrze!«

»Trawa sucha,« odpowiedział Mowgli, pęk trawy wyrywając z ziemi. »Nawet Oko Wiosny (jest to mały, czerwony, miękki, zwinięty w trąbkę kwiatek, który wyrasta gdzie niegdzie między trawami) — nawet Oko Wiosny jest zamknięte i . . . Bagheero, *wypadaż*-to czarnej panterze padać na grzbiet i wymachiwać nogami w powietrzu, jak kotce drzewnej?«

»Aowh!« rzekła Bagheera. Zda się, myślała o czemś innem.

»Powiadam: godziż się to, aby czarna pantera tak poziewała, chrząkała, wyła i tarzała się po ziemi? Zastanów się: myśmy przecież władcami Dżungli, ty i ja.«

»Ma się rozumieć, tak; słyszę, Mały Bracie.« Bagheera okręciła się szybko dokoła i usiadła w kurzu na swoich wystrzępionych bokach. (Zrzucała właśnie ze siebie futro zimowe.) »Tak, myśmy władcami Dżungli. Któż równy siłą Mowgli'emu? Któż rozumem?« Był jakiś dziwny ton w jej głosie, więc Mowgli obrócił się i spojrzał, czy sobie z niego nie żartuje, bo Dżungla pełna jest takich słów, które inaczej brzmią a inne mają znaczenie. »Myślę, żeśmy bezsprzecznie władcami Dżungli,« powtórzyła Bagheera. »Czyż nie mam słuszności? Nie wiedziałam, że szczenię ludzkie nie leży już na ziemi. Może zechce pofrunąć, co?«

Mowgli siedział, oparłszy łokcie na kolanach, i patrzał w głąb doliny na wstające swiatło dnia. Tu i tam, w dolinach i lasach, próbował jakiś ptak, to mniej to więcej dźwięcznie, uderzyć w pierwsze tony wiosennej swojej pieśni. Był to ledwie cień tych cudnych, słodkich, drgających pieśni, które później z przepełnionej piersi śpiewaków wylać się miały, ale Bagheera ją rozumiała.

»Mówiłam, że Czas Nowej Mowy już bliski,« zamruczała pantera przecinając ogonem powietrze.

»Słyszę,« odpowiedział Mowgli. »Dlaczego wstrząsasz się i drżysz, Bagheero. Wszak słońce grzeje.«

»To Ferao, szkarłatny dzięcioł,« rzekła Bagheera. »On nie zapomniał. Teraz i ja przypomnę sobie swój śpiew,« i poczęła od czasu do czasu mruczeć i warczeć i nadsłuchiwać.

»Wszak tu niema zwierzyny,« rzekł Mowgli spokojnie.

»Czyś ty już *całkiem* ogłuchł, mały bracie? Wszak to nie okrzyk łowiecki, jeno pieśń moja, do której gardło nastrajam.«

»Zapomniałem o tem. Ale zauważę to, gdy nadejdzie już Czas Nowej Mowy, bo ty i inni wdal wtedy odbiegacie i zostawiacie mnie samego.« Mowgli mówił z dojmującą złośliwością.

»Ależ doprawdy, braciszku,« rozpoczęła Bagheera, »nie czynimy tego zawsze — —«

»Mówię, że odbiegacie,« rzekł Mowgli, grożąc gniewnie palcem. »*Odbiegacie*, a ja, który jestem władcą Dżungli, muszę *sam* się błąkać po Dżungli. Jak się to stało w czasie ostatnich deszczów, gdym chciał zbierać trzcinę cukrową na ugorach ludzkiej gromady? Wysłałem posłańca — wysłałem ciebie! — do Hathi'ego z rozkazem, aby zjawił się w nocy i nazrywał mi trąbą tej słodkiej trawy.«

»Zjawił się, ale o dwie noce później,« rzekła Bagheera, pochylając się nieco, »i narwał tej słodkiej trawy, co ci tak smakuje, więcej, niż zjeść zdoła szczenię ludzkie w przeciągu wszystkich nocy podczas pory deszczowej. Nie moja to była wina.«

»Nie przybył tej nocy, której przyjść mu kazałem. Nie! — wydawał trąbą ryki, pędził przez doliny, kołysał się w świetle miesiąca. Ślad jego był równy śladom trzech słoni, gdyż nie chciał kryć się za drzewa. Tańczył w świetle księżyca przed chatami ludzkiej gromady. Widziałem go, i nie chciał przyjść do mnie; a jestem przecie Mistrzem Dżungli.«

»Był to czas Nowej Mowy,« rzekła pantera pokornie. »Może, mały bracie, nie posłałeś mu wówczas tajemnego hasła? Słyszysz? Ferao!«

Gniew Mowgli'ego ustąpił. Rzucił się na murawę, skrzyżował dłonie pod głową, przymknął oczy. »Nie wiem — nie obchodzi mię to,« szepnął sennie. »Śpijmy Bagheero. Żołądek mój ciężki. Uczyń mi posłanie pod głowę.«

Pantera rozciągnęła się na ziemi z głębokiem westchnieniem, słysząc, jak Ferao ćwiczył się w swej pieśni, przeznaczonej — jak mówią — na wiosenny czas Nowej Mowy.

W indyjskiej Dżungli spływają się ze sobą wszystkie pory roku prawie bez różnicy. Istnieją na oko dwie pory — mokra i sucha, ale

przypatrując się bliżej, dostrzeże każdy, że między strugami ulewy a chmurami rozpalonego kurzu i pyłu wszystkie cztery w porządku po sobie następują. Wiosna jest tu przedziwna, gdyż nie pokrywa obnażonych, nagich pól świeżem liściem i kwieciem, lecz przepędza i niszczy mrące resztki napół uwiędłej zieleni, którym łagodna zima nie odebrała życia, i czyni ziemię na nowo młodą, bujną i świeżą. A robi to wszystko tak, że żadna wiosna na świecie nie jest podobną do wiosny w Dżungli.

I nadchodzi dzień, gdy wszystko tonie w jakiemś znużeniu, nawet wonie, ciężkiem powietrzem przeciągające, zdają się jakieś stare i zwietrzałe. Czuje się to dobrze, ale wytłumaczyć to trudno. I nadchodzi inny dzień — dla oka nic się nie zmienia — ale wszystkie wonie są świeże i upajające, a wąsy plemion Dżungli drżą aż do korzeni, a zimowe futra opadają z boków zwierząt w długich, poszarpanych płatach. Potem upada krótkotrwały deszcz, i wnet wszystkie drzewa i krzewy i mchy i rośliny soczystemi pędy budzą się do życia — budzą się z szumem, który, zda się, ucho chwyta, a prócz tego szumu rozlegają się jakieś głębokie, niskie brzęczenia i we dnie i w nocy. To szum Wiosny: — te piętrzące się w górę brzmienia nie idą od skrzydeł pszczelich, nie idą od wiatrów w wierzchołkach drzew śpiewających, nie idą od wodospadów, lecz są radosnym pogłosem ciepłej, szczęśliwej Ziemi.

Aż do tego roku witał Mowgli z największą radością każdorazowy powrót Wiosny. On pierwszy wynajdywał drobne Oko Wiosny, w gęstych trawach ukryte, on pierwszy dostrzegał blaski na wiosennych obłokach, zjawisko, któremu nic równego w Dżungli niema. Głos jego rozbrzmiewał na wszystkich kwieciem usłanych murawach, w blaskach księżyca, gdy wraz z wielkiemi żabami w chórze śpiewał, lub przedrzeźniał wrzaski małych sów, nawołujących się nocą, gdy

białe światło księżyca padało na Dżungle. Jak dla całego ludu Dżungli, była i dla niego każda wiosna czasem biegu; — upojony nowem, świeżem powietrzem, przebiegał drogę trzydziestu lub czterdziestu mil między zachodem słońca a brzaskiem gwiazdy porannej, i wracał zadyszany, uśmiechnięty, w wieńcu przedziwnych kwiatów na głowie. Czterej jego bracia nie brali udziału w tym dzikim pędzie skróś Dżungli, byli bowiem zdala od niego, śpiewając wraz z Gromadą pieśni odradzającej się wiosny. Lud Dżungli jest bardzo zajęty na wiosnę; a Mowgli słyszał chrząkania, okrzyki, świsty każdego gatunku zwierząt. Głosy ich brzmią inaczej na wiosnę, niż w innych porach roku, przeto wiosna nazywa się czasem »Nowej Mowy«.

Ale tej wiosny dziwne jakieś uczucie ogarnęło duszę Mowgli'ego. Przez cały czas, odkąd pędy bambusowe pokryły się ciemnemi plamkami, oczekiwał z tęsknotą świtu, kiedy zrodzą się świeże wonie. Ale skoro zabłysnął poranek, gdy paw Mor, bronzem, błękitem i złotem lśniący, rzucił wieść o tem w dżdżące wonną wilgocią lasy, a Mowgli otworzył usta, aby okrzyk dalej podać, słowa uwięzły mu w gardzieli i przeniknęło go nawskróś jakieś dziwne uczucie, uczucie dojmującego bolu tak, że oglądnął uważnie całe swe ciało, czy go cierń przypadkiem nie skaleczył. Mor okrzykiwał świeże wonie, reszta ptactwa podawała dalej to hasło, a od strony brzegów Waingungi usłyszał Mowgli gorący okrzyk Bagheery, podobny na poły do skwiru orła, na poły do rżenia rumaka. *Bandar-log* przelatywał tłumnie między gałęźmi drzew, co świeżem pąkowiem strzelały, a Mowgli stanął z wezbraną piersią, aby odkrzyknąć Mor'owi, ale gardło mu się ścisnęło i jęknął w niewysłowionej boleści.

Obejrzał się dokoła — ale ujrzał tylko małpy w gałęziach igrające i Mor'a, jak świecące rozwinąwszy pióra, tańczył na kwiecistym stoku wzgórza.

»Odmieniły się wonie,« krzyknął Mor. »Szczęśliwych łowów, mały bracie! Jaką dasz odpowiedź?«

»Mały bracie, szczęśliwych łowów!« świsnął sęp Chil, i wraz z samicą zniżył swoj lot ku ziemi. I przelecieli oboje tak blisko Mowgli'ego, że poczuł muśnięcie białych, puszystych piór na twarzy.

Lekki deszczyk wiosenny — nazywają go deszczem słoni — począł siec Dżunglę w półmilowym promieniu dokoła, skropił młode pędy, zachwiał trawami i listkami i rozpłynął się w podwójnej tęczy i łagodnym grzmocie. I rozległ się szum wiosenny i zgasł za chwilę; poczem zaczęła gwarzyć cała Dżungla. Wszyscy, prócz Mowgli'ego.

»Wszak jadłem dobrą strawę,« rzekł do siebie. »Wszak piłem dobrą wodę. Krtań mnie nie pali, ani też nie ściąga się jak wtedy, gdym ukąsił sinawy korzeń, o którym powiedział żółw Oo, że jest dobrem pożywieniem. Ale żołądek cięży mi we wnętrzu, a nagadałem bez powodu przykrych słów Bagheerze, wilkom i innym z Dżungli. Raz jestem gorący, raz zimny, po chwili znowu ani zimny, ani gorący, lecz przygnębiony czemś, czego nie widzę. Huhu! Oto nadszedł czas wiosennego biegu! Tej nocy popędzę daleko! Odbędę bieg do Bagien Północy i napowrót. Polowałem zbyt długo, zbyt niedbale; czterech mych braci niech za mną pobieży — i tak okrągleją, jak białe robaki.«

Zawołał, ale żaden mu nie odpowiedział. Wszystkie wilki były daleko, poza obrębem głosu chłopca, i śpiewały pieśni wiosenne — pieśni księżyca i *sambhur'a*; gdyż w porze wiosennej nie czyni lud Dżungli różnicy między dniem a nocą. Mowgli zaszczekał ostro, głośno, ale jedyną odpowiedzią było złośliwe, szydercze »*miau*« małej, pręgowatej kotki drzewnej, która, buszując po gałęziach, gniazd ptasich szukała. Więc gniew straszliwy zatrząsł chłopcem, który wnet nóż do połowy obnażył; poczem wyprostował się dumnie w górę, choć nikt nań nie patrzył, i począł zstępować wolno z pagórka, wysunąwszy

podbródek i nasrożywszy brwi. Ale nikt z ludu nie przemówił do niego, bo wszyscy byli zajęci sobą.

»Tak,« rzekł Mowgli do siebie, chociaż czuł, że nie miał słuszności. »Niechże się zjawi Rudy Pies z Dekanu, niech Kwiat Czerwony zatańczy w bambusowym gaju, a wnet cała Dżungla runie do stóp Mowgli'ego i przemówi doń wyrazami godnemi wielkich słoni. Ale teraz, ponieważ Oko Wiosny zaróżowiło się, a Mor uważa za stosowne pokazać gołe nogi w jakimś głupim wiosennym tańcu, cała Dżungla szaleje, jak Tabaqui . . . . Na wołu, który mnie okupił, jestemże ja Mistrzem Dżungli, czy nim nie jestem? Cicho! Czego tu chcecie?«

Dwa młode wilczki z gromady wpadły na drogę, szukając bezdroża dla stoczenia bójki. (Przypominacie sobie zapewne, że Prawo zabrania bić się w obliczu gromady.) Włosy na grzbiecie zjeżyły im się jak druty i szczekały zajadle, żądzą walki ogarnięte. Mowgli poskoczył naprzód, chwycił jednego i drugiego wilka za szyję, by w bok odrzucić rozjuszone zwierzęta, jak to nieraz dla zabawy czynił podczas gromadnego polowania. Ale dotychczas nie mieszał się jeszcze nigdy do walk wiosennych. Obaj przeciwnicy, niezbici z tropu, popędzili dalej, cisnęli nim o ziemię, i nie tracąc ani słowa, zwarli się ze sobą w zaciekłej walce.

Mowgli zerwał się z ziemi prędzej, niż padł; w jego dłoni błysnął obnażony nóż, a zęby zgrzytnęły dziko. W jednej chwili mógł zabić zuchwalców, którzy się zmagali wbrew jego woli, chociaż każdemu wilkowi wolno walczyć, jeśli walka toczy się według Prawa. Ściągnąwszy ramiona i drżąc na całem ciele, skakał on dokoła walczących, aby wymierzyć im podwójny cios, skoro tylko pierwsza gorączka walki przeminie — ale czekając na tę chwilę, wnet uczuł, że siła go opuszcza, więc spuścił ostrze noża i wsunął go w pochwę.



»Zjadłem truciznę,« szepnał do siebie »Odkąd rozpędziłem Radę wilków Czerwonym Kwiatem, odkąd zabiłem Shera Khan'a, nikt z gromady pokonać mnie nie zdołał. A ci oto — to przecież najmizerniejsze wilki z całej gromady! Siły opuszczają mnie, umrzeć muszę. Och, Mowgli, dlaczego tych dwóch nie zabijesz?«

Walka trwała tak długo, dopóki jeden z wilków nie uciekł. Wtedy Mowgli usiadł na podeptanej, pokrwawionej murawie i począł się przyglądać uważnie to swemu nożowi, to ramionom, to nogom, a owo uczucie niewytłumaczonego smutku pochłaniało go tak, jak pochłania rzeka pień drzewa, falą ku brzegom pędzony.

Ubił zwierzynę przed wieczorem, ale jadł mało,

by zachować lekkość i zwinność do wiosennego biegu. Nikt z Dżungli nie jadł z nim — lud cały śpiewał i polował gdzie indziej. Była to cudna, biała noc. Wszystkie rośliny wyrosły od rana, zda się, o tyle, o ile wyrastają zwykle w przeciągu całego miesiąca. Gałąź, wczoraj jeszcze żółtem, uwiędłem liściem pokryta, wylewała całe strugi ciężkich soków, gdy ją Mowgli nadłamał. Mchy skręcały się ciepło i głęboko pod jego stopami, młoda trawa nie miała już ostrych brzegów, a w Dżungli wirowały jakieś słodkie, zawrotne brzęczenia, ni to dźwięków pełna harfa, dotknięta księżycem — tym księżycem »Nowej Mowy,« który powodzie światła rozlewa obficie po skałach i moczarach, wciska je między pnie a liany i obsypuje blaskami miliony świeżych pędów i liści. Choć smutek był w sercu Mowgli'ego, wyrwała mu się jednak z podziwem przejętej duszy pieśń upojenia, gdy wypoczynał swój bieg — był to raczej lot, tak lot przez pochyłe wzgórza, co biegną środkiem Dżungli i ku Bagnom Północy, łagodnem kłonią się zboczem, pęd, którego echa tłumił namokły, sprężysty grunt w tych miejscach. Człowiek, wzrosły wśród ludzi, byłby odbywał tę drogę z całą ostrożnością, chwiejąc się i potykając co chwila wśród zdradliwych wądołów, światłem księżyca oblanych, ale wyćwiczone i jak stal elastyczne muszkuły chłopca unosiły go lekko, jak pióro. Jeśli zbutwiały pień lub ukryty kamień nawinął mu się pod nogi, nie zatrzymywał się bieg jego; bez wahania i wysiłku zmagał chłopiec przeszkodę i pędził dalej. Jeśli mu się znudziła podróż po stałym lądzie, wyciągał jak małpa rękę do najbliższej liany i wzlatywał ku górze, na szczyt drzewa. Podróż, odbywana na lądzie, ciągnęła się dalej wierzchołkami drzew, na które Mowgli przeskakiwał, aż gdy się wreszcie zmęczył, zataczał w powietrzu sprężysty łuk i zlatywał na ziemię. I biegł dalej przez rozpalone wykroty między skałami, gdzie ciężkie wonie kwiatów nocnych i lian pierś mu tłoczyły, przez aleje

ciemnych drzew, które światło księżyca regularnemi powlekało pręgami, a one lśniły jak mozaika na chórze kościelnym; przez gąszcze, gdzie młode soczyste pędy do piersi mu sięgały i owijały się koło bioder jego, przez grzbiety wzgórz, poszarpanemi głazami pokryte, gdzie przeskakiwał z kamienia na kamień, wypłaszając z ukrytych dziupeł małe, żerujące lisy. I doleciało go zdala ostre »*szug-drug*« dzika ostrzącego kły o pień zbutwiały, i wnet spotkał to olbrzymie zwierzę, jak z dziko płonącemi oczyma i zapienioną paszczą odrywało korę wielkiego drzewa. Albo gdzieś z boków usłyszał łoskot dzwoniących o siebie rogów i jakieś parskania i pomruku i ujrzał parę szalejących jeleni, które zwiesiwszy okrwawione głowy, z głośnym łomotem pędziły, a krew zdała się czarną w białem księżyca lśnieniu. Czasem w zarosłych trzciną mieliznach usłyszał głos krokodyla Dżakeli, który wył jak wół; czasem potykał się o kłębek jadowitych wężów, ale nim go ukąsić zdołały, przeskakiwał przez lśniące rumowiska i znikał w ciemnościach Dżungli.

I tak pędził i biegł śpiewając, i czuł się najszczęśliwszym ze wszystkich stworzeń Dżungli, aż dotarł tam, gdzie wonie kwiatów zwiastowały bliskość bagien; te jednak były dalej, niż najdalsze tereny polowań Mowgli'ego.

Tutaj również, wyrosły wśród ludzi człowiek, byłby już po tych krokach zapadł po szyję, ale Mowgli miał oczy w nogach, a te pomagały mu w przeskakiwaniu z bryły na bryłę, z jednego śliskiego głazu na drugi. Zapuścił się nawet aż na środek bagniska, gdzie krok jego wypłaszał z trzcin dzikie kaczki; wreszcie usiadł na pniu, do połowy w wodzie zagrzebanym i mchem pokrytym. Dokoła niego wrzały moczary wytężonem życiem i wrzawą, gdyż ptaki śpią na wiosnę bardzo czujnie, a całe ich szeregi przeciągały właśnie przez bagna. Ptactwo nie zważało na Mowgli'ego, który siedział w wysokiej trzcinie, mruczał jakieś pieśni bez słów i przeszukiwał twarde podeszwy swych brunatnych nóg, czy przypadkiem cierń w nich jaki nie utkwił. I zdało mu się, że ową całą ciężkość serca zostawił poza sobą w Dżungli — rozpoczął więc nowy śpiew — wtem opadła go ona na nowo, ciężej niż kiedykolwiek. Na nieszczęście zaszedł właśnie i księżyc.

Mowgli'ego opanowała trwoga. »Ono tutaj!« rzekł szeptem do siebie. »Ono szło moim śladem,« i spojrzał poza ramię, by zobaczyć, czy to »Coś« nie stoi za jego plecami. »Nie widać nic.« Na błotach wrzało życie dalej w pełnym ruchu, ale ani ptak, ani żadne stworzenie nie przemówiło do Mowgli'ego, więc smutek jego wzrastał coraz bardziej.

»Zjadłem truciznę,« szepnął głosem, w którym drgało śmiertelne przerażenie. »Musiałem zjeść truciznę przez roztargnienie, i siły mnie opuszczają. Ogarnęła mnie trwoga — a przecież to nie ja byłem tym, którego trwoga ogarnęła — Mowgli zląkł się, gdy dwa wilki czubiły się ze sobą. Akela, ba nawet Phao, byłby je uciszył, a Mowgli się przeląkł. To najpewniejszy znak, żem zjadł truciznę... Ale cóż to obchodzi kogo w Dżungli? Wszyscy śpiewają, wyją, walczą i przesuwają się tłumnie pod księżycem a ja — *Hai mai!* — ja umieram na błotach od trucizny, którą zjadłem przez roztargnienie.« Mowgli tak się rozrzewnił sam sobą, że łzy spłynęły mu po policzku. »A potem,« ciągnął dalej, »potem znajdą mnie tu, w tej czarnej wodzie. Nie! powrócę raczej do mej Dżungli i umrę na Skale Rady, a Bagheera, którą miłuję, jeśli tylko teraz nie ugania pomrukując przez doliny, Bagheera pilnować będzie moich szczątków, by się sęp Chil tak z niemi nie obszedł, jak ze zwłokami Akeli.«

Wielka, gorąca łza upadła mu na kolana, i, choć Mowgli był naprawdę bardzo biedny, uczuł się szczęśliwym z tego, że taki biedny

— czy pojmiecie ten niemądry rodzaj szczęścia? »Jak się obszedł sęp Chil ze zwłokami Akeli,« powtórzył, »tej nocy, gdym ocalił gromadę od Rudego Psa.« Zamilknął na chwilę, myśląc o ostatnich słowach wilka-przodownika, które i wy sobie snadź przypominacie. »Akela nagadał mi wiele niemądrych rzeczy, nim umarł, bo gdy umieramy, żołądek nasz głupieje. Powiedział on... Ale nie! jestem *zawsze* prawym synem Dżungli!«

W nadmiernem podnieceniu, wspominając bój na piaszczystych ławicach Waingungi stoczony, wykrzyknął głośno ostatnie słowa; jakaś dzika bawolica, leżąca dotąd w trzcinach, dźwignęła się na kolana i odsapnęła: »Człowiek!«

»Uhh!« stęknął dziki bawół Mysa (Mowgli słyszał potężne pluskanie jego cielska w bajurze), »*to* nie jest człowiek. To bezwłosy wilczek z seeoneejskiej gromady. Wśród takich nocy przebiega on Dżunglę w rozmaitych kierunkach.

»Uhh!« rzekła bawolica i spuściła głowę, przeżuwając dalej, »myślałam, że to człowiek.«

»Mówię, że nie. Och, Mowgli, czy kto zagraża?« zamruczał bawół.

»Och, Mowgli, czy kto zagraża?« powtórzył chłopiec przedrzeźniając. »Mysa tylko o tem myśleć umie: czy kto zagraża. Ale Mowgli, który dniem i nocą biega po całej Dżungli i czuwa za was dwoje, cóż was obchodzi?«

»Jak on głośno krzyczy?« zauważyła bawolica.

»Tak krzyczą ci,« odparł Mysa wzgardliwie, »którzy zrywają trawę, ale jej nie jedzą.«

»Za mniejszą obrazę,« jęknął zcicha Mowgli, »za mniejszą obrazę byłbym jeszcze w ostatniej porze deszczowej wystraszył Mysę z bagniska i pogalopował na nim przez błota, zarzuciwszy mu z sitowia uździenicę.« Mówiąc to, wyciągnął rękę, by zerwać włóknistą

trzcinę, ale ręka opadła mu bezwładnie. Mysa przeżuwał dalej spokojnie, a trawa trzeszczała w miejscu, gdzie pasła się bawolica. »Nie chcę *tu* umierać,« zawołał chłopiec ze złością. »Mysa, brat Dżakeli i dzika, naigrawałby się ze mnie. Przebiegnę przez bagniska i zobaczę, co dalej będzie. Nigdy nie miałem takiego biegu wiosennego — tak zimnego razem i gorącego! W drogę, Mowgli!«

Przed odejściem nie mógł się oprzeć pokusie, by się przedostać przez trzciny i ukłuć Mysę koniuszkiem noża. Jak pękający granat, zerwał się z błota bawół olbrzymi, a Mowgli zanosił się od śmiechu.

»Rozgłoś, że bezwłosy wilk z seeoneejskiej gromady był raz twoim pasterzem, Myso,« zawołał.

»Wilk! *Ty?*« parsknął bawół, uderzając wściekle nogami w błoto. »Cała Dżungla wie o tem, żeś był pastuchem oswojonego bydła — ty nędzny robaku ludzki, wydający dzikie wrzaski na zakurzonych drogach! *Tyś* synem Dżungli! I któryż to z łowców wczołgiwał się między trawy, jak żmija między pijawki, dla dokonania tak nikczemnego żartu, żartu godnego szakala, aby ośmieszyć mnie w oczach mej bawolicy? Chodź na twardy grunt, a ja ci — ja ci...« Mysa pienił się ze złości, gdyż był najzawziętszem stworzeniem w całej Dżungli.

Mowgli patrzał spokojnym wzrokiem na bawołu, jak parskał, ciskał się i tupał. Skoro zaś błoto wyrzucane w górę kopytami rozjuszonego stworzenia bryzgać przestało, zawołał: »Jaka gromada ludzka mieszka nad temi moczarami, Myso? Ta Dżungla mi obca.«

»Idź na północ,« ryknął rozwścieczony bawół, gdyż Mowgli ukłuł go bardzo dotkliwie. »Był to żart godny pastucha. Idź i opowiedz o nim wiosce, leżącej na brzegu tych moczarów.«

»Ludzie nie lubują się w opowieściach z Dżungli, a sądzę, Myso, że jedna szrama mniej lub więcej na twojej skórze nie jest powodem

do zwoływania osobnych wieców. Ale pójdę i spojrzę na wioskę. Tak, pójdę! Spokojnie teraz, Myso! Nie każdej nocy zjawi się Mistrz Dżungli, by straż nad tobą odbywać.«

To mówiąc, wstąpił na rozmokłą ziemię u krańca bagniska, wiedząc dobrze, że Mysa nie odważy się puścić za nim, i uśmiechał się do siebie, myśląc o gniewie bawołu.

»Siła nie ze wszystkiem mnie opuściła,« rzekł do siebie. »Być także może, że trucizna nie przeniknęła jeszcze do kości. A tam — czy to gwiazda jaśnieje?« Przyłożył dłoń do czoła i spojrzał uważnie. »Na wołu, który mnie okupił, toż to Czerwony Kwiat — Czerwony Kwiat, przy którym leżałem, zanim — zanim sam powróciłem do seeoneejskiej gromady! No, kiedym to już zobaczył, chcę bieg mój zakończyć.«

Bagno kończyło się na szerokiej równinie, wśród której połyskiwało światełko. Wiele już dni upłynęło od czasu, w którym Mowgli interesował się działalnością ludzi, ale teraz błysk Czerwonego Kwiatu pobudzał krok jego, jakby miał jaką świeżą zwierzynę na oku.

»Chcę spojrzeć,« rzekł, »chcę zobaczyć, o ile zmienili się ludzie.«

Zapominając o tem, że nie jest już w Dżungli, gdzie mógł czynić, co mu się zgoła podobało, szedł bez trwogi przez zroszoną łąkę, aż wreszcie zatrzymał się przed chatą, z której owo światełko połyskiwało. Kilka psów zaszczekało. Był we wsi.

»Ho!« szepnął Mowgli, siadając na trawie bez najmniejszego szmeru, poczem zawył głucho jak wilk i psy się uspokoiły. »Stanie się, co się stać miało. Mowgli, czego ty jeszcze chcesz na legowiskach gromady ludzkiej?« Potarł dłonią usta, w które ugodził go niegdyś kamień, gdy wyrzucony przez ludzi, uciekał od nich

Wrota chaty rozwarły się; stanęła w nich niewiasta i spojrzała w ciemności, wewnątrz zapłakało dziecię, a niewiasta, obróciwszy

głowę w tył przez ramię, rzekła: »Śpij spokojnie. To szakal wkradł się i pobudził nam psy. Ranek niedaleko.«

Mowgli, który siedział bez ruchu na murawie, zatrząsł się nagle, jakby pod wpływem febry. Znał on, znał on ten głos, ale aby się upewnić, zawołał cicho: »Messuo! Och! Messuo!«

I zdziwił się, że nie zapomniał jeszcze ludzkiej mowy.

»Kto woła?« spytała niewiasta drżącym od wzruszenia głosem.

»Czyś o mnie zapomniała?« spytał Mowgli; gardło mu płonęło, gdy mówił.

»Jeśli to jesteś *ty*, jakiem wołałam cię imieniem? Mów!« — Przymknęła jedną ręką drzwi, drugą chwyciła się za piersi.

»Nathoo! Ohé Nathoo!« rzekł Mowgli. Przypominacie snadź sobie, że tem imieniem powitała go Messua, gdy przyszedł pierwszy raz do gromady ludzkiej.

»Pójdź mój synu,« zawołała niewiasta i Mowgli wyszedł z ciemności na światło i spojrzał głęboko w oczy Messu'y, kobiety, która mu tyle dobrego zrobiła, której niegdyś życie uratował. Postarzała się, włos jej się posrebrzył, ale nie zmienił się jej głos, nie zmienił się wyraz jej oczu. Sądząc, jak każda kobieta, spodziewała się ujrzeć Mowgli'ego takim, jakim go ostatni raz widziała. Pełna przeto zdumienia, wodziła oczyma po jego piersiach i głowie, która sięgała prawie powały.

»Synu mój,« jękła z trudem, rzucając się do nóg chłopca; »nie, on już nie jest mym synem. On lasu bożyszczem! Ahai!«

I kiedy tak stał krwawym płomieniem olejnej lampki oblany, rosły i piękny, z kędziorami, co na ramiona bujnemi opadały sploty, z nożem przewieszonym przez ramię, we wieńcu dzikich jaśminów na głowie, można go było naprawdę wziąć za jakieś bóstwo z dawnej legendy. Dziecię napół jeszcze we śnie, zeskoczyło czem-

prędzej z łoża na ziemię i poczęło krzyczeć w przestrachu. Messua podbiegła do dziecka, aby je uspokoić, Mowgli zaś oglądał dzbany, garnki, skrzynie na zboże i inne sprzęty ludzkie, które miał dotąd w pamięci.

»Co chcesz jeść i pić?« zamruczała Messua. »Tu wszystko twoje! Wszak oboje zawdzięczamy ci życie. Ale jesteś-że tym, którego zwałam Nathoo, czy bóstwem leśnem?«

»Jestem Nathoo,« rzekł Mowgli, »a oddaliłem się daleko od siedzib moich. Ujrzałem światło i tu skierowałem kroki. Nie wiedziałem, że *ty* tu jesteś.«

»Skorośmy przybyli do Kanhiwary,« rzekła Messua bojaźliwie, »chcieli nam Anglicy dopomóc przeciw wieśniakom, którzy nas spalić chcieli. Czy przypominasz sobie?«

»Zaprawdę, nie zapomniałem o tem.«

»Ale kiedyśmy się udali do wsi tych złych ludzi, nie odnaleźliśmy jej na dawnem miejscu.«

»I to sobie przypominam,« rzekł Mowgli, i nozdrza mu się rozdęły.

»Mąż mój tymczasem najął się za robotnika do roli, a wkońcu, że był zaiste silnym i dzielnym robotnikiem, kupiliśmy sobie tu kawał pola. Nie jest tu tak dobrze, jak w tamtej wsi, ale potrzebujemy niewiele — my dwoje.«

»Gdzież jest on — ten mężczyzna, który, obawiając się iść wśród nocy, grzebał w śmieciach?«

»Umarł — przed rokiem.«

»A ten?« spytał Mowgli, wskazując palcem na dziecko.

»Syn mój, który mi się narodził przed dwiema porami deszczowemi. Jeśliś bóstwem, niech spłynie nań z rąk twych Łaska Dżungli i niech go ubezpieczy przed twoim — twoim ludem, tak, jak i my byliśmy niegdyś bezpieczni owej pamiętnej nocy.«

Wzięła dziecię na ręce, a ono, zapominając o trwodze wyciągnęło drobne rączki do chłopca, aby poigrać jego nożem, a Mowgli ujął je łagodnie za rączkę.

»A jeśli jesteś Nathoo, którego mi tygrys porwał,« mówiła Messua łkając, »to on jest twoim młodszym bratem. Daj mu błogosławieństwo starszego brata.«

»Hai mai! Co ja tam wiem o błogosławieństwie. Nie jestem ani bóstwem, ani jego bratem i — o matko, matko, jaki ciężar przygniata duszę moją.« Dreszcz go przeszedł, gdy postawił dziecię na ziemię.

»Może to być,« rzekła Messua, krzątając się koło garnków i statków. »A przyczyną tego jest bieganie w nocy po moczarach. To musi być febra, która cię aż do szpiku kości przeniknęła.« Mowgli zaśmiał się lekko na samą myśl o tem, że cokolwiek w Dżungli mogłoby mu zaszkodzić. »Rozniecę ogień, a ty się napijesz ciepłego mleka. Lecz zrzuć z głowy te jaśminy, bo woń ich ciężka, a chata zbyt mała.«

Mowgli usiadł i ukrywszy twarz w dłonie, począł coś mruczeć do siebie. Opadło go jakieś dziwne uczucie, jakby rzeczywiście zjadł truciznę; uczuł dziwne osłabienie i zawrót głowy. Wielkiemi haustami wypił gorące mleko, a Messua kładła mu od czasu do czasu dłonie na ramiona, nie będąc pewną, czy to naprawdę jej syn Nathoo, w zamierzchłej dobie utracony, czy też jakaś dziwna istota z Dżungli; wkońcu z prawdziwą w sercu uciechą doszła do przekonania, że owa istota składa się z ciała i krwi, jak ona.

»Synu mój,« zawołała wkońcu z oczyma pełnemi macierzyńskiej dumy, »czy ci kto powiedział, że jesteś piękniejszym niż inni ludzie?«

»Co?« odpowiedział Mowgli, bo oczywiście nigdy czegoś podobnego nie słyszał. Messua uśmiechała się, pełna radości i cichego szczęścia. Wyraz jego twarzy dość jej powiedział.

»Więc ja jestem pierwsza? Tak być powinno, ale zdarza się w istocie bardzo rzadko, że matka pierwsza dziecku swemu o tem powie. Tak, jesteś bardzo piękny. Nie widziałam nigdy podobnie pięknego mężczyzny.«

Mowgli kręcił głową i oglądał swoje potężne ramiona i plecy, a Messua zanosiła się od śmiechu tak długo, że aż Mowgli, sam nie wiedząc dlaczego, razem z nią śmiać się zaczął, a dziecko biegało między nimi i śmiało się także.

»Nie, nie godzi się tobie śmiać z własnego brata,« rzekła wkońcu Messua, przyciskając dziecię do piersi. »Jeśli będziesz choć do połowy tak pięknym, ożenimy cię z najmłodszą córką jakiego króla, i będziesz jeździł na dużych słoniach.«

Mowgli rozumiał co trzecie słowo z tej całej mowy; ciepłe mleko wywarło pożądany skutek po czterdziestomilowej podróży; zwinął się przeto w kłębek na tapczanie i zasnął głęboko, a Messua odgarnęła mu włosy z czoła, okryła go kołdrą i — była szczęśliwa. Według zwyczaju, panującego w Dżungli, przespał chłopiec resztę nocy i cały następny dzień, gdyż instynkt jego, który nigdy nie spał zbyt głęboko, upewnił go, że tu nic mu nie grozi. Budząc się, skoczył na równe nogi, że cała chata zadrgała w posadach, gdyż kołdra, okrywająca mu głowę, nawiodła mu sen o pułapce; i tak stanął na środku izby, tocząc groźnym wzrokiem dokoła, ściskając nóż w dłoni, gotów do walki na śmierć i na życie.

Messua uśmiechnęła się doń i podała mu wieczerzę. Składała się ona z kilku twardych, w dymiącym ogniu uwędzonych placków, garści ryżu i jakiejś potrawy z tamaryszku, co wystarczało, by zaspokoić głód aż do czasu wieczornej zdobyczy. Drażniąca woń rosy, zalatująca z moczarów, wznieciła w Mowgli'm głód i chęć ruchu. Chciał skończyć swój bieg wiosenny; ale dziecko upierało się siedzieć

w jego ramionach, a Messua musiała rozczesywać mu czarne, bujne kędziory. I czesząc go, śpiewała piosenki drobnych dzieci i nazywała go synem swoim; i prosiła go o Łaskę Dżungli dla jej dziecięcia. Drzwi chaty były przymknięte, ale Mowgli usłyszał szmer dobrze mu znany, a Messua otworzyła usta ze zgrozy i z pod drzwi wynurzyła się wielka, szara łapa, a za drzwiami zaczął skomlić stłumiony, trwożliwy głos Szarego Brata.

»Odejść i słuchać. Nie chcieliście przyjść, gdym was wołał,« rzekł Mowgli w języku Dżungli, nie odwracając nawet głowy; a wielka szara łupa znikła w mgnieniu oka.

»Nie przyprowadzaj — nie przyprowadzaj swoich — swoich sług ze sobą,« szepnęła Mossua. »Ja — my żyliśmy zawsze w zgodzie z Dżunglą.«

»Jest zgoda,« rzekł Mowgli, podnosząc się z siedzenia. »Pomnij na podróż do Kanhiwary wśród nocy. Były tam tłumy mego ludu przed tobą i za tobą. Widzę jednak, że nawet i w porze wiosennej lud Dżungli o mnie nie zapomina. Matko, ja idę.«

Messua usunęła się pokornie na stronę — myślała, że to zaiste tylko bóstwo lasu — ale skoro dłoń chłopca spoczęła na klamce, obudziła się w niej uczucie matki, i zarzuciła ramiona na szyję odchodzącego.

»Powróć tutaj,« szepnęła łkając. »Synu, czy nie synu, powróć do mnie, bo cię miłuję — i patrz, on płacze za tobą.«

Dziecię zanosiło się od płaczu, bo człowiek z lśniącym, długim nożem chciał już odejść.

»Wróć do nas,« prosiła znowu Messua. »W nocy czy we dnie, wrota nigdy nie zaparte przed tobą.«

Mowgli uczuł jakieś dziwne ściskanie w gardle, jakby go ktoś za szyję dławił, wreszcie wyrzucił z trudnością: »Wrócę, z pewnością powrócę.«

»A teraz,« zawołał, odsuwając głowę wilka, który mu się począł łasić koło nóg u progu, »mam ja z tobą do pogadania, Szary Bracie. Dlaczegoście nie przybiegli wszyscy czterej, gdym was wołał przed dość długim czasem?«

»Przed dość długim czasem? Chyba zeszłej nocy. Ja — my wszyscy śpiewaliśmy w Dżungli nowe pieśni, gdyż nastał Czas Nowej Mowy. Przypominasz sobie?«

»Prawda, prawda.«

»A skoro tylko pieśni odśpiewane zostały,« ciągnął Szary Brat z wielką powagą, »pobiegłem w twoje ślady. Ale, o mały bracie, coś *ty* uczynił — jadłeś i spałeś z ludźmi pospołu.«

»Gdybyście się byli zjawili na moje zawołanie, nie byłoby przyszło do tego,« odpowiedział Mowgli, zdwajając chyżość biegu.

»Cóż więc będzie?« spytał Szary Brat.

Mowgli chciał odpowiedzieć, gdy wtem pojawiła się na drodze młoda, biało ubrana dziewczyna, idąca ze wsi. Szary Brat skrył się z błyskawiczną chyżością, a Mowgli wbiegł bez szmeru w głąb szumiących złotym kłosem łanów! I mógł był dziewczynę dłońmi dosięgnąć, gdy ciepłe kłosy zwarły się przed jego twarzą a on w nich zniknął, jak cień. Dziewczyna wydała okrzyk przestrachu, myśląc, że ducha ujrzała, poczem westchnęła głęboko. Mowgli rozsunął dłonią kłosy i patrzył za odchodzącą, dopóki jej z oczu nie stracił.

»A teraz nie rozumiem,« rzekł po chwili również wzdychając. »*Dlaczegoście* nie przybiegli zaraz, gdym na was wołał.«

»Idziemy za tobą — idziemy za tobą,« zamruczał Szary Brat, liżąc nogi Mowgli'ego. »Pójdziemy za tobą zawsze, tylko nie w porze Nowej Mowy.«

»A pójdziecie za mną aż do gromady ludzkiej?« szepnął Mowgli.

»Czyż nie poszedłem za tobą owej nocy, gdy cię wypędziła od siebie nasza dawna gromada? Któż zbudził cię, gdyś leżał między kłosami?«

»Ach, ale jeszcze raz?«

»Czyż nie pobiegłem za tobą tej nocy?«

»Tak, ale jeszcze i jeszcze raz, i jeszcze wiele razy, Szary Bracie?«

Szary Brat umilkł. Poczem zamruczał: »Czarna miała słuszność.«

»Cóż powiedziała?«

»Człowiek wróci nareszcie do ludzi. Raksha, matka nasza rzekła — —«

»To samo mówił mi Akela po walce z Rudym Psem,« szepnął Mowgli.

»To samo powiedział Kaa, który mędrszy jest, niż my wszyscy.«

»Cóż ty na to, Szary Bracie?«

»Wypędzili cię niegdyś obelżywemi słowy. Okrwawili ci usta kamieniami. Nasłali na ciebie Bulde'a. Chcieli cię rzucić w Kwiat Czerwony, ty, nie ja — powiedziałeś, że oni są głupi i szaleni. Ty, nie ja — ja chadzam śladem własnego ludu — rzuciłeś na nich Dżunglę. Ty, nie ja — ułożyłeś na nich pieśń, w której jest więcej goryczy, niż w naszej pieśni na Rude Psy.«

»Pytam się ciebie, co *ty* na to mówisz?«

Rozmawiali wśród biegu. Szary Brat pędził przez chwilę, nic nie odpowiadając, poczem jął mówić urywanym głosem, między jednym skokiem a drugim: »Szczenię ludzkie — Mistrzu Dżungli — synu Rakshy — bracie mój z jednego legowiska — chociaż zapomnę czasem wśród wiosny o tych słowach, wiedz: twój trop jest moim tropem, twoje legowisko jest mojem legowiskiem, twój łup jest moim łupem, twój bój jest moim bojem. Mówię to w imieniu trzech moich braci. Ale co *ty* powiesz Dżungli?«

»Masz słuszność! Między upatrzeniem łupu a zabiciem nie powinno dużo czasu upłynąć. Biegnij naprzód i zwołaj wszystkich na Skałę Rady, a opowiem im wszystkie moje zamysły. Ale może nie przyjdą — może w porze Nowej Mowy już wszyscy o mnie zapomnieli.«

»A tyś nie zapomniał o *niczem?*« zaszczekał Szary Brat przez ramię, rzucając się chyżo naprzód, a Mowgli biegł za nim głęboko zamyślony.

W każdej innej porze byłyby się na dane hasło zbiegły wszystkie zwierzęta do Skały Rady — byłyby się zbiegły zaniepokojone, z najeżonemi grzbietami, ale teraz cała Dżungla polowała, staczała bójki, zabijała i śpiewała. Szary Brat pędził od jednego do drugiego z okrzykiem: »Mistrz Dżungli wraca do ludzi. Schodźcie się na Skałę Rady!« A upojone szczęściem, krzątające się dokoła plemiona odpowiadały: »Powróci wśród skwarów lata. Deszcze zapędzą go napowrót do legowiska. Popląsaj i pośpiewaj wraz z nami, Szary Bracie!«

»Ależ Mistrz Dżungli powraca do ludzi,« powtarzał uporczywie Szary Brat.

»*Eee — Yowa?* Czyż dlatego jest mniej pięknym Czas Nowej Mowy?« odpowiadały zwierzęta. A kiedy Mowgli z ciężkiem sercem kroczył przez skały do znanego sobie miejsca, gdzie go niegdyś przyniesiono przed całą gromadę, zastał tam tylko swoich czterech przyjaciół, Balo'a, który już prawie oślepł od starości, i Kaa, który się owinął o próżne miejsce Akeli.

»Więc tu się urywają twoje ślady, mały człowieku?« rzekł Kaa, a Mowgli padł ciężko na ziemię i w dłoniach ukrył oblicze. »Wywołaj swoje hasło: ‚Jesteśmy z jednej krwi, ty i ja — Człowiek i Wąż'.«

»Och, czemuż nie rozszarpały mnie Rude Psy?« jęknął chłopiec. »Siła mnie odbiegła, i to nie od trucizny. W dzień i w nocy słyszę

podwójny krok na mym tropie. Odwrócę głowę — i wraz zda mi się, że się ktoś kryje przedemną, ktoś, co mnie ścigał. Zaglądam między drzewa i niema nikogo. Wołam — nikt mi nie odpowiada, a zda się, jakby ktoś podsłuchiwał i tłumił jeno odpowiedź. Rzucam się na ziemię, ale nie wypoczywam. Odbywam bieg wiosenny, ale on duszy mej nie raduje. Kąpię się, ale woda mnie nie ochładza. Zabijanie mnie nuży, a walczę tylko wtedy, gdy zabijam, Czerwony Kwiat płonie w mem wnętrzu, a kości moje są wodą — i — sam nie wiem, co wiem.«

»Czyż trzeba wiele mówić?« rzekł Baloo, odwracając zwolna głowę ku miejscu, gdzie leżał Mowgli. »Już Akela powiedział na wybrzeżach, że Mowgli przepędzi Mowgli'ego napowrót do ludzi. I ja to powiedziałem. Ale któż dzisiaj słucha starego, ślepego Balo'a? Bagheera — ale gdzież jest Bagheera tej nocy? — i ona wie coś o tem. To Prawo.«

»Gdyśmy się spotkali w Cold Lairs, mały człowieku, wiedziałem o tem i ja,« rzekł Kaa, kręcąc zwojem swych olbrzymich pierścieni. »Człowiek powróci do ludzi nareszcie, chociaż go Dżungla nie odpędza.«

Wilki spojrzały na siebie, potem na Mowgli'ego, dziwnie zmieszane, ale pełne uległości.

»Więc Dżungla mnie nie odpędza?« wyszeptał Mowgli.

Szary Brat i jego trzej towarzysze zawyli głucho: »Póki *my* żyjemy, nikt się nie odważy — —.« Ale Baloo nakazał milczenie.

»Ja cię Prawa uczyłem. Mnie przemówić się godzi,« rzekł stary niedźwiedź, »a choć już nie mogę dojrzeć tych oto skał przed sobą, wzrok mój wybiega daleko. Swoim idź tropem, Żabko mała; uczyń sobie legowisko obok swej *własnej* krwi, swej *własnej* gromady, swego *własnego* ludu; ale jeślibyś potrzebował czy stopy, czy kła,

czy bystrego oka, czy posłańca, któryby z wieścią pomknął wśród nocy, wiedz, Mistrzu Dżungli, że Dżungla jest powolną każdemu twojemu wezwaniu.«

»I Średnia-Dżungla jest twoją,« rzekł Kaa. »Przemawiam w imieniu nie drobnych stworzeń.«

»*Hai mai*, bracia moi,« wykrzyknął Mowgli z głuchem łkaniem i wzniósł ręce do góry. »Sam nie wiem, co wiem; nie chciałbym odejść, a jednak jakaś siła ciągnie mnie za obie nogi. Jakżeż porzucę te noce?«

»Podnieś wzrok, mały bracie,« pocieszał go Baloo. »Łowy te hańby nie przynoszą. Gdy miód zjedzony, odbiegamy od próżnych ulów.«

»Gdy skóra z nas opadła,« rzekł Kaa, »nie możemy wdziać jej na nowo. To Prawo.«

»Posłuchaj mnie, o ty najdroższy ze wszystkich,« rzekł Baloo. »Żadne słowo, niczyja wola nie zdoła cię powstrzymać. Podnieś wzrok! Komuż-to sprawę Mistrz Dżungli zdawać będzie? Widziałem cię, gdyś jako mała żabka igrał kamykami na brzegach strumieni; i Bagheera, która cię za cenę młodego, świeżo-ubitego wołu wykupiła, widziała to nieraz. Z tych czasów pozostało tylko nas dwoje, bo Raksha, matka twoja, nie żyje, i ojciec twój już nie żyje. Gromada starych wilków wymarła już dawno; wiesz, jak skończył Shere Khan, Akelę zamordowały dole, a druga gromada starych wilków ocalała tylko dzięki twemu rozumowi i męstwu. I tylko białe kości dołów pozostały na wybrzeżu. To już *nie* ludzkie szczenię prosi gromadę, by mu odejść pozwoliła — ale Mistrz Dżungli, który na nowe tropy wejść zamierza. A któż z nas odważy się pociągnąć Mistrza Dżungli do odpowiedzialności?«

»Ale Bagheera i ten wół, który mnie okupił,« rzekł Mowgli. »Nie chciałbym — —.«

Słowa jego przerwał potężny ryk i trzask łamanych gałęzi — a z gąszczy wyskoczyła Bagheera, śmigła, potężna i straszliwa, jak zawsze.

»*Właśnie dlatego*,« zawołała, wyciągając krwią zbroczoną łapę, »nie zjawiłam się wcześniej. Hej, trudne to były łowy — ale za to, tam w krzewach, leży świeżo ubity, młody wół, który cię uwalnia, mały bracie. Dług twój spłacony! Wreszcie, słowo Balo'a jest i mojem słowem.« Polizała stopy Mowgli'ego. »Pamiętaj, że cię kochała Bagheera!« Z tym okrzykiem skoczyła w głąb Dżungli i — znikła. A poza skałą rozległ się jeszcze raz jej głos donośny. »Szczęśliwych łowów na nowym tropie, Mistrzu Dżungli. Pamiętaj,, że cię kochała Bagheera.«

»Słyszałeś więc,« rzekł Baloo. »Skończyło się wszystko! Odejdź już; ale najpierw zbliż się do mnie. Do mnie zbliż się, moja mała, mądra, rozumna Żabko!«

»Ciężko to zrzucać starą skórę,« zauważył Kaa, gdy Mowgli łkając głośno, złożył głowę na ramionach starego, ślepego niedźwiedzia i przyciskał go do piersi, a on starał się polizać stopy Mowgli'ego.

»Gwiazdy bledną,« rzekł Szary Brat, wietrząc ranne powiewy. »Gdzież będą dzisiaj nasze legowiska? Wszak wstępujemy na nowe ślady.«

. . . . . .

I to jest ostatnia opowieść o Mowgli'm.

PIEŚŃ POŻEGNANIA

Oto pieśń, którą Mowgli słyszał za sobą w Dżungli, nim stanął z powrotem przed chatą Messu'y.

Baloo.

Dla mnie, com cię jako brat
Wiódł przez Dżunglę, wiódł przez świat,
Prawa Ludzi pilnie strzeż —
Jeśli Balo'a bratem zwiesz!
Jest-li dobre, jest-li złe,
Jego szlaku trzymaj się;
Czy to w nocy, czy to w dzień
Ni na krok nie zbaczaj zeń.
Dla mnie, com ci wiernym był
Z całej duszy, z wszystkich sił,
Gdy rozpalą w tobie gniew
Mów: »To Tabaqui'ego śpiew!«
Gdy ci zło wyrządzą, mów:
»Shere Khan dybie na mnie znów!«
Gdy obnażysz w gniewie miecz,
Prawa bacz i odejdź precz.
(Korzeń, palma, kwiat i miód
Zmyją-ć z serca wszelki brud.)
Niech cię Woda, Wiatr i Las
Łaską Dżungli darzą wraz!

Kaa.

Gniew zaczynem wszelkich trwóg —
W jasnem oku światła smug.
Kobry jad sprowadza zgon,
Z Kobry słów Śmierć zbiera plon;
Szczera mowa złączy cię
Z siłą, co się Wdziękiem zwie.
Głos niesforny w karbach dzierż;
Tylko rosłym drzewom wierz.
Zważ kęs, nim się rzucisz nań,
Czasem oko zdławi krtań.
Chcesz-li na spoczynek lec?
Do nor ciemnych musisz biec,
By, mszcząc krwi rozlanej wprzód,
Wróg nie stanął ci u wrót.
Dokąd zajdziesz, w jaki kraj,
Skóry i języka dbaj.
(Jamy, doły, błękit fal,
Dżungla, pójdą z tobą w dal.)
Niech cię Woda, Wiatr i Las
Łaską Dżungli darzą wraz!

Bagheera.

Za kratą ujrzałam świat;
Znam sieć ludzkich dróg i zdrad.
Na zamek, co mi wolność dał —
Człeku, mijaj Ludzi szał!
Na ros lśnienie, gwiezdny smug —
Strzeż się krętych żbika dróg.

Co Człek-szakal wzniesie — zwal,
By za późnym nie był żal.
Zbądź milczeniem, gdyby rzekł:
»Chodź, mieć będziem łatwy bieg!«
Zbądź milczeniem, jeśli chce,
Byś słabszemu czynił źle.
Pycha wadą małpich rzesz;
Kłótnię rzuć, pokoju strzeż.
Zwodny wszelki zew i znak,
Gdy masz raz obrany szlak.
(Mgło poranna, jasny dniu,
Wodze Gromad, służcie mu!)
Niech cię Woda, Wiatr i Las
Łaską Dżungli darzą wraz!

We troje.

Gdy przez nowy śpieszysz ślad
Do wrót, skąd Lęk na nas padł,
Gdzie Czerwony kwitnie Kwiat:
Gdy w noc zaśniesz długim snem
Pod gwieździstem Nieba tłem,
Słysząc nas, jak z dali mkniem;
Gdy w świt pełen bożych kras
Wstaniesz podjąć życia głaz,
Łkając: »Minął dawny czas!«
Niech cię Woda, Wiatr i Las
Łaską Dżungli darzą wraz!

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 4443A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

БИБЛИОТЕКА
BIBLJOTEKA PUBLICZNA MIEJSKA 5071/16 W BIAŁYMSTOKU

SPIS RZECZY

	Strona
Skąd przyszedł Lęk	5
Prawo Dżungli	29
Cud Purun'a Bhagat'a	31
Pieśń Kabira	49
Lud Dżungli naciera!	51
Śpiew Mowgli'ego przeciwko ludziom	88
Grabarze	90
Śpiew fali	120
Królewski Ankus	121
Pieśń młodego myśliwca	145
Quiquern	146
Angutivun Tina	176
Rude Psy	177
Pieśń Chil'a	210
Bieg wiosenny	212
Pieśń pożegnania	238

БИБЛИОТЕКА
Miejska Biblioteka Publiczna 5071/16 w Białymstoku